

POWIEŚCI HISTORYCZNE
J. I. KRASZEWSKIEGO
(WYDANIE TANIE).

Tom siedemdziesiąty czwarty.

ADAMA POLANOWSKIEGO

Dworzanina Króla JMci Jana III.

NOTATKI.

UŁOŻONE PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM II.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1891.


1810
29/11



Дозволено Цензурою.
Варшава, 23 Июля 1891 года.



Druk Józefa Jeżyńskiego, Warszawa, Nowolipki Nr 9.



Sejm się rozpoczynał przy najlepszych nadziejach może dla tego, że choć król miał już wiadomość o spisku Morsztyna, wszakże pono nie domyślał się, nie posądzał nawet osób, które do niego wchodziły.

Listy, które ja przejąłem nie starczyły na obwinianie go i choć dowodziły konspiracyj, nie wypowiedziały całej tajemnicy, ale po tej nitce można było dojść do kłębka, i w istocie pochwycono ważniejsze jeszcze.

Sobieski, oprócz podskarbiego, Vitrego i Duverne, nie domyślał się żadnego współnika, nie posądzał, ani mógł podejrzewać Jabłonowskiego, który zawsze mu najserdeczniejszym był przyjacielem. Tymczasem okazało się później, że świeżo mianowany hetmanem Jabłonowski, złudzony koroną, neutralnie się zachowywał, ale o spisku bodaj był uwiadomionym, że Sapiechowie, których król łaskami obsypał, zdradzali go, że w partyi własnej swej miał gotowych nieprzyjaciół, gdyby się udało tylko zachwiać powagę króla i zyskać przeciwko niemu większość.

Nie chcę sięgać myślą dalej, ale za Jabłonowskim innych wielu się dorozumiewano. Morsztyn był tak swego pewny, jakby już z tronu króla obalił.

W istocie, jak niegdyś król Michał, tak teraz Jan otoczony był zdrajcami i wrogami. Wielką jego sławę, jako wodza i pogromcę Turków, jako hetmana dotąd niezwycięzonego, usiłowano równoważyć rycerską sławą Jabłonowskiego, a o królu głoszone, że ociężał, że na konia nie mógł sięść, że na żadną wypra-

wę nie podobna mu się było wybierać. Na pozór można było nawet sądzić, iż w tem się coś prawdy mieściło, bo na konia, gdy siadał, musiano mu stołeczek podstawiać, ale gdy był na siodle, po dziesięć godzin wytrzymywał, nie skarżąc się.

Sama zaś myśl walki przeciwko poganom w obronie krzyża świętego, tak go ożywiała, poruszała, sił mu przyczyniała, że się stawał młodszym na jej wspomnienie.

Nigdy jednak smutniejszym go nie widywał, jak w chwili przedsejmowej, bolało go zawczasu, że przyjdzie sromotne odsłaniać zdrady...

Królowa też, choć pono była uwiadomiona w części o intrygach francuzów, nie wiem czy je wszystkie знаła... Jabłonowski, któremu wierzyła, musiał ją uspokajać i nie dawać jej zajrzeć w to głębiej.

Jak dawniej francuzcy panowie Forbin i inni gośćmi byli najczęstszymi u króla, towarzyszami jego codziennymi, tak teraz nuncyusz papieżki, poseł austriacki, codzień przychodzili, przysyłali listy, nalegali na króla i królowę.

Sobieski szedł, o ilem ja widział i czuł, z pobudek chrześcijańskich, w obronie wiary, a rachował, jak sam powiadał, że pod Wiedniem dobywał Kamieńca, królowej zaś szło o arcyksiężniczkę dla Jakuba i o koronę dziedziczną.

Marszałkiem sejmowym wybrano Leszczyńskiego i dosyć spokojnie poczęły się obrady, a natychmiast wprowadzono posłów od Papieża i Cesarza w sprawie przymierza i pomocy Leopoldowi.

Na to czekali spiskowi, aby wybuchnąć z całą gwałtownością długo poskramianej namiętności. Argumenta ich były na nieszczęście te, któremi się u nas pokolenia karmiły, nienawiść i obawa rakuzkiego domu. Cesarz, poczęto wołać, nio pomagał nam, gdy nas turcy czekali, za cóż my mamy w pomoc mu przychodzić? My sobie z Turkami poradzimy, a że oni się nad Dunajem usadowią, co nam to szkodzi? Naszemi

wrogami nie są turcy, ale Brandeburgi i Rakuszanie. Oni to już zdawna czyhają na to, aby rzeczpospolitą rozerwać i podzielić pomiędzy siebie.

Drudzy śmieli otwarcie wyrzucać Sobieskiemu, że z Austryą się łączył, aby sobie zapewnił dziedzictwo tronu, to jest zagubę wszystkich swobód rzeczpospolitej!

Nie dosyć, iż na sejmie krzyczano, ale tysiącami rozsypywano po polsku i po łacinie piśmidła najgwałtowniejsze przeciwko królowi.

Morsztyn widocznie prowadził cały ten zastęp krzykaczy i pismaków...

Zaczęła partya francuzka tak brać górę w sejmie, a z każdym dniem się bardziej uzuchwalać, iż nie pozostawało królowi, mimo wstrętu, jaki miał do wystąpienia jawnego z oskarżeniem, które wiele osób dotknąć mogło, tylko publicznie obwiniać Morsztyna i pozwać go przed sąd świata.

Pochwycone przezemnie i w Berlinie listy, starczyły jako dowody zdrady; wprawdzie znaczniejsza ich część była cyframi pisana, ale toż samo świadczyło, iż się taić musiał, a zatem nic dobrego nie zamierzał.

Listy te mając w ręku, król zwołał radę panów senatorów i kładnąc je przed nimi, domagał się sądu i kary...

Dowody były tak jawne i przekonywające, iż tłumaczyć się stawało niepodobieństwem.... Powołany przed senatorów Morsztyn, stawiał się zuchwale, przeczył, ażeby działał na szkodę rzeczpospolitej, klucza cyfry nie chciał dać... wywijał się... Nie pomogło to, pozwano go przed sąd... W jednej chwili listy te, które, oprócz podskarbiego, mnóstwo osób kompromitowały, wywołały zmianę całkowitą w usposobieniach; ci, co się dali uwieść Morsztynowi, wyparli się go, potępili, odstąpili.

Złość i gniew zwróciły się potem przeciwko Vitremu,⁶ posłowi francuzkiemu, który się w ulicy pokazywać nie śmiał.

Król na winnych i współników Morsztyna musiał patrzeć przez szpary i nie pociągać ich z nim razem. Morsztyn został z francuzami sam i potępiony...

Rozeszły się wiadomości o spisku na życie króla; szlachta, wszyscy wielbiciele wojownika i bohatera, podnieśli się w jego obronie za nim, gotowi iść, gdzie wskaze!

Nie wszystko wyszło na jaw, co naówczas skutecznie tak przechyliło szalę na stronę króla, alem ja słuchał i patrzył, i mogę sumiennie powiedzieć, że w tem nie tyle było polityki, co uczciwego oburzenia przeciw pokątnej, tajemnej zdradzie, którą każdy z nas uczciwy człek miał w ohydzie... ani nuncyusz, ani poseł cesarski nie zrobili tyle, co rozchodzące się wieści, że francuzi struć lub z tronu króla zrzucić chcieli, że mu gotowano już napój jakiś... że nasadzano zabójców.

Przywiązanie do wiary świętej katolickiej działało też na umysły i serca tak samo na króla, jak na popolitą rzeszę...

Jednego więc dnia całe to rusztowanie francuzkie, tak mozolnie wznoszone, runęło, gdy Morsztyna Lubomirski musiał pod straż wziąć, a podskarbi spokojniawszy, na zwłokę tylko rachując, o sześć miesięcy prosił, aby dowody niewinności swej zebrać... Domagano się cyfry od niego, ale tę podskarbina, dowiedziawszy się o losie męża, zdarła i spaliła. Musiano więc śłać do Francyi, domagając się jej.

Francuzi Duverne i Vitry, oba dotąd najpewniejsi zwycięstwa, choć wiedzieli, że im się nic nie stanie, choć Duverne opierał się rozkazowi wyjazdu i dumnie odpowiadał, musieli się przekonać, że sprawę na łeb przegrali.

Vitry, który dumą i szorstkością wszystkich przeciwko sobie zraził, nadrabiał swą ambasadorską powagą, ale i ta nie pomogła...

Młody Tyszkiewicz mu pokazał, że się go tu nie bano, ani pana jego, Vitry stał w klasztorze u Bernardynów, strzelano do jego okien i do ludzi; on sam

musiał z eskortą w ulicy się pokazywać tylko, a wkrótce i widać go nie było.

W senacie wołano, że ambasadorów stałych w Polsce nie znano i domagano się, aby jechał precz, a inny z posłów krzyknął.

— Po turecku z nim się obejść, z tym przyjacielem turków, czterysta kijów w podeszwy... Co on nam tu się będzie rządzić?

Sejm tak nastrojony wszystko przyjął, czego król żądał, potwierdzono przymierze z Cesarzem... wionął duch rycerski i serca rozgrzał. Napróżno po staremu próbowano w ostatnim momencie sejm zerwać, przyjaciele króla, a najwięcej ci może, co wczoraj sekretnie Morsztynowi pomagali, dziś się oczyścić i zasłużyć pragnąc pilnowali, niedopuszczono, aby wszystko marnie spełzło...

Vitremu nie pozostawało, jak fałszywemi doniesieniami łudząc króla i nniewinniając siebie, pożegnać Polskę i powracać do Francyi ze wstydem...

Myliłby się wszakże, ktoby sądził, że po pozbyciu się Vitrego i Duvernego, nikt już nie pozostał z tych co knowali i psowali, cała sieć, jak była rozciągnięta pozostała, tylko mniej widoczna, bo jej głowy nie stało... I w Gdańsku, i w Warszawie, i w Krakowie, i na samym dworze, i w garderobie królowej przechowywali się słudzy wierni Ludwika XIV.

Od tej chwili nie było już wątpliwości, iż polski sukurs pójdzie w pomoc Cesarzowi, natychmiast zaczęto naprzód na żołd rakuzki zaciągać korpus, którym miał Lubomirski dowodzić, wyszły uniwersały do kozaków, do Litwy, do wojska, aby pogotowin było i ściagało się, ale to wszystko było niczem...

Trudno mi może będzie tak to wyrazić, jakem ja widział, gdy się działo, i tym, co podówczas nie żyli a nie czuli co my, nie do wiary się wyda o co głównie Pallaviciniemu i posłowi Leopolda chodziło.

Imię Sobieskiego, jako statecznego turków pogromcy, było tak głośnie w Europie, wiedziano, że on jeden

znał tak ich taktykę, sposób wojowania, język, jak nikt drugi, że u tatarów i turków samo to imię budziło trwogę paniczną. W Europie miał dobrą sławę wodza, niepozorny książę Lotaryngski, ten sam co się z wdową po Michale ożenił, i tego generalissimusem Cesarz miał nad swojemi wojskami i sprzymierzeńcami uczynić, ale Lotaryngski u turków nic nie ważył, bo go nie znali, a króla polskiego znali zdawna i wiedzieli, że gdzie się on pokazał, tam oni pierzchać musieli.

Sobieski osobą swoją starczył za dziesięć tysięcy ludzi. Szło więc głównie o to, ażeby już znużonego, podstarzałego króla skłonić, wymodlić u niego w imię krzyża świętego, wiary katolickiej, aby on swą osobą szedł na wojnę. Nie mała to była rzecz, bo ociężały, nie bardzo zdrów, o sławę swą dbający król, ważył życie, spokój i imię dla wyratowania Cesarza...

Królowi pod niczyje, nawet pod Cesarskie rozkazy iść nie przystało, godności swej strzedz był powinien, wstrzymywało więc to, a wreszcie i wzgląd na wiek i na siły...

Naostatek inna była rzecz wojsko posłać, a inna samemu ciągnąć, co się bez ogromnych wydatków i kosztów obejść nie mogło...

Ci, co do króla przywiązani byli, obawiali się, niedopuszczali, protestowali... mało kto go podbudzał. Sławy nowej i tak wielkiej, jaką wistocie zyskał, nie spodziewano się dorobku, ofiara była wielka... dla kogo! dla Cesarza, którego niewdzięczności król z góry był pewien, znając dumę raknzką...

Królowa też po ostatnim sejmie, do żywota małżonka i długiego panowania jego przywiązując wagę wielką, uległa się. Obudziła się w niej niby jakaś opóźniona czułość dla męża, bo w sprawie z Ludwikiem XV przekonała się, iż opiekiby nad sobą spodziewać się nie mogła od Francyi w chwili, w którejby jej zapotrzebowała. Króla mógł nuncyusz sprawą krzyża i wiary zyskać, królowa nie miała tego dueha ofiary jaki go ożywiał. Tę trzeba było zdobywać in-

terese, obietnicami arcyksiężniczki dla Jakóbka, Moldawii i Wołoszczyzny i t. p.

Sobieskiego toż samo co Warneńczyka niegdyś, poruszało i unosiło—imie zbawcy Chrześcijaństwa, obrońcy krzyża.

Myśmy na niego w ciągu tej wojny patrzyli i możemy powiedzieć, że tu wyprawa była ciągłą modlitwą. Ledwie zdobyto gdzie zamek, pierwszą było rzeczą mszę świętą odprawić w meczecie, księżyce porzucać a postawić krzyż. Jeżeli pamiętał o Kamieńcu i o odzyskaniu tego co turcy i kozacy oderwali, to dopiero naostatku, kościół i krzyż szedł przodem... A nie można znowu powiedzieć aby takim nabożnisiem był, co modlitwą do niebios szturmuję, i nieustannie się popisuje z pobożnością. Modlił się gorąco a krótko, mszy słuchał nieraz na kolanach, ale tuż koń stał osiodłany...

Gdy się w nim duch rozgrzał, zdawało się, że żywcem do niebios będzie porwany, ale ten duch zstępował na niego z góry, on się nigdy z nim przed ludźmi nie chwalił...

Lubił modlitwę tajemną i na osobności...

Można powiedzieć, że od tej chwili gdy sejm się rozszedł, aż prawie do wystąpienia naszego w pole, do wyjazdu z Krakowa, jeszcze ciągle niedowierzano, a ciągle nad tem pracowano, aby go pozyskać.

Obiecał już, wieść poszła, że sam z wojskiem idzie, tak wielkiemu szczęściu wierzyć nie chciano.

Nuncyusz drżał do ostatniego momentu aby co nie przeszkodziło... Myśmy się na wozy pakowali, a w poselstwie rakuskiem i w nuncyacie nie zupełnie ufano, aby król słowa dotrzymał.

Nie dziw też, bo Jan więcej stawiał na kartę niż mógł zyskać, koronę miał, sławę miał, nie potrzebował się niczego dobijać a wiele mógł utracić. Turków zemstę ścigał na siebie, życie postradać mógł, i bo hater a imię.

Tak samo jak cesarsey do ostatka nie dowierzali

ażali pójdzie, tak też turcy nie wierzyli aby szedł raskuszanom w pomoc. Nie śniło się im to. Przypuszczali, iż wojsko pośle i zaciągi w Polsce da robić cesarzowi, ale żeby sam w pomoc osobą swą spieszył, z tego się śmieli. Stał już na Kalembergu, gdy jeszcze wątpili aby tu miał być...

Nie potrafię ja tego opowiedzieć z jakim uniżeniem się nuncyusz i poseł modlili a prosili go o tę pomoc... Powiadano, że klękali przed nim... Na obietnicach też najpiękniejszych nie zbywało, lecz muszę to poświadczyć za panem moim, iż ani się niemi uwodził, ani wierzył w nie.

Sam nieraz słyszałem gdy Matczyńskiemu powiedział.

— Wszystko to *vox, vox, pretereaque nihil*. Jestem tego tak pewnym, jakbym rad zbawienia pewnym być, że mi się najczarniejszą niewdzięcznością wypłacą, że żadnego słowa i pisma nie strzymają, ale ja nie dla nich idę ale dla krzyża Chrystusowego.

Królowę pod te czasy mało widywać miałem zgręczność, i w miejscu mi też król nie dał siedzieć.

Było poufnych do załatwienia spraw bardzo wiele, a raz się przekonawszy iż służyłem sumiennie, usługi swej nieprzeceniałem, niedomagałem się jak inni, nieustannych datków, król mną się rad wyręczał, posyłał, i ledwiem z konia zsiadł, już prosił abym jechał w innej sprawie...

Musiałem się też wyprosić na parę tygodni do matki na wesele siostry, którą za Podhorodeńskiego wydawała, zamożnego ziemianina.

Chciano mnie jako dworzanina królewskiego mieć dla splendoru, a dawano mi tam tytuł skarbnika, choć urzędownie nim nie byłem, a moich funkcji przy królu określić trudno.

Począwszy od pisania do przyjmowania czasem gości, spadały na mnie *onera* różne.

Te szczególne łaski jakie miałem u niego, a przytem okoliczność, iż mnie rosnącego i bogacącego się

nie widziano, obudzały zazdrość i podejrzenia. Królowa mnie nie cierpiała, bo próbowała pozyskać, a ja się grzecznie wysliznął. Domyślano się, że muszę ogromne sumy po cichu za moją służbę pobierać... Tymczasem, Bogiem a prawdą, ja się nie dopominał, król obiecywał tylko, ale w istocie wcalem się nie bogacił.

W tych utrapieniach moich, bo inaczej nazwać niemogę służby tej, myślałem, iż się choć tego dorobię, że się z miłości głupiej otrząsnę, ale Szaniawski słuszność miał, że nie będę póty od niej wolnym, aż się w innej pokocham.

Tymczasem ta kobieta, która się niezmierną zrzecznością a padaniem przed królową, trzymała przy dworze, choć jej ani Letreu, ani panna Baisson ani Beaulien, ani Federba nie lubiły tak bardzo, umiała ze mną taką rolę odgrywać, że ja się jej litowałem i, potroszę był pomocnym.

Mniejsza z tem, że mi kiedy niekiedy wyciągnęła trochę grosza, bo była chciwą bardzo, ale bywało przyjdę do niej wiedząc co jest warta... godzinę posiedzę, posłucham, tak mnie uwikła, iż ją i niewinną gotowem sądzić i niewiedzieć jakie dla niej ofiary ponieść.

Chciała widocznie owdowiawszy gdym coraz u króla w większych był łaskach, przyprowadzić mnie do tego ażebym się z nią ożenił. Zabiegała wszelkimi sposobami, znając słabość moją, pan Bóg mnie strzegł że ja się nie dałem wziąć w bardzo pospolite sidła... Gdybym nie nawykł szanować kobiet, a szczególnie takiej z którąbym żenić się miał, korzystał z zaprosin a zapomniał się, byłaby mnie z pomocą królowej zmusić mogła do ożenienia.

Ale ja szanowałem i na dobre mi to wyszło.

Byłbym uległ jej może, gdyby cokolwiek baczniejszą była na mnie jednym się ograniczała, ale razem dwu czy trzech miała zawsze napatrzonych, a choć ona mnie ślepym sądziła, nie byłem nim...

Trudno opowiedzieć a niewarto może wszystkich tej kobiety sztuk i wykrętów wyliczać. Z każdym była inaczej, razem dwu i trzech o jednej godzinie zwodziła, jak czysty kameleon tak się mieniła, że wesołość, płacz, gniew, smutek, wszystko razem nie ją nie kosztowały.

Nikt nigdy słowa prawdy z ust jej nie posłyszał, ale gdy chciała oszukać, najostrożniejszego swoją miną uwiodła.

Właśnie jakoś pod ten czas, pamiętam, żartując tak ze mną i baraszkując, powiedziała mi te słowa.

W. mość mi się bronisz, bronisz i sądzisz, że gdybym ja chciała, to bym go nie wzięła? Musiałbyś się ożenić ze mną. Ale na to czas. Jak zechcę, poprowadzisz mnie do ołtarza!!

Mnie się aż gorąco zrobiło, szepnąłem, *Quod Deus avertat.*

Na weselu siostry mieliśmy gości tyle, iż ich nie tylko dwór, lamus, śpichrze, ale część stodoły dla nich opróżniona nie mieściły. Matka i ja staraliśmy się aby gody były sute... Miała siostra wyprawę zawczasu przygotowaną i kosztowną i piękną i dostatnią, wino nawet na wesele przeznaczone od lat kilkunastu było w piwnicy, na niczem nie zbywało... Za bratem tylko Michałem tęskniliśmy, bo ten nie mógł przybyć, gdyż go do Brumbergi wyprawiono do misyi.

Podborodeńskich w tych stronach rodzina stara, można, skoligacona z najważniejszymi domami, a wszystko to na weselu być musiało, naszych też i matki krewnych zjechała się moc wielka... Wesele trwało tydzień jak obszył, a po niem jeszcze kilka dni było zmniejszonych gości, zawsze osób kilkanaście...

Wśród mnóstwa panien, między którymi i bardzo urodziwych nie brakło, miałem co wybierać, ałem tu dopiero postrzegł, że sobie smak popsulem. Wydały mi się jakoś prostaczkowate, i po francuzkach nieokrzesane. Za radą Szaniawskiego idąc, chciałem się

w której zakochać a po wojnie, jakby Bóg dał powrócić, ożenić i osiaść na wsi.

Przysiadalem się z kolei do wszystkich, poczynalem rozmowy, ale, nie szło...

Nie one były winny tylko ja, com sobie na złej strawie podniebienie zepsuł.

Matka mnie z oka nie spuszczała, i wzdychała widząc tak obojętnym.

Mnie też w głowie naówczas amory nie były, bo wiedziałem co czeka, że król pewnie się da nakłonić, pójdzie na odsiecz Wiedniowi, a ja z nim. Niemogłem tak dobrego i łaskawego pana opuścić w konjunkturze owej, gdym mu właśnie mógł być potrzebnym, chociażby dla pilnowania żeby materaca, torebki z owocami i butelki z winem wozic za nim nie zapomniano... Spieszno mi było do niego, nimby królestwo wybrali się do Krakowa.

Zaraz więc po weselu, piękny podarek siostrze złożywszy, obdarzywszy też szwagra, pożegnawszy starych domu przyjaciół, puściłem się ku Żółkwi i Jaworowu, nie wiedząc kędy króla szukać, bo wiadomości po kraju, nawet osób królewskich się tyczące, bardzo się powoli rozchodziły, a często i zawodne bywały.

Królestwo znalazłem na wyjeźdźnym do Krakowa, bo Pani też odprowadzała męża, ze szczególną dla niego okazując się czułością, jakiej oddawna nie doznawał z jej strony. Mogła też ona być szczerą, bo uchowaj Boże czego, nie miała dość przyjaciół, aby na nich dla siebie i dzieci rachować mogła. Jeden tylko Jabłonowski, teraz Hetman wielki koronny, zawsze jej pozostawał wiernym.

Króla, nad wszelkie spodziewanie, zastałem wesółym, wielce tą wyprawą przejętym, po całych dniach na mapach, które mu zewsząd przywożono, śledzącym ruchy wojsk, położenie Wiednia, przejście Dunaju itp.

Powszechnie to znanem było, iż nikt o obrotach

turków, o ich zamiarach i planach nie był lepiej zawiadomionym nad króla naszego.

Zda się to fabułą gdy powiem, że nawet w Radzie najwyższej ich, w Dywanie miał zawsze swoich, opłacanych dobrze donosicieli. Tatarowie też, niektóre zwłaszcza Ordy, potajemnie były w stosunkach z Sobieskim i rozkazy jego spełniały. Przyczyniało się do utrzymania tego porozumienia, iż król po turecku i po tatarsku dobrze mówił, języki te rozumiał, z niewolników pobranych zawsze miał w Jaworowie, potem w Wilanowie ludzi dużo przy robotach w ogrodach, budynkach, z nimi konwersował i niekiedy ich obdarzonych wypuszczał z rozmaitemi do ord poleceniami. Napatrzywszy się jego potęgi i bogactw w Polsce, ci niewolnicy roznosili potem po Ordach sławę króla i dobroć jego sławili...

Bardzo często się trafiało, iż który z hanów, chcąc się mu zasłużyć, gońca—więźnia jakiego chrześcijanina do króla wyprawiał z oznajmieniem dokąd, którędy i kiedy się iść gotowali.

Sobieski więc pewnie lepiej był oświadczeniem i teraz co turcy przedsiębrać mieli i pierwszy dał znać do Wiednia, że Kara Mustafa szedł na stolicę. W początku rzuciło to popłoch, zaczęto się przygotowywać do obrony, myślano przedmieścia palić, potem ochłonawszy Niemcy powiedzieli sobie, iż to bajką jest i próżnym postrachem. Zdawało się im, że Turek ważyć by się nie śmiał na Cesarską stolicę. Wszystko więc pozostało do ostatniej chwili prawie zaniedbanem, patrzano tylko na Węgry, sądząc, że tam się wojna ograniczy.

Dopiero gdy już cała owa nawała niewiernych, nie wojsko można było powiedzieć, ale jakby naród ogromny spadł na kraje rakuskie, a Węgrowie wszyscy woleli Tureckimi być hołdownikami niż w rakuskiej trwać niewoli, w ostatniej godzinie, Cesarz po nocy b rodziną swą uchodzić musiał salwując się z Wiednia, zo nieufał aby się tu mógł utrzymać.

Po niewczasie przekonano się, że Sobieskiego informacje nie zawodziły, i tem mocniej pomocy jego się domagano.

Książę Karol Lotaryński był też wodzem i żołnierzem dzielnym, czego dał dowody, ale co innego było walczyć z europejskiem wojskiem a inna z ordami tatarów i turków, których on azi obyczaju ni języka, ni sposobu wojowania świadomym niebył...

Urok też imienia króla, siejącego trwogę między poganami tak był wielki, co się później okazało, iż twierdze silne, które niemcy oblegali i próżno do poddania się wzywali, na imię Sobieskiego natychmiast białe wywieszały chorągwie.

Przyczem należy i to zapisać, iż król nawet z pogany w niewoli dosyć ludzko się obchodzić kazał. Bardzo wielu używano do lekkich robót, do dozoru dworów i zamków, a ci co wały sypali, kopali i t. p. mieli żywność zdrową i taką do jakiej byli przywykli.

Król, gdym się mu stawił po powrocie, okazał mi twarz bardzo wesolą i widocznie rad był.

— A toś mi zuch — rzekł kręcąc mnie za ucho, jak był przywykł pod dobry humor — lubię to, że i w małej rzeczy słowa dotrzymujesz... No!! gotuj że się do drogi... Niewiem czy w sakwie co będzie, ale sakwy ci zdać muszę... a od siebie cię nie puszcę. Pilnuj mi się od kul, bo jesteś potrzeby.

N. Panie, odparłem przypominając strzałę tatarską pod Żurawnem, mam takie szczęście, że gdzie kule albo strzały latają, nigdy mnie nie miną...

— Pilnuj że się abyś zawsze Dumoulin'a pod bokiem miał—dodał król, ten cię zaraz obandażuje...

Rzadkom króla mocniejszym, ale też mocniej zajętym widywał jak o te czasy. Słał listy i uniwersały na wszystkie strony, kozaków chcąc swoich mieć koniecznie, a ci w porę nie nadciągnęli, potem Litwę, która się haniebnie spóźniła i przyszła jak łyżka po obiedzie.

Całemi dniami z Dupontem z innemi inżynierami

siadywał nad planami, utyskując, że dobrych map i kart nie było nigdzie, choć je zewsząd sprowadzać kazał i przepłacał.

O wszystkim musiał sam pamiętać, aż do kopij dla pancernych i kopijników, na których w istocie później zbywało, tak, że je po drodze jeszcze strugano i wozy całe szły ich pełne za nami.

Widząc króla tak przejętym i troszczącym się drudzy też dla przypodobania mu się, pilnowali wyboru, ale pomimo to szło nie sporo, i co król przewidywał, wiele potem rzeczy zabrakło, z którymi już nadażyć nie mogli ci co się spóźniali.

Byli też tacy w wojsku samem, jak nasz powinowaty Polanowski Stolnik koronny, żołnierz doskonały mąż ducha rycerskiego, wielce przez króla ceniony, chociaż hypokondryk, który całą tę wyprawę naganił, i przepowiedział jej najgorsze następstwa. Sam słyszałem go narzekającego, że król na zgubę swą idzie i kwiat rycerstwa prowadzi, bo inna rzecz na swoich śmieciach, we własnym kraju nieprzyjaciela ścigać, a inna w nieznanych okolicach, nie mając zapewnionej żywności, ludność też obcą i niechętną, walczyć i z nieprzyjacielem i ze sprzymierzeńcem i z elementami nawet, których się nie wie siły i skutków.

Jakoż później, już z drogi się Polanowski zrażony cofnął i do domu powrócił, zobaczywszy, że króla nie od tej imprezy odciągnąć nie mogło. Przewidywał on też łatwo, iż niewdzięcznością Cesarz się wypłaci, bo mu wstyd będzie zawdzięczać ocalenie obcemu panu...

Królowa niemal codzień była inaczej usposobioną. Raz chciała korzystać z okoliczności tych, dla rodziny i syna, to się obawiała o męża i o Fanfenka, który już wówczas nie był jej najulubieńszym. Jakoż można było przewidywać, że nie ulegnie matce do zbytku i zechce mieć wolę swoją.

Jakub kilkunastoletni, z zapalem młodzieńczym napierał się na tę wyprawę, ale ci co go lepiej znali, powiadali, że nie dla ducha rycerskiego tak się wyrz-

wał za ojcem, ale przez prostą dziecinną ciekawość i w tej nadziei, że swobody mieć musi więcej, ludzi się napatrzy i rozerwie.

Ojcu zaś ta ochota Jakuba bardzo się podobała i nie był od tego, aby przy jego boku w pierwsze pole wyszedł. Było też komu go strzedz, bo brat królowej kawaler de Maligny, jechał też z nami i miał regiment... a był, jak już mówiłem, rycerz bardzo odważny i wielkiego serca.

W Krakowie co żyło a szczególnie duchowieństwo króla i królowę przyjmowało z wielkim zapalem...

Szliśmy jako na krucyatę...

Modlono się na intencję naszą po wszystkich kościołach, starzy pobożni świętobliwi kapłani, błogosławili i prorokowali.

A muszę tu zapisać, że wszystkie znaki i proroctwa zgodnie nam wielkie zwycięstwa wróżyły.

Opowiadano co chwila o jakimś nowem zjawisku na niebie, głosach po kościołach, znakach które się około króla ukazywały.

Otaczały go tłumy, kościoły były pełne... król z królową codziennie prawie w innym nabożeństwie i suplikacyi słuchał.

Do Krakowa już gdyśmy się wybierali, a codziennie coś się spóźniało i na coś oczekiwać było potrzeba, poczęli posłańcy od księcia Lotaryńskiego i od Lubomirskiego, którzy z kilku tysiącami przy nim byli, nadchodzić, nagłąc a błagając aby król pośpieszał, gdyż miasto wielce zagrożone było, ściśnięte a lada chwilę obawiano się wyłomu i wtargnięcia...

Król odbierając te wiadomości, musiał w końcu wyrzec się opóźnionych i z tem co miał ciągnąć. Wprawdzie przewidywano, że Lotaryński i obleżeni może trochę grozę swego położenia zwiększali, aby Sobieskiego przybycie przyspieszyć, ale w samej istocie czasu do stracenia nie było. Z całych też Niemiec dopiero teraz się jakie takie posiłki pod komendą Lotaryńskiego ściągały, z Saksonii, Bawaryi, Wirtember-

ga i t. p. Jako i my uroczyście z Krakowa się ruszyli za pułkami, które w części nas uprzedziły, pisać nie będę, zapisali to inni w ówczesnych diaryuszach.

Królowa, jakom mówił dla męża i syna czułość okazując bardzo wielką, a niepokój o losy ich, postanowiła odprowadziwszy do Tarnowskich gór, wrócić do Krakowa i tam przez cały czas wyprawy pozostać, aby mieć częstsze i pewniejsze wiadomości.

W Tarnowskich górach, jużemy po pierwszej próbie mieli doświadczenie, czem to będzie dalszy pochód w kraju obcym i nieznanym, z ludźmi do takich wypraw nie nawykłemi. Ja co miałem sobie dozór zwierzony nad częścią wozów i osobistych króla sprzętów, oręża, szat, nie mogłem sobie rady dać. Jak mi się nasi woźnice zaczęli żegnać w Krakowie, a potem opóźniać w drodze, koła i osie łamać, pakunki ginąć, myślałem, że głowę stracę, nim ład i porządek zaprowadzę.

Lecz, mniejsza o to... *de minimis* nie było się tu co troszczyć... Patrzyłem na króla, królowę, familię, przyjaciół i domowników. Urozyste to były godziny, szczególnie dla naszego pana, który w istocie wyglądał jako wysłaniec Boży, jako rycerz chrześcijański, obrońca chrześcijaństwa.

Zdał się to czuć, taką miał powagę wielką i majestat na obliczu, tak każde jego słowo tchnęło jakimś namaszczeniem.

W ludziach widać było pewną trwogę, królowa, Boże mi przepuść, nie z miłości dla małżonka, ale z obawy o los własny, drżała i płakała bez przerwy prawie. Z otaczających króla znaczniejsza część, jak stolnik Polanowski, miała strach w sercu i mało ufności w sukces. W królu widziałem jedną tylko troskę aby nic nie zabrakło co mieć potrzebował, zresztą szedł z taką w Bogu ufnością, tak pewien siebie, iż drugim dodawał otuchy.

Gdyby też on o najmniejszej rzeczy niepamiętał, jak to wyżej pisałem o włóczęgach, niewiem ktoby

tem rozporządził, bo w pochodzie, mimo Stanownicznych, pomimo, że przodem oznajmowano o nas, kwatery wyznaczono, żywność otrzymano, mało gdzie się znalazło wszystko na czas i poddostatkiem. Król przysposabiając się do konia, z którego później prawie nie zsiadał, prawie ciągle konno jechał, a dla tuszy i wagi ciągle mu je zmieniać było trzeba.

Po pożegnaniu z królową, która mdlała, chociaż ręczyć nie mogę czy dla oczów ludzkich, czy że istotnie mdłości doznawała, król jechał pomodliwszy się, całę ożywiony i wielkiego nie okazując smutku.

A żem wyżej wyraził powątpiewanie o mdłościach królowej, dodać muszę, że *post festum* ktoś z przyjaciół N. Pani puścił świat, jakoby o przyczynę łez na odjeźdźnem i przy pożegnaniu z Jakubkiem spytana odpowiedzieć miała. Płacząc nad tem, że drogi mój syn za młody jest aby mógł iść walczyć wraz z ojcem.

Otóż tej spartańskiej odpowiedzi królowej nikt naówczas ani słyszał, ni o niej wiedział, dopiero po powrocie i tryumfach zapisano ją, w diariusze... Wcale ona do Maryi Kaźmiry nie przystaje... i bardzo wątpię aby coś podobnego pomyślała przy rozstaniu... Drogiego też syna już naówczas przekładała nad Jakuba, choć ja, niedowiarek, nawet w macierzyńską miłość tego wyschłego i wystygłego serca nie wierzę...

Z Tarnowskich gór wyruszywszy (22 Sierpnia), ciągnęliśmy do Gliwic na Szlązku, gdzie dla nas w klasztorze oo. Reformatów kwatery były wyznaczone i opatrzone.

Przez cały ten dzień napędzali nas opóźnieni, do których i brat królowej Maligny należał. Dla tego król troskliwy, namiot kazał pozostawić.

Listy też, które w Krakowie króla nie zastały już, na drodze odebrał.

Z tych dowiedział się o tem, z czego się głośno naśmiewał, iż ów szalony a zuchwały Duverne, któremu oświadczone aby się sobie precz wynosił, w początku bardzo hardo się stawiał, potem składał się tem, że

nie francuzkim był posłańcem, ale księcia Transylwanii, upierał się w Gdańsku pozostać, a w końcu musiał zabierać się do odwrotu...

Cyfer zaś Morsztynowskich, o które we Francyi król upominał, pod różnemi pozorami, wydawać nie chciano.

Była to, jak się później okazało, ukartowana rzecz, aby Morsztyn wprzód z aresztu marszałkowskiego zbiegł i salwował się życiem...

Gdybyśmy byli wnosili z tego jak nas po drodze i w Glinianach witano, przyjmowano, zabiegano, można się było spodziewać, że nas na rękach nosić będą.

Duchowieństwo wszędzie niemal wołało—*Ave Salvator!*—niewielkich panów, komisarzy, różnego tytułu cesarskich urzędników po drodze zabiegała moc nieskończona aż do nprzykrzenia...

Królowi dziczyny, zwierzyny, bażantów, prowiantu osobliwego naskładano więcej niż go można było zużyć. Do Tarnowskich gór król kazał kresy rozstawić z trabantów, dla korespondencyi, chociaż ona później najniepocześciej przychodziła.

Z Gliwic król nie chcąc się wlec z ciężkiem wojskiem, które wolniej musiało się posuwać, oddzielił się we dwadzieścia kilka lekkich chorągwi z kilkuset dragonami, i szliśmy na Opawę do Ołomuńca naprzód.

Tam hrabia Schafgotsch wysłany przez cesarza miał czekać na naszego pana.

Początki naszego ciągnięcia, nie mogę inaczej powiedzieć, bardzo się przyjemnie zwiastowały, gorąco chociaż znaczne do wytrzymania było, pogoda piękna, kraj się nam wydał wesół, żyzny, obfity, ludność przyjazna i uprzejma.

W Raciborzu którąś do Opawy wyciągnęli graf jakiś przyjmował pana naszego, ale kosztem cesarza, chociaż u siebie. Sama pani z licznem gronem dam zabawiała też króla, który w karty z niemi grać musiał, nim do stołu podano. Na podziw wszyscy pełni byli wdzięczności i poszanowania, a nawet lud witał

błogosławiąc posiłki... przyjmowano nas obficie ugaszczając i jak niemożna lepiej.

Króla tu już słyszałem mówiącego, że musi pośpieszyć, bo się lęka aby turecy nie odstępili od Wiednia i zwycięstwa nam spodziewanego z rąk nie wydarli. Koniecznie przed początkiem Septembris chciał stanąć pod Wiedniem...

Pochód ten, gdyby już zwycięzki wesóły był, i wszystko szło jak z płatka.

W Raciborzu nakarmiono nas i napojono obficie, potem pod Opawą, znowu panie różne niemkinie, choć król w stodole się prostej zatrzymał, przyszły mu się przypatrywać i dziękować... Opawę bardzo piękne miasteczko tylkośmy przejechali, nie zatrzymując się w niem.

Drugiego dnia z noclegu o dobrą milę za miastem, bardzo pięknym krajem ujechawszy godzin parę, poczęły się góry morawskie.

Niemogę inaczej powiedzieć tylko, że dla oczów naszych, do podobnych widoków nie nawykłych, droga w górach powabną była, ale dla koni i wozów, żal mi Boże, bo skały, kamień, i przez strumienie powyrywane doły bardzo ją utrudniały, tak, że późną nocą ledwieśmy się do noclegu naznaczonego dobili, konie znużywszy, a i okolo wozów szkoda też była, bo wiele ich nie wytrzymało...

Tu już nas ów obiecany cesarski Schaßgotsch oczekiwał. Nie wiem jak się tam z królem JMością rozmówił i czy z niego rad był, alem to postrzegł, że król się zmarszczył, zdumiał i odprawił go wcale nie uprzejmie, tak, że domyśleć się było można iż poseł ów w czemś uchybić musiał i naukę dostał. Był to początek tych nieprzyjemności, które nam duma i dziwne wyobrażenia cesarskiej rady gotowały w przyszłości.

Ale Sobieski wszystko to przeczuwał, i jak należało, dawał odprawę.

Odjechał graf ów dosyć nosa spuściwszy, bo co chciał nauki dawać, sam pono dobrą dostał.

Słyszałem, jak się król i zżymał i oburzał na to...

Nazajutrz, ciągle pośpieszając, przyszło nam jeszcze niemal do południa przez te góry ciągnąć, a dalej ku Ołomuńcowi, równina się piękna roztoczyła przed nami.

Król się okrutnie męczył, bo go po drodze witano uroczyście, więc też dla mów i przyjęć musiał się odziewać paradnie, konia mieniać, występować, ale za to nasłuchiwał się salwatorów i pochwał a błogosławieństw do syta.

Toż samo czekało nas w Ołomuńcu od Jezuitów i duchowieństwa. Król, aby uniknąć fatygi, jaką mu to sprawiało, domagał się, aby za miastem naznaczono kwatery, tymczasem nie posłuchano go i dano ją w kamienicy pośród miasta, z izbami pustemi, ogromnemi, gdzie wszyscy na kupie być musieli.

Zapisuję to dla tego, ażebym okazał, jak nas witano, jak nas czczono, a jak się to potem wszystko szpetnie odmieniło. Strach jeszcze naówczas wielką tę miłość rodził...

Król niezmiernie pragnął pośpieszyć, bo miał wiadomość od księcia Lotaryńskiego, że ten się już z nieprzyjacielem ścierał, a obawiał się, aby mu przeciwko jego planom nie uczyniono co i nie popsuto co zamierzał...

Nie mogliśmy się skarżyć na brak języka od wojsk Cesarskich, bo tego ciągle po dwa razy na dzień dostawaliśmy, co w królu niepokój budziło, tak, że naglił co żywiej się chcąc dobić do Dunaju...

Ciągnęliśmy więc z pośpiechem wielkim, a znużenie to przy gorącu, król na podziw dobrze i zdrowo wytrzymywał, tylko na królewicza niewczas ten, a zmiana życia tak podziałała, że mu twarz, usta i policzki szpetnie opryszczyła, ale Dumoulin powiadał, że to ze krwi i bardzo dobrze jest...

Po drodze ciągle powitania, różnych książąt i pa-

nów, jakiejs księżnej Lichtenstejnowej, która, powiadano, była przy królowej Eleonorze i królowi znającą.

Mszy świętej, w sam dzień ściecia św. Jana, król i my słuchaliśmy w Brunie albo raczej Brnie, bardzo pięknej mieścinie, nad którem panuje mocny zamek na wysokiej górze, a dokoła kraj, jak Ukraina, żyzny i zamożny... Przyjmowali nas uroczyście księża Franciszkanie, a tłok ludu ciekawego był wielki i dla odpustu, i dla nas.

Myśmy z rozkoszą się przypatrywali tutejszej zamożności a szczęśliwości ludu, który oprócz wszelakiego zboża, winnic ma i owoców najpiękniejszych pod dostatkiem. Chłopskie chaty, którychby na nie jeden nasz dworek szlachecki nie pomieniali. Obiadem nas w Brnie ze dworem razem królewskim przyjmował graf Kołowrat, którego nasi Kołowrotom przezwali, bo ten rządzi prowincją... król z przyjęcia i jedzenia był dosyć rad...

Król tu listy odebrał od Lotaryngskiego na imię Boże, na wszystko zaklinające, aby pośpieszał, bo Starenberg, a jego pismo też było przyłączone, pisał, że długo się już trzymać nie może, nieprzyjaciel w jednym z nami siedzi rawelinie, idzie ziemią podkopem pod Beluard zwany Cesarskim, tak, że ci, co kont-mi-ny kopią, czują go naprzeciwko siebie...

Ponotowałem naówczas te doniesienia, że się posiłków od elektorów co chwila spodziewano, oprócz brandenburgskiego, że turcy mosty pozwalane przy Wiedniu na nowo odbudowywali i szanice koło nich sypali.

Król już spokojniejszym był, bom go słyszał mówiącego do wojewody Wołyńskiego.

— Da Bóg jutro posłyszemy działa wiedeńskie i napijemy się wody z Dunaju.

Teraz już się tem kłopotał, że o kozakach, których chciał mieć przeciwko tatarom, nic nie było słyhać, i Litwa niewiedzieć co z sobą poczyniała.

Król jej już nie potrzebował i życzył, aby na Węgry poszła dla dywersyi.

Takeśmy się dobili do Heiligenbron, niedaleko od Tulmu, gdzie most budować kazano. Król ztąd w kilkanaście koni jeździł pod Nikielsburg, bo go chciał oglądać sam, nie spuszczać się na cudze oczy. Wydziwić się obcy nie mogą, a i my też, jak król czynny, rzeźwy, niezmordowany i na małym poprzestający.

Ja, co go w pospolitem życiu, przy wszystkich wygodach widywać nawykłem często ocieężałego i uskarżającego się na różne dolegliwości, tu go poznać nie mogłem. Duchem się dźwigał, ale mocą cudowną. Nie dosypiał, nie dojadał, zużył się, a rzeźwy tak był, że Jakubek z nim nie wytrwał, choć starał się go naśladować.

Ale w Jakóbkku krew jakaś inna, charakter wcale odmienny, rzekłbym, że z matki coś wziął, a cudzoziemcem pachnie. Zarzucić mu nie można, iż rycersko się stara okazywać, lecz z kanclerzem Maligny, albo z Dupontem milej mu, niż z polską drużyną i tam go serce ciągnie.

Szlachcica w nim już polskiego ani szukać, ni znaleźć.

Ale wracam do tego, co nas spotykało, a naprzód do onego księcia Lotaryńskiego, o którym żeśmy się niezmiernie wiele nasłuchali z dawna, jako o wodzu znakomitym, wszyscy, nie wyjmując króla, byli go nad miarę ciekawi.

Ten królowi w kilkanaście koni zabiegł drogę, *cum debita reverentia*, bo szło o to wielce, jak się postawi i czy zechce obok króla być niezależnym generalissimusem, lub podda się komendzie pana naszego. Otóż miał ten rozum, iż nie pretendował zostać swobodnym, ale po dobrej woli ofiarował się słuchać, boć gdyby dwu rozkazywało, gorzej jakby żadnego nie było.

Po naszym panu, jak się nam ów wódz wydał niepoczesnym i z figury, i z ubioru, wypowiedzieć trudno. Średniego wzrostu, postawa pospolita i niczem się

nieodznacząca, choć pewien wigor w niej czuć. Twarz też opalona, czerwona, nos, jak u papugi i oczy tylko żywe a rozumne. Chociaż do króla jechał, wcale się na ubranie nie wysadził, suknię miał szaraczkową z trochę galonów i guzików pozłocistych, kapelusz bez piór, buty żółte, ale zbrukane i mocno wytarte.

Słyszałem jednak, gdy się król potem odzywał o nim z wielkimi pochwałami i bardzo go wysoko szacując z tej prostoty i skromności a rozumu bystrego i znajomości sztuki wojennej.

I tom słyszał, gdy król w rozmowie z nim rzekł śmiejąc się.

— Nie mamy się co tych turków i tego czarnego Musztafy obawiać, bo nieprzyjaciół, który nam bez przeszkody daje most na Dunaju budować, i albo nie wie o nim lub nie dba, zaprawdę nie jest strasznym.

Król jego i innych gości przybywających, na których nam nie zbywało, przyjmował, jak na obóz, wśród wojny, bardzo honeste i pańsko, bo ani jadła, ani wina nie brakło i choć nie pito, ale wszyscy sobie podwесelili, nie wyjmując Lotaryńskiego, który zrazu wino lekkie pił z wodą, ale potem dał się i na węgierskie nakłonić.

Król bardzo rad był, bo się wszyscy oświadczyli, iż w najmniejszej rzeczy słuchać go będą i ordynansom jego podlegać. Szło mu trosze o godność, ale pewnie więcej o sukces, który zależał na tem, ażeby jedna myśl i ręka kierowała wszystkiem.

Z obejścia się z panem naszym, z poszanowania dla niego, z radości, jaka się na ich twarzy malowała, gdy się przypatrywali wojsku naszemu, znać było, jak nas tu potrzebowali, że nie darmo króla wszędzie, jako wybawiciela witano.

Nam zdawało się dotąd wszystko sprzyjać, mosty te, o które królowi tak chodziło, aby je bez przeszkody mógł wystawić, już na ukończeniu, wojska wyglądały, mimo strudzenia, bardzo okazale, z wyjątkiem kilku pułków piechoty, odartych. Jednego dnia na nie-

bie obserwowaliśmy przez kilka minut osobliwą tęczę i jasny pas, niby jakiś znak, albo jakby olbrzymią literę, której nie było tylko nam komu wytłumaczyć, ale wyglądała ona niejako groźba, miotła lub różga, ale jasno i śmiejąca się, co daj Panie Boże wszechmogący! wołaliśmy.

Król ciągle dobrej myśli, ale troskliwy, wszędzie zaglądał, o żołnierzy, o konie się kłopotał, rad był nakarmić, napoić, a sam mało co jadł i to najwięcej owoców.

(Z mojego pisania widzicie, iż stare konotatki wciągają tu, bom w Krakowie umyślnie sobie papier oprawić kazał dla regestrów i rachunków, przy czem się to i owo notowało).

O książęciu Lotaryngskim, któregośmy też wszyscy ciekawi byli, król ciągle, mimo jego wytartych butów i „niecnotliwej peruki,” wyrażał się z wielkim szacunkiem. Zaraz po odjeździe, mówił Matczyńskiemu przy mnie:

— Zda się być poczciwy człowiek i wojnę rozumie bardzo dobrze, a do niej się aplikuje. Owo zgola takim go znam, że się z moją fantazją bardzo łatwo zgodzi i godzien większej daleko fortuny.

Ze Stetelsdorfu, o ćwierć mili od mostu, dla przeprawy wojsk z wielkim pośpiechem zbudowanego, bez żadnej przeszkody ze strony nieprzyjaciela, król z powodu, że sekretarz Talenti niedyspozycy był, mnie list do królowej dyktować raczył w części, a w części sam go pisał. Z tego sobie *praeter propter* przypominam, że się tłumaczył, iż nawet na korespondencyę czasu nie ma, gdyż konferencye ustawiczne z ks. Lotaryngskim i innemi, ordynanse, komplementa, witania po miastach, nietylko siła pisać, ale ani jeść, ani spać w porę iść nie dawały.

Nieprzyjaciel był już o cztery mile od nas, a tu przy każdym spotkaniu ceremonialy, kto gdzie ma stać, kto z tyłu, kto na przodzie, po lewej lub prawej ręce. Królowa się widać troskać musiała, jak tam

majestat królewski wśród okazałości cesarskich prezentować się będzie, na co król odpowiadał, z prawdą zgodnie, że z powierzchowności sądząc, za krezusów Polaków mieć mogą, bo barwy na paikach, na paziach, na lokajach bardzo piękne, konie bogato poubierane, pokoje obite, królewski i ks. Jakuba złocistemi oponami, antykamera brokatelą. U nich zaś (u Niemców) ani centka srebra na koniach, suknie proste, wpół z niemiecka, na wpół z węgierska, wozy proste, pažia ani lokaja żadnego nie widać.

Książę elektor saski, który wczoraj też przybył, w prostej czerwonej sukni, szarfą karmazynową z franzłą prostą przepasany, wzrostu średniego, twarzy dosyć dobrej, broda staroniemieckim obyczajem, na pozór dosyć *simplex*, a, co najdziwniejsza, żadnym językiem, oprócz niemieckiego, nie mówiący, tym zaś także nie wiele i nie bystro... Za to do napoju i kubka bardzo pilny...

I ten także pod ordynans króla się stawiał... a pomimo, iż sam tak niepoczesno wyglądał, znaleźliśmy piechotę jego, którą król oglądał, w bardzo pięknym porządku, czysto odzianą i dobrze uzbrojoną.

Obawiał się dotąd król JMśc, aby go pod Wiedniem z akcyą nie uprzedzono i nie nadwerekowano planów jego, ale tu się mógł z rozmów przekonać, iż nie tylko się o to lękać nie potrzebował, ale opieszających i ociągających się napędzać było potrzeba.

Rzecz oczywista, że nie bardzo pewni siebie, gdy do ostatecznej rozprawy, która o losie miasta i kraju rozstrzygać miała, przychodziło, wahać się musieli.

Z królewicza Jakuba, któremu towarzyszków stałych król dotąd nie wyznaczył, mając trudność w wyborze ich, dosyć kontent dotąd był, jako też z hrab. Maligny, którzy oba nieodstępnie mu towarzyszyli.

Przy królu sypiali, oprócz nas, na zawołanie będąc podskarbi nadworny Modrzejowski i starosta łucki Miączyński. Jeszcze tu zapisać i powtarzać muszę wielką admiracyę moją dla pana naszego, bom go ni-

gdy tak pracowitym nie widział, tak niezmordowanym, a o jadle, o śnie, o spoczynku zapominającym. Mil dziesięć do mostów i nazad na rozstawnych koniach zrobić jednego dnia, bez odetchnienia prawie, to dla niego nic...

Ale Dumoulin i Janusz powiadają, że już z tuszy cokolwiek spadł, prorokując, że schudnąć musi, co mu na korzyść wyjdzie. Na twarzy rumiano wygląda, choć policzki nieco opadły...

Do mostu pod Tulnem zbliżając się, osobliwego posta papieżkiego spotkaliśmy, którego król i wszyscy z nadzwyczajnym respektem przyjmowali, chociaż, Boże odpuść, nie wyglądał lepiej od naszych kwestarzów, albo raczej grubszą jeszcze suknią odziany; nogi bose, habit na golem ciele...

Jest to wielkiej świętobliwości zakonnik kapucyn, Ojciec Marek, którego wszędzie za niemal już błogosławionego za żywota ludzie mają, dar mu proroczy przyznają i do rąk się cisną...

Opisać go chyba nie potrafię, ale takim sobie wyobrażam onego S-go Kapistrana, o którym w żywotach czytałem. Postawa dosyć piękna, ale kości na nim i skóra ogorzała, świecąca jak pargamin... oczy pałające ogniem jakimś, szczególnie, gdy się modli, zdaje się naszego świata nie widzieć wcale... Odzież na nim gruba, sznurem prostym przepasana, nogi w trepkach, ręce tylko z twarzą nie pasują, bo białe i piękne, choć wychudłe.

Królowie i książęta dla niego, jakby ich nie znał, ani potrzebował wiedzieć czem są, bo dla wszystkich i dla najmizerniejszego pacholika jednakim jest. Do króla JMci snadź osobne polecenia miał od Ojca Św., bo sam go szukał, a przy powitaniu ze łzami niemal błogosławił, poczem na osobności z nim więcej pół godziny strawił. Słyszałem, jak potem król hrabiemu Maligny rozповідаł, iż O. Marek Cesarza wprzód widział i napominał go, ukazując za co Pan Bóg te kraje tak surowo karze. Przyczem upewnił, że Ce-

sarz się nie zbliży do wojsk, bo mu on to nietylko odradzał, ale wzbronił.

Król rad temu był, gdyż go sobie nie życzył, a pono i sam Cesarz ochoty wielkiej nie okazywał w tę matnię wpaść, bo wojska się ruszały w góry, wąwozy i lasy ku Wiedniowi, gdzie tatarowie łącno z tyłu niepokoić mogli...

Nabożeństwo, które odprawiał Ojciec Marek, do żadnego zwykłego podobnem nie było... król i starszyzna z rąk pobożnego kapłana komunę świętą przyjmowali, przyczem głośno pytał, czy mają w Bogu ufność, i za sobą po razy kilka powtarzać kazał — Jezus, Marya...

Otucha wielka z tym świętobliwym mężem wstąpiła we wszystkich, jakby go tu Pan Bóg nam zesłał w tym momencie, gdy mężstwa dodać było potrzeba.

Przeprawa przez mosty, które nareszcie gotowe stały, dosyć kłopotliwa była, bo ciągle tu i owdzie się coś psuło, a deszcz i ślizgawica wozom nie na pożytek. Za Dunajem kraj, mówiono, wygłodzony i opustoszały, gdyż tatarowie tu stali przez niedziel kilka, a po nich, jak po szarańczy, niczem się już nie pożywi.

Drogi przez góry, wąwozy i gęstwinę leśną trudne i niepewne, przewodników tak jak niedostać, a karty i mapy okazywały się, na co król bardzo utyskiwał, albo fałszywe lub niewystarczające.

Przodem miały iść piechoty i dla jazdy drogi przebieć, rozszerzać i wyrąbywać. Największa męka z wozami była, których porzucić niepodobna, a ciągnąć je z sobą niewymownie trudno przychodziło, szczególnie dla koni i paszy, bo tu trawy ani na lekarstwo. Nie były też budowane na takie bezdroża kamieniste, przez jakie się z ciężarem wlec musieliśmy.

Dotąd król ze wszystkich rad, na nikogo się nie skarżył, ksiązę Lotaryngski i Saski oba go słuchali, ordynanse przyjmowali i do nich się rekomendowali, oprócz nich książąt Rzeszy niemieckiej na łeb na szyję zbiegało się mnóstwo, którzy opóźniwszy się, a zasły-

szawszy o królu, pośpieszali dniem i nocą. Słyszeliśmy o Bawarskim, dwu Neuburskich, Hanowerskim, Anhalt i innych, których imion nie pochwyciłem. Oprócz tego ochotnika niby krzyżowców, różnych narodowości, chciwych boju, pod takim wodzem, kawalerów siła było . . . którzy po różnych oddziałach się rozmieszczali.

Książę Saski z wielkiem podziwieniem kawalera Maligny, ciągle w swej czerwonej przepłowiałej sukni, obok naszego pana objeżdżał wojska, niby ze dworu jego ktoś, niepodobny wcale do panującego.

Na koniu u rzędzika srebra ledwo dojrzeć było, paziów ani lokajów przy nim żadnych, namieciska z prostego cwilichu... Asystencya przy nim sami oficerowie, brzuchatych dosyć i twarze tego rumiane.

Języka prawie codzień dostawaliśmy, który na jedno się wszystek godził, że w obozie tureckim o przybywaniu króla naszego nie wiedziano, albo raczej wierzyć na żaden sposób nie chciano. Podjazdy nasze powracające powiadały, że dział strzelania pod murami srogiego nie słychać, z muszkietów tylko ognia dają i pono miny kopią, a czarny Mustafa nie rad miasta szturmem brać dla łupu, bo grabieży przy zdobyćcin gwałtownem nie uniknąć, a jemu się chce owe skarby niezmierne, jakich się w Wiedniu spodziewa, samemu zagarnąć. Ztąd ta jego powolność i zwłoki, czemu król rad był, bo się niczego więcej nie obawiał nad to, jak żeby bez nas się obeszli i nas kto nie uprzedził.

Widziemy teraz, że strach ten był płonny, bo gdyby nie odsiecz, Wiedeńby się poddać musiał.

Tak dalece w króla tu nie wierzono i nie spodziewano się go, że poseł od Tekelego, który do Lotaryńskiego przybył, ofiarując pośrednictwo jego dla uzyskania armistycyum; zobaczywszy naszego pana, języka w gębie zapomniał.

Nie wiem czym o tem pisał, że Tekeli dla króla względy miał wielkie, bo się go obawiał i posłusznym

być musiał. Przez tego więc posła, Talentemu król kazał cyframi napomnienie Tekelemu wysłać, aby pamiętał do czego się zobowiązał, chcieli być caly...

Im bliżej Wiednia, tem goręcej nam wszystkim było; cóż o nas mówić, gdy i król ani wygod już, ani opatrzenia potrzebnego nie miał.

Często dobrej wody mu dostać nie można było, a za całą strawę kawałek chleba starczyć musiał, ale król to tak wesoło Panu Bogu ofiarował, jakby we wszystko opływał.

Ledwie oczy etworzył a przeżegnał się, już pytał o nowiny, o języku, posyłał, wyprawiał. Największy niepokój, gdy długo od królowej nie otrzymujemy wiadomości, a te bardzo nie regularnie przychodziły, chociaż środki obmyślane były, aby na posłańcach, trebantach, kursorach i różnych kresach nie zbywało.

Na posiłki, na kozaków Meżyńskiego, który z nami we Lwowie dopiero stał, wcale król nie rachował, bo nam o liczbę nie szło już, ale o dzielność żołnierza...

Opowiedzieć trudno jakimi to drogami, z jakim utrapieniem i znużeniem dla koni, które prawie gałęzmi samemi żywić przychodziło, daleko później, niż król pragnął na Kalenberg już pod Wiedeń dostaliśmy się. W drodze cudem prawdziwym prawieśmy żadnej przeszkody ze strony nieprzyjaciela nie mieli, raz dla tego, że się wojsk w tych górach i lasach nie spodziewał, powtóre, że w króla do ostatka nie wierzył.

Złączył się z nami elektor bawarski, młody jeszcze, z twarzy niczego, nieszpety, prezencya lepsza, niż saskiego i okolo niego też czyściej a wytworniej, konie piękne, ale dworu żadnego tak jak nie widać było. Ten z królewiczem Jakóbem się zapoznawszy, poufale do niego przystał i w komitywie najlepszej, czemu nasz pan rad, przyjmował go wielce życzliwie.

Obaj elektorowie, którzy się zrazu trochę opodał od króla trzymali, teraz, gdy już nieprzyjacieli blisko

był, stawili się po kilka razy na dzień, parol odbierali, dopytywali sami o rozkazy, akomodowali się chętnie.

Król wczoraj mówił z widoczną radością.

— Kapitan najprostszy nie mógłby być posłuszniejszym od nich i dlatego możemy, przy łasce Bożej, spodziewać się dobrego końca... lubo nie bez muzu, bo inaczej i gorzej rzeczy tu stoją, aniżeli nas informowano.

Com wyżej pisał o przeprawach górami do Kalenbergu, ani dać może wyobrażenia o tem, co wojsko i my ucierpieliśmy. Miejscami nie iść, nie jechać, ale się wprost trzeba było drapać na strome wyniosłości bez drogi wszelkiej, a wymyte deszczami wąwozy, przepaścisto przebywając, często kozom nóg zazdrościliśmy, bo nasze do takich przepraw nie były stworzone.

Wszakże z pomocą Bożą jakoś, bez wielkich strat i szwanków dobiliśmy się już tu, gdzie nad tureckim obozem niewidzialni stanęliśmy. Narady ciągle trwały dniem i nocą, gdzie kogo postawić.

Król wszystkie wozy swoje, które prowianty, sprzęty, namioty lepsze i łopaty wiozły, mnsiał, oprócz niezbędnych kilku, pozostawić za sobą nad Dunajem w miejscn, jak się zdawało, dosyć bezpiecznem. Patrzyłem na to z podziwieniem i admiracją, jak się bez wszystkiego obchodził wesoło, na nic nie utyskując. Kazałem za nim wozic na siodle materacyk lekki, aby potrzebując spocząć, na gołej ziemi nie legał, ale rzadko na niego czekał.

Turecka nieopatrność, czy z woli Bożej, zaślepienie dla nas niepojęte były. Nasza dragonia i kozacy podkradali się pod nich, bydło im zabierali, ludzi chwyтали, wszystko to było na rachunek inny, a o nas jakby nie wiedzieli.

Przez parę dni byliśmy z królem bez wojska, które nadażyć nie mogło z takim pośpiechem, a król pozycją chciał oglądać.

Tu dopiero okazała się deceptya wielka, straszna, która w początku naszego pana do rozpaczey prawie przywiodła, bo na wszystkich kartach i planach stało, iż wszedłszy na Kalenberg ztąd już pod miasto żadnej trudności ani zawady nie napotkamy. Tymczasem zamiast winnić, jakimi góra mierna okryta być miała, gdyśmy stanęli na wyżynie ujrzeliśmy u stóp naszych obóz turecki ogromny, rozłożony jak miasto nieprzejrzane, dalej Wiedeń nim opasany, jak na dłoni i po za nim przestrzeń na mil kilkanaście, ale w prawo, cośmy się pola spodziewali, las gęsty, przepaście i straszliwa stroma wyniosłość.

Ksiązę Lotaryngski pytany, przyznał to, iż się na mapach zawiódł, królowi zaś teraz przyszło zmienić plan i zamiast uderzenia nagłego i prędkiego powoli się skradać, podchodzić, naciskać.

Szcześnieście turcy, jak to już widać, obozu nie okopali, stał otworem, ani go podobieństwem było obwarować, taką rozciągłość miał wielką. Komendant wiedeński, Starenberg, już o przybyciu odsieczy za-
wiadomiony, iacami nas wypuszczonemi nocą pozdrowił.

Wojsko nasze stało wszerez dobre pół mili zalegając w górach i lasach, na prawem skrzydle, król na samym skraju nocował przy piechotach, zktąd obóz całtecčki turków widać było, a w nocy huk dział ustawiczny oka zmrużyć nie dawał.

Bóg wiedział, co nas tu czekało, ale, że na to patrzeć nie każdemu się w życiu dostało i że rozkosz to wielka widzieć ten kraj, gród, te namioty, jako grzyby, te ogniste nocą po niebiosach wstęgi, te dymy kłębiące się nad wieżami i całe niezmierzone owo *spectaculum*, gdyby sen wielkie i dziwne, to pewna. Panu Bogu dziękowałem, że mi się to dostało, trudu nie żałując jaki poniosłem. Oczy się nie napatrzyły, uszy nasłuchać nie mogły, bo i one miały co chwytąć

Gdy wiatr, którego my tu na górach mamy, podobnie statkiem mieliśmy, wionął na nas, a przyniósł razem

huk tych dział, odgłos daleki dzwonów, ryk wielbłądów, rżenie koni, mrużenie obozowe, chrzęst, brzęk, aż mrowie przechodziło po człowieku.

Żadnaby muzyka tak do głębin duszy nie przemawiała. Trwoga ogarniała jakąś i podziw. A rodziło się pytanie, co Bóg z nami uczynić zechce, bo tu już żaden rozum ludzki nie uie mógł obrachować.

Jeżeli się nie mylę, któl nasz na tatarów wezyrskich coś rachować musiał, bo się o nich ustawicznie dopytywał i posyłał swoich, aby się o nich dowiadawali, kędy są, ale dotąd ich nie napytaliśmy.

Chodząc po obozie przez te dwa dni, gdzie znajomych miałem wielu, tyle o nim powiedzieć mogę, żem nigdy wojska nie widział więcej łaknącego boju i pewniejszego siebie, jakto nasi byli.

W królu niezmierną ufność mieli wszyscy, o hetmanach mowy nie było. On tu najwyższym wodzem i cudzoziemcy też, owi elektorowie, książęta, Lotaryngski i inni na niego patrzyli.

Codziennie prawie widując go, mogłem poświadczyc, że dotąd nietylko się królowi nigdy kontr nie stawiał nikt, ale w każdej rzeczy o zdanie jego pytano i za nim szli, uznawszy to, iż turków lepiej znał i więcej praktykował, niż oni wszyscy.

Śmiejąc się pokazywał nasz pan bliznę pod Beresteczkiem otrzymanej rany, mówiąc, iż tedy mu do głowy znajomość strategii pogańskiej weszła.

Gdy języka przyprowadzano, a tłumacza naszego nie było pod ręką, podziw zawsze wielki, że się król ofiarował z tatarami rozmawiać i *expedite* konwersował... W jeńcach też, gdy o królu się dowiadawali zaraz widać było, jak tracili odwagę i pokornieli.

O ile z góry widzieć się dawało i rozeznąć, ów czarny Mustafa wcale się po pańsku rozgospodarował pod murami Wiednia, a same namioty jego i haremu, służby, rzezańców, janczarów przy osobie zostających, jak miasto wielkie wyglądały. Pomiedzy temi szkarłatnemi i złocistemi namioty z księżycami na wierz-

chach, na których blachy świeciły, zieloności nasadzo-
no, fontanny były. Zdaje się, że i sam sułtan, gdyby
szedł na wojnę z większymby się splendorem wybrać
nie mógł; wielkiego zaś wojskowego ruchu w obozie
nie widać było, tylko u samych baszt i murów, pod
które się podkopywali i wyłomy robili. Opieszale ja-
koś szturmowali, a nierówno — i chwilę spoczynku,
a modlitwy ich bardzo widoczne były.

Z miasta zaś ogień, chociaż nie przestawał, ale
mało się zdał skutecznym. Nocami z wież race ogniste
pnszczał Starenberg, które pewnie książę Lotaryngski
i król rozumieli co odznaczać miały, bo różne były
i nierówno wytryskiwały, w przestankach, po kilka.

O tem też wiedzieliśmy, że Janczara przebrany po-
lak z Wiednia do obozów naszych i z powrotem do
niego został wyprawiony. Słyszałem, jak król powia-
dał, że Starenberg nagli bardzo, ale pośpieszyć nie-
podobna, taki nam zawód góra uczyniła...

Jesień nam już się wielce czuć dawała.

tu zapisać muszę pana naszego mądre znalezienie
się przy wojsk przeglądzie, które okazywał książętom
Lotaryngskiemu i Saskiemu. Byłem przy tem, gdy
hetman przyjechał zafrasowany, iż część piechoty tak
była odarta i nędznie przyodziana, że ją chyba z tyłu
postawić należało, aby się przed obcemi nie wstydić
za nią.

— Zwłaszcza—dodał—po saskiej piechocie, która
barwę ma, jak z igły, i ślicznie się prezentuje, ani jej
pokazać możemy.

Król ramionami ruszył.

— Uchowaj Boże—zawołał—nie kryjcie mi tego
regimentu, owszem, występujcie śmiało, ja to wytłu-
maczę Lotaryngskiemu jak należy...

Przyszła kolej na tę piechotę nieszczęśliwą, w któ-
rej na ludziach dorodnych nie zbywało, ale odzież
była w łachmanach niemal...

Król zobaczywszy ich odezwał się na głos.

— Upraszam was, panowie, abyście szczególną

zwrócili uwagę na tych mężnych moich wojaków. Przed każdą wyprawą mają zwyczaj brać jak najgorszą odzież, poprzysiegając, że się zdartą z nieprzyjaciela wszyscy przystroją. A nigdy jeszcze nie powrócili bez najwykwintniejszych sukni. I teraz ręczę za nich, że będą wyglądali, jak pułk janczarów wezyra.

Lotaryński i Śaski z wielką tedy ciekawością przypatrywali się obdartusom i potem sobie o nich rozpowiadali; król śmiał się.

Tatarowie, których myśmy się dopytać nie mogli, bładzili kędyś zdaleka i gdy im o królu pobrane ciury nasze rozpowiadali, szydzili z nich. Wiedzieli tylko o Lubomirskim, a w samego pana wcale do ostatka nie wierzyli.

Z drugiej strony, będąc ciągle przy królu, który przy mnie, wcale się nie wystrzegając, mówił o wszystkim, mogę to poświadczyć, że w chwili, gdy uderzenie na obóz Kara-Mustafy postanowione zostało, a król ręką własną napisał rozkład dla wojsk, wcale się nie spodziewał nikt, ani on sam, ażeby się mogło wszystko rozstrzygnąć jednem uderzeniem.

Rachowano na to, że się początek uczyni, z gór w dolinę wojska przeniosą i obóz turecki powoli otaczać będą i zdobywać.

Niecierpliwość była wielka, aby dla spóźnionej roku pory, nie zwłóczyć i na dwunasty Septembris wszystko się gotowało. Umysły były wielce poruszone. Co Bóg da? Każdy zbroję sposobił, włócznie dobierał, wszelki oręż rozpatrywał... Na królu nie widziałem i naówczas najmniejszej trwogi, ale troskliwość nieustanną, aby jego rozkazy były spełnione, to też i mnie i innych ciągle rozsyłał z napomnieniami, gdzie kto ma stać, kogo słuchać i t. p.

W nocy, jeżeli usnął, to chyba mało bardzo, modlił się chodząc. Późno już swoich tatarów, co mu służyli, wołać do siebie kazał i tych, snadź na zwiady posyłał.

O piątej zrana działa się dały słyszeć od strony

zamku na Kalenbergu, gdzie stali Sasi, którzy ogień rozpoczęli, a zarazem i tureckie działa strzelać poczęły na mury miasta.

Król już ubrany wyszedł z namiotu, wszyscyśmy byli na nogach...

Wojsko się rozstawiało wedle dyspozycji królewskiej. Na prawem naszym skrzydle stał Hetman Jabłonowski i nasza husarya z nim, wprost prawie naprzeciw środka obozu tureckiego. Na lewem, które aż do Dunaju dochodziło piechota Cesarza i Sasi. Dowodzili tu najślawniejsi niemieccy pułkownicy i książęta...

Sam Elektor saski jeden oddział prowadził. Żołnierza ich król chwalił, piechotę szczególnie, doskonale wyćwiczoną i zahartowaną. Lubomirski z zacięciem polskim zastępował tu jazdę niemiecką. Całe to skrzydło prowadził książę Lotaryński.

W środku stało Cesarskie też wojsko i Bawarczycy, pod dowództwem książąt niemieckich, których ja niezliczę...

Było ich bardzo dosyć, bo się zbiegli zewsząd i w stosunku więcej prawie do komenderowania stało, niż do szeregów. Oprócz Cesarza, który się nie pokazał, cała rzesza jego była reprezentowaną, ale Kapucyn mówił, że on tu całe był niepotrzebnym.

Miejsce jego właśnie zajmował nasz król, przy którym i prawego skrzydła i całej armii było dowództwo.

Ogień, który już o piątej zrana się rozpoczął od Sasów, pochodził ztąd iż z wieczora król dysponował, aby pod klasztorem Kamedułów, na skraju lasu wysypano baterye i ustawiono działa, przeciwko środkowi obozu wymierzone, wedle porady Kątskiego. Nocą więc co prędzej kopano i działa wciągnięto, które przededniem postrzegli Spahowie i rzucili się, aby zburzyć baterye, tak, że tu się walka rozpoczęła naprzód, gdzie zaraz mężny książę Croy został raniony, a książę Maksymilian zabity.

Gorący tu już wrzał bój—na skrzydle, gdzie nasz Lubomirski bardzo się odznaczył dzielnie, król posyłał do swoich i sam jeździł opatrywać, gdy się ustaliali. O godzinie ósmej może... nadbiegł konno z pośpiechem wielkim Lotaryngski po rozkazy i dla narady, w chwili gdy Ojciec Marek w małej kapliczce mszę świętą miał rozpocząć.

— Poczynajmy od Boga—rzekł Sobieski do przybywającego, po mszy siadam na koń i już nie spocznę, aż się walka wywiąże.

W tem król kołpak mi rzucił swój, i wszedł do zakrystyi, chciał sam służyć do mszy świętej... Wszyscy co tam byli zdumieni spoglądali, a mnie się łzy w oczach zwiły... Kapucyn wychodził ze mszą, tak cały w Bogu zatopiony, iż może nie widział, ani kto przed nim szedł, ani kto mu do Confiteor odpowiadał.

Ja niemogłem oczów od naszego pana odwrócić. Przez całą prawie mszę świętą z podniesionemi do góry rękami i oczyma modlił się tak gorąco, że mu w oczach łzy stały. Cały pewnie żywot od pierwszej młodości przechodził mu przez myśl w tym momencie uroczystym, gdy się przed Bogiem tak maleńkim czynił...

I król i Lotaryngski i kilku ze starszyny, z rąk świętobliwego Kapucyna przyjmowali Komunią świętą.

Zdaleka dochodzący huk dział, tentent jazdy ścigającej się, chrzęst oręża i zbroi towarzyszyły temu obrzędowi.

Serce się ścisnęło pomyśliwszy iż jakby na śmierć się dysponowali...

Mówią, czegom ja nie słyszał, że O. Marek, sam o tem niewiedząc, gdy się odwrócił na—*Ite missa est*, zamiast tych wyrazów miał wróżyć zwycięstwo, ale król o tem nie wspominał.

Ledwie od ołtarza, potrzeba było na koń, tylko, że w progu kaplicy podano wina kubek i kawałek chleba królowi i księciu, ale czasu brakło nawet na zakąskę...

Nasza usarya już się miała rozpocząć spuszczać w dół po spadzistej górze, co przychodziło z niezmierną trudnością dla nierównego gruntu, kamieni, rowów, wyrw i dziur... w które konie zapadały. Porządek wstrzymać było niezmiernie trudno, tak, że coraz to który z tych pięciu szeregów musiał stawać i czekać, aż opóźnieni podążyli i linia się wyrównała. Pośpieszyć nie było sposobu, boby wszystko na łeb spadło bezładnie. Tymczasem Cesarscy już się w dolinie potykali i szło im dobrze, bo winnice i pasieki dosyć obronie sprzyjały. Około godziny dziesiątej pułki Lesle, ranny książę Croy, książę Saski posunęli się już, opanowawszy wąwozy, a nasza usarya jeszcze się dopiero spuszczała z gór, tak, że król Jan posłał żądając aby na nią poczekano mało, dopóki by z tych przepaści się nie wydobyła. Dopiero o jedenastej godzinie jazdy nasze przewyciężywszy wszystkie przeszkody, w szeregach zwartych stanęły, Cesarscy ich witali okrzykami.

Musieliśmy choć chwilę przystanąć aby koniom dać wytchnąć i ludziom, choć chleba kawałkiem się posilić. Król z Lotaryngskim i kilku książętami pod drzewem przypadł nieco, rozkazując podać jedzenie, które jako tako przygotowane było.

Tymczasem koło południa gorąco okrutnie się zrobiło, a we zbroi, w kaftanach, można sobie wystawić co się z ludźmi działo, z których każdy jeszcze oręzą ciężar dźwigał na sobie. Ledwie przekąsiwszy król na konia siadł, ale już z paradą, z buńczukiem przed sobą, ze złotą tarczą który giermek wioził za nim i począł z Lotaryngskim wojsko objeżdżać, do Niemców po niemiecku, do innych po francuzku, po włosku przemawiając i zagrzewając do boju do wiary świętej.

Turcy też mieli dosyć frysztu aby się przeciwko nam ustawić i przysposobić do walki, do której jednak pono zrazu wielkiej wagi nie przywiązywali.

Można powiedzieć, że jeszcze o tej godzinie końca nikt ani przewidywał, ani się domyślał.

Dopieroż bój się krwawy zajął, wśród takiego przepaścistego stoku, około Nendorfu, że jazda z trudnością się przeciwko turkom utrzymać mogła. Nasza usarya rzucała się impetem wielkim i rozbijała turków, ale się potem ani obrócić, ani chyżo ruszyć nie mogła, bo to żołnierz był jak młot ciężki, wszystko rozbijający, ale mn się podnieść łatwo nie było. W pierwszym rzędzie starcin młodziuchny, mężny a ogniasty kasztelaniec Potocki, ukochany ojca, tak się narażał, że padł zabity, również jak Aswerus pułkownik dzielny. Usarya nasza o włos nie została rozbita, gdyby jej Bawarczycy w pomoc nie nadbiegli.

Król przerażony z drugim szeregiem jazdy, sam na czele, animując swoich rzucił się na turków i, to cały sukces dnia tego rozstrzygnęło, bo turecy nacisku wytrzymać nie mogli.

Turecy w początku dnia wiele nie przypuszczali, snadź tak jak i my, żeby do stanowczej przyjąć mogło batalii, dopiero może około południa spostrzegli, że siły większe niż rozumieli wyciągnęły przeciwko nim, a tatarzy Kar. Mustafie oznajmili pono pierwsi z trwogą, iż król polski, którego imię ich napęłniało trwogą, sukursem tym dowodził, i że już nie z Lotaryngskim samym i kilkun tysiącami Lubomirskiego do czynienia mieli, ale z wojskiem licznem, które się cudem przez góry zarosłe i przepaście przedarłszy zjawiało tam, gdzie go się wcale nie spodziewano. Dopiero i Kara Mustafa i Ibrachim i posiłki Wołoskie wyciągnęły na przeciwko, a tatarowie, jak później powiadano, wcale nie ochotnie się stawili, gotowi raczej ratować siebie niż Wezyra...

Gdy nasza druga linia z królem złamała turków, już się nie zatrzymali aż u przekopu, obóz ich opasującego, gdzie chorągiew wielka Mahometa i Kara Mustafa się ukazał.

Tu dopiero bój ostateczny się rozpoczął, ale Ja-

blonowskiem na prawem skrzydle powiodło się rozpędzić tatarów już wylękłych, z lewej dzielnie naciskał Lotaryngski, w pośrodku zaś król sam z wybo-rem rycerstwa naciskał i łamał janczarów Kara Mu-stafy...

Jeszcze około godziny piątej z południa los był nie rozstrzygnięty i król myślał na pobojuwiskn się utrzymując do jutra odłożyć ostateczną rozprawę. Wez-yr zaś tak snadź był spokojnym o siebie, iż namiot swój przenośny, szkarłatny rozbić kazał i z synami w nim odpoczywał.

W tem król objeżdżając szeregi i rozpatrując się w położeniu, jakby tknięty jakimś rozkazem z góry, dał znak do boju.

— Wszystko się dziś mnsi rozstrzygnąć, zawołał— jutro będzie zapóźno... Kątskiem kazano działa usta-wić, do których z początkn brakło pono ładnnków tak, że król po pięćdziesiąt talarów za każdy strzał ofiarował, a francuz jeden peruką i chnstką działa przybił. Opanowano wzgórze po nad obozem Kara Mnstafy, przybyły ładunki, ogień się rozpoczął srogi, a nasza usarya szła jak szalona na nieprzyjaciela...

Król stał na wzgórzu z królewiczem i pierwszy postrzegł, że szeregi tureckie wygięły się, zerwały i cofać poczęły...

Pobiegł z rozkazem ktoś od króla aby Lotaryng-ski na środek natarł co prędzej, sam on zaś na prost ku czerwonemu namiotowi wezyrskiemu się rznił. Matczyński który przy buńczukn i skrzydle niósł tar-czę za królem, ledwie za nim mógł podążyć, tak pę-dził z szablą i odniesioną na oślep... widząc już zwy-cięstwo przed sobą i wołał tylko głośno.

— Non nobis, non nobis! sed nomini Tuo da glo-riam!

Usarzom w tem ostatniem starciu wszystkim pra-wie włócznie się skruszyły...

Już co się naówczas działo, tego żadne pióro nie opisze, duch jakiś wstąpił we wszystkich niezwycię-

żonej potęgi, którejby się i dwakroć większa siła oprzeć nie mogła... Siał trwogę przed sobą...

Przed chwilą jeszcze spokojny i pyszny ów Wezyr, który się bezpiecznym mniemał, postrzegł że zgubionym był... Poploch niewysłowiony, rozszerzył się między turkami, którzy rzucając oręż, jak szaleni zbiegać zaczęli na wszystkie strony, potraciwszy głowy...

Można śmiało powiedzieć, że tu już żaden wódz, ani rozum, ani nmiętność wojenna w tej chwili nie mogły; ale pan Bóg gnał te rzesze jedne naprzód drugie jakby różgą chłoszcząc do odwrotu...

Gdy się raz zamieszanie wzięło, a prąd cały ku wezyrskim namiotom popłynął, walka była rozstrzygnięta. Jak wichur piaski, tak strach rozpędzał te tłumy, rażone gdyby gromem.

Usarya nasza pierwsza klinem się wparła pomiędzy Turków i na dwoje ich przekroiła. Zginęli naówczas paszowie Alepu i Sylistryjski, a czterech innych na prawem skrzydle padło naprzeciw Jabłonowskiego.

Powiadano później, że Wezyr do wielkiego namiotu uciekwszy, nie wiedząc co począć, płakał... Selim Geraj Han krymski był przy nim jeszcze.—Ratuj! wołał Wezyr zaklinając—król polski jest z nami, przeciwko niemu my nie możemy nic, siebie musimy ocalić!!

Chodziły pogłoski jakoby ta zdrada złotem była okupioną zawczasu, czemu nie wierzę, bo na Tatarów król złota nie potrzebował, słowa jego dosyć było.

Z tego co się człowiek później nasłuchiwał i napatrzył, księgiby całe o tym jednym dniu spisywać można, ale i tak wszystkiego razem cośmy czuli i widzieli naówczas zebrać niepodobna.

O godzinie szóstej, król pierwszy do namiotów Wezyrskich się dostał, pomimo, że Janczarowie jeszcze ognia przeciwko niemu dawali i natychmiast straż postawić kazał, aby się nikt nie ważył nie tknąć

i żadnego łupu brać obiecując nazajutrz wojsku ukontentowanie.

Sam los tak dał i postanowił, iż królowi naszemu dostały się niezmierne bogactwa po Kara-Mustafie, który tu z przepychem i okazałością monarchy, ze skarbami niezliczonemi rozposażył się zawczasu jak zwycięzca. Było to razem i szczęście wielkie i wielkie nieszczęście dla nas, jak niżej powiem.

O sobie, jakom ten pamiętny dzień życia mojego spędził, nie godzi mi się prawie wspominać. Byłem właśnie jako ziarno piasku wśród tej burzy. Od początku dnia, wedle przykazu króla, starałem się trzymać około niego w pobliżu, niosąc kubek, fiaszkę z wodą i z winem, chleba kawałek i wędliny. Ale wszystkiego tego aż do nocy nikt nie tknął, a mnie choć zrazu od skwaru wargi się spaliły, anim pomyślał o napoju. Podążałem też za królem o ile mi koń i miejsce pozwalało, ale razy kilka się zdarzyło, żem w tyle pozostać musiał, a doganiać nie było łatwo, oczyma szukałem ciągle skrzydła orlego i buńczuków a i te za proporcami usarzów nie zawsze dostrzedz było można. Zbłądziłem też nieraz i ledwie potem się mógł zorientować.

Dopierom w dolinie króla dognał, ale gdy już znowu konia dosiadł.

Gdyśmy przekop przebywali niecnota janczar, niewiedzieć zkąd kulą mnie poczęstował, aby się sprawdziło, że nigdym całym wyjść nie mógł.

Oprócz mnie z orszaku nikt raniony nie był, a kula snadź umyślnie dla mnie przeznaczona, tu nagnała, siły już nie mając, bo mi kaftan tylko na rękę zdrapała i skóry trochę zniosła, utkwivszy w rękawie, tak żem ją potem wyjąwszy mógł zachować na pamiątkę dnia tego.

Rana była śmiechu warta tylko, ano bez krwi się nie obeszło.

Miałem króla na oku od tego momentu, gdy przekop przebywszy do namiotów zdążał, znużony wielce

zdyszany, za synem się tylko oglądający, ale takiego oblicza jasnego a majestatycznego jakem u niego rzadko widział.

Usta mu się ciągle poruszały jakby modlitwą. O zwycięstwo nie było już co pytać, bośmy w obozie nieprzyjacielskim byli, więc tylko o swoich, których nie widział około siebie, ciągle się dowiadywał, o kawalera Maligny, o Hetmanów, o swoich ulubionych. Mateczyński go przez cały czas na krok nie odstępował.

Królewicz też można mu oddać tę sprawiedliwość w ogniu się okazał bardzo statecznym. Na ojca patrzył i skinienia jego słuchał.

Ledwie się przy namiotach zatrzymaliśmy, gdy z różnych stron nadbiegać zaczęli dowódcy, winszując, okrzykując. Saski Elektor się rzucił w ramiona królowi, niemal ze łzami. W tej pierwszej chwili czuli to i rozumieli wszyscy ile Sobieskiemu i nam byli winni, ale się to prędko odmieniło potem.

Tu zaraz u namiotów królowi niewolnik Wezyra, konia jego przyprowadził i złote strzemie ofiarował, które królowej posłał z pierwszym listem i wiadomością o zwycięstwie...

Książę Lotaryngski podstąpił pod mury miasta dla oczyszczenia ich z pozostałych po przekopach i murach Janczarów, niektórzy w pogoń się puścili, ale turecy nchodzili tak śpiesznie, że ich napędzić było trudno. Wszystko jak wymiótł znikło z tego olbrzymiego obozu, który na poły poobalanemi namiotami z pozabijanemi końmi i wielbłędami, z mnóstwem najrozmaitszego łupu pozostał w naszych rękach. Zakazano było wprowadzić łupieży wszelkiej, ale kto po nocy mógł upilnować...

Muszę tu wspomnieć tylko o samych namiotach Wezyrskich, które się królowi dostały, że to było jakby miasto wśród obozu, dla rozkosznego żywota zbudowane..., z takim bezpieczeństwem jakby się tu niczego nie mógł obawiać Wezyr.

Ogrody, fontanny, łaźnie, altany, kioski, ścieżki powyścielane suknem i namioty z najdroższych materii złotem bramowane, wewnątrz niezmierna moc sprzętu najwytworniejszego, kufrы, sepety, siodła, ko-bierce, szaty w ilości niedowiary ogromnej. Niechciało się prawie oczom wierzyć temu przepychowi z jakim poganin szedł pewien panowania, jakby je już posiadał.

Tymczasem jedna godzina wszystko w proch i ruinę obróciła.

Król mógł tegoż dnia jeszcze ujechać do miasta dla spoczynku, lecz nie chciał, i noc spędził na pobojowisku pod drzewem, a że jeść nie było co, a dzień cały głodem marliśmy, wcale tego nie czując, Starenberg przysłał cokolwiek żywności...

Tu niżej dalej powiem co się z nami działo, muszę opisać jaki zwrot natychmiast prawie, po otrzymanem zwycięztwie nastąpił, który już nazajutrz się czuć dawał.

Po pierwszym wybuchu radości tym, gdy królowi mało nóg nie całowali okrzykując go, ochłonawszy powoli, i żołnierze i wodzowie, spostrzegli, że znaczniejsza część sławy i korzyści z tej wiktoryi im wydartą została. Nad królem błyszczał wieniec zwycięztwa, w jego rękach była wielka chorągiew Mahometa, skarby Wezyra, namioty jego łup najznaczniejszy, słowem oni wszyscy schodzili na posiłkujących, on na głównego wodza i zwycięzcę...

Ztąd zazdrość zaraz, a nawet w tych co najlepiej wiedzieli co byli winni królowi, który osobą swą i rozumem wszystkim kierował i prowadził.

Więc i niechęć, więc ztąd łacne potwarze.

Powtóre, główny łup, który sobie może znaczniejszym wyobrażano niż był, a był w istocie niemałym, opanovała nasza usarya dla króla i ten do niego należał niewątpliwie. Choć z niego później szczodra dłoń król wszystkim wiele rozdawał, mówiono o skrzy-

niach złota, ó klejnotach nieocenionych, które sobie przywłaszczył.

Król na prawdę sam, chociaż wiele dostał, ale że wszystkimi dzielić się musiał, a wiele mu też z rąk wychwycono, tak, że nie było ciury, któryby się nie pożywił i następnych dni żołnierze sprzedawali za bezcen najdroższe sprzęty i kosztowności.

Z tych co przy królu byli, nikt z próżnemi rękami nie wyszedł.

Prawda, że w namiotach wszystkich było co brać i czem się dzielić, tyle tam nagromadziło się skarbów.

Łupieży też z krajów zwojowanych siła się znalazło. Samych szabel, siodeł, rzędów, czubów w kamienie drogie przyozdobionych, po kilkadziesiąt królowi zostały, obdzieliwszy towarzyszków... O złotej monecie, której było podostatkiem, nie umiem rachunku zdać, bo tą Matczyński się zajmował...

Innym posiłkującym dostały się pośredniejsze części obozu, w którym było też co brać, ale daleko mniej niż u Wezyra. Ztąd nieukontentowania wiele i na króla jako na przywłaszczyciela patrzano, oskarżając go o chciwość, a nas polaków o łupieztwo, choć nie wzięliśmy tylko to cośmy krwią naszą zdobyli. I to była cała nasza mizerna zapłata za wszystkie poniesione ofiary, bo największą niewdzięcznością królowi i nam później odśłużono.

Przewidywał on to zawczasie i ciągle w podróży aż do spotkania się z ks. Lotaryngskim powtarzał, że od Cesarza się nic oprócz niewdzięczności nie spodziewa.

Cesarz tem zwycięstwem ocalony, sam bezczynny, musiał się czuć upokorzonym, a przez to stał się pysniejszym jeszcze. Snadź miał się za ono jakieś Bożyszcze, którego wszyscy bronić i osłaniać byli obowiązani, a on im nie winien nic.

Na tym materacyku ubogim, pod drzewem spoczywając przez noc król pewnie miał na myśli, co go

nazajutrz w ocalonym Wiedniu czekało... i potem jeszcze...

Widziałem go uspokojonym, modlącym się, ale znużonym wielce, bo to był dzień, dla niemłodego już a ociężałego duchem i ciałem ledwie do przetrwania.

Od rannej mszy Ojca Marka, aż do szóstej wieczorem, duch nie spoczywał na chwilę, ważyło się kilkakroć zwycięstwo, szło koniecznie o rzucenie popłochu, o złamanie...

Potem gdy raz pierzchać pócżeli, zmiotł ich strach, tak, że śladu nie pozostało...

Chociaż król około namiotów Wezyra strażę postawić kazał, aby z nich nic nierozrywano, nazajutrz i dni późniejszych się okazało, że mnóstwo najcenniejszych klejnotów pochwytały ciury i przepadło a zmarnowało się tej zdobyczy bardzo wiele.

Ale, że prosty lud szacunku tych rzeczy nie znał, panowie nazajutrz i dni następnych kupowali za kilka talarów co warte było tysiące dukatów.

Warto zapisania, że gdy turcy już zwyciężonymi się widzieli, wszystko co mogli niszczyli, aby się nie dostało w ręce zwycięzców. Kobiet nawet niewolnic, których uprowadzić nie mogli, pozabijanych leżało wiele.

Król bardzo żałował świętego strusia i różnych zwierząt, które Wezyr dla rozrywki miał przy sobie, ho i te poginęły lub odleciały...

Z łupów bogatych, chorągwi, namiotów niemcom się nic nie dostało, bo wojsko ich nie zdobyło żadnej obozu części... Pan Bóg nam i królowi poszczęścił, lecz też nieprzyjaciół przymnożył.

Noc tę po bitwie jak król spędził, choć przy nim byłem razem z Matczyńskim i kilku innemi, nie wiem, alem głos jego coraz słyszał, czy przez sen, czy, że się przechadzał często... Miał pewnie o czem myśleć teraz, bo nieuniknione było spotkanie z Cesarzem,

a z tym, choć go ocalił król, przewidywać było można trudności ceremoniału przyjęcia i kwasy.

Zaraz z wieczora zapowiedział pan sekretarzowi włoskiemu, Talenti, iż będzie miał to szczęście i nazajutrz Ojcu Świętemu powiezie złożyć u stóp Jego wielką chorągiew Mahometa. Włoch mało nie oszalał z radości, boć to dla niego cześć wielka i wiekusta chluba...

Wszystko to tu smakować nie mogło, Sobieski Ojcu Ś. oznajmował o zwycięstwie, łup główny on składał—Sobieski „króla chrześcijańskiego“ (!), francuza zawiadamiał o wiktorji, on tu stał na pierwszej linii, gdy Cesarz co się salwował ucieczką, bardzo mizernie wyglądał. Jakże tu było takiego Salwatora kochać.

A i to wielka prawda, że dosyć jest komu dobrodziejstwo wyświadczyć, aby go sobie uczynić nieprzyjacielem. Takie są serca ludzkie...

Lecz rzućmy na to zasłonę.

Nazajutrz rano tchnąć nie było czasu, a co za widok tego pobojuwiska, ruin, trupów, opuszczonych namiotów... tego język ludzki niewypowie. Od rana listów i posłańców musiał król wyprawić na wszystkie strony. Obiad miał dawać nam Starenberg w Wiedniu, gdzie tylko w kościele Te Deum odśpiewać było i dłużej nie gościć.

Ponieważ żadne jeszcze wrota nie były wolne dla wjazdu, musieliśmy wyłomem, uliczką ciasną przeniknąć do tego miasta, któreśmy ocalili. Lud by był krzyczał i cisnął się do zbawcy swego, ale Cesarscy pono zakazywali wszelkich tych oznak zachowując je dla Cesarza, więc tylko gdzieniegdzie się głosy wyrywały jak kradzione.

Król naprzód do kościoła Augustyanów po drodze wstąpił i tak mu pilno było Bogu dziękować, że gdy duchowieństwo się nie mające rozkazów, nie kwapiło do Te Deum, sam kląkszy u W. Ołtarza począł hymn ambrozyański. Dopiero później uroczyściej powtó-

rzono go u ś. Szczepana, gdzie król krzyżem leżąc słuchał.

Tu go ksiądz powitał owemi słowy, które się tak do niego dobrze zastosować dawały:

Fuit homo missus a Deo — cui nomen erat Johannes.

Niemcy extra chłodno swojego zbawcę przyjmowali, choć Starenberg sam się przyznawał, że dłużej pięciu dni nie byłby się mógł utrzymać, a myśmy widzieli co się w mieście działo, i jak mury od kul były pogruchotane, a lochy od min popsute.

Król J. Mość bardzo się tem cieszył, że chorągiew młodszego syna jego Aleksandra, którego podówczas Minionkiem (Mignon) zwano, (niemiał nad lat osiem) Wezyra złamała, o czem królowej doniósł, wiedząc, że Aleksandra nad inne dzieci przenosiła.

Co się jednak z tego narodzić miało, ani on, ani nikt nie przewidywał.

Na to potrzeba było przewrotności i śmiałości królowej, aby skorzystać z wiadomości przeciwko Jakóbowi, starszemu i Aleksandrowi nie zasłużoną sławę robić po świecie. Król sam życzył sobie aby z listów które do królowej pisał, gazetki układano, a te się po całej rozechodziły Europie. Otóż w tych, które z Krakowa do gazet holenderskich i francuzkich wyprawiano, wszystko co czynił książę Jakób, przypisywano Aleksandrowi i on jeden obok ojca występował. Działo się to w ten sposób, że królowej J. Mości trudno było obwinić, ale sędzę, że Pac to rozumiał i tyle tylko, że swego Fanfanika wychwalał coraz więcej. Zkąd i dla czego poczęła się królowej matki już naówczas niechęć przeciw najstarszemu synowi, nieposób odkryć, ale ona potem rosła i wzmagala się, chociaż Fanfanik się akomodował, listy pisywał i niczem przeciw niej nie wykroczył.

Zaraz po owem przyjęciu kusem w Wiedniu przez Starenberga, chłód jaki nam okazywano wzmógł się, ale też i inni książęta, którzy posiłki dostarczali odciągali zniechęceni. Jeden z pierwszych odszedł książę

że Saski—Lauenburgski, król gdy go przysłał żegnać, sowicie obdarzył, dając dwa konie w bardzo bogatych rzedach, dwie tureckie chorągwie, czterech więźniów, dwie śliczne misy farfurowe i bogatą zasłonę. Także ze zdobyczy Jenerałowi Goltzowi szablę we złoto oprawną, oficerowi konia i t. p.

Król życzył sobie co najrychlej ciągnąć dalej za uchodzącym nieprzyjacielem, ale, że oznajmiono o rychłym przybyciu Cesarza, z którym się wypadało widzieć, musiał się nieco zatrzymać.

Nie było to bardzo przyjemnem, bo na pobojowisku trupa ludzkiego i koni a wielbłądów tyle leżało, iż nieznośny fetur tchnąć nie dawał. Nie sposób było wszystko to uprzątnąć i zasypać.

Czekaliśmy tedy, czekali na onego przyobiecanego nam Cesarza, aż wreszcie król, już i tak zniechęcony bo nam najmniejszej rzeczy nieułatwiono, a starano się dziwną okazywać niechęć, podkanclerzego pozostawił z jedną chorągwią dla Cesarza, a sam odstąpił z pod murów i byliśmy już we dwie mile, gdy Gałęcki o północy nas nagnał od Grafa Szafgotscha, z naleganiem usilnem, aby król sam z Cesarzem J. Mością rozmówić się raczył, a nie przez podkanclerzego i t. d.

Nadbiegł i sam Szafgotsch z tłumaczeniem, zakłopotany jakiś, niewyrażając się jasno o co chodziło, ale dając poznać z siebie iż coś im dolegało, z czem się nie umieli jasno wygadać.

Król nasz w całej tej imprezie okazał się tak wyniosłym umysłem, wyższy nad Cesarskie służby i ceremonij mistrzów, ba i nad samego Leopolda, że z dumą na niego spoglądaliśmy.

Szafgotschowi wręcz rzekł.

— Mówcie jasno, o co wam tam chodzi, pewnie o jakąś czeremonią dworską, kędy i jak się spotykać mamy, stać i kłaniać.

Tedy Graf przyznał się, iż Cesarz boleje nad tem

wielce, że królowi prawej ręki dać nie może; gdyż Elektorowie Rzeczy i t. d.

Śmiał się pan nasz.

— Ani prawej ani lewej nie potrzebuję, odparł chłodno. Gdy się Cesarz zbliży do wojsk moich, z któremi ja ciągnąć będę, wyjadę naprzeciw niego i pomogę go kilku słowy, na tem koniec będzie, bo mi pilno za nieprzyjacielem.

Patrzyliśmy na to spotkanie. Król świetnym pocztem, w gronie Senatorów, z Hetmanami, z całą pompą wystąpił. Cesarz się ukazał w towarzystwie Elektora Bawarskiego, z orszakiem nie zbyt licznym. Przed nim kilku szło trębaczów i lokajów, około niego ministrowie, kawalerowie dworscy, urzędnicy, dalej drabanci. Leopold ze smutną i pochmurną twarzą, jakby wzięty w niewolę niemal prezentował się, nie śmiejąc oczów podnieść. Koń pod nim piękny gniady, hiszpański. On sam ubrany w suknię niemiecką bogato szytą, kapelusz ze spinką i piórami białemi i ceglastermi.

Podjechał nasz pan, ręką tylko do kołpaka sięgnawszy i wesoło pozdrowił Cesarza, krótkim komplementem łacińskim, na co cicho i jękając się Cesarz coś w tymże języku mu odpowiedział grzecznie.

Natychmiast potem na dany znak podstąpił królówicz Jakób, którego ojciec pierwszego przedstawił Cesarzowi, ale ten ani oczów nie podniósł, ani ręki do kapelusza nie ściągnął, a król widziałem jak z apprehensyi zbladł i już byłem pewnym, że się to spotkanie w polu nie przeciągnie. Jakoż po przedstawieniu pp. Senatorów i Hetmanów, na których Cesarz ani spojrział, pan nasz kilka słów głośno przemówiwszy zlekka mu się skłonił z dną i powagą wielką i jechał precz.

A że Cesarz sobie wojsko nasze widzieć życzył, okazanie go pozostawił Wojewodzie Ruskiemu. Oburzenie za znalezienie się to Cesarza w wojsku było ogromne i powszechne.

Ze strony Niemców zaś, gdy zobaczyli iż Cesarz sobie z tych aljantów wcale nic nie czynił i tak się

z niemi obchodził, jakby im nie winien nie był, postępowanie się zmieniło zupełnie. Znać już nas nie chcieli.

Gdy potem z oburzeniem się wyrażał za tę niewdzięczność nawet wierny Cesarski sługa Wojewoda Bełzki (Wiśniowiecki), słyszałem jak król się odezwał.

— Ale za cóż miał Cesarz dziękować? przecież on wiedzieć musi, że ja tn nie dla niego ale dla krzyża Chrystusowego i zagrożonego chrześcijaństwa przybyłem, więc nie czuł się w obowiązku...

Nadludzkiej czasem potrzebą było cierpliwości, aby znieść co oni z nami czynili. W niczem najmniejszej pomocy, ani prowiantów, ani dla chorych pomieszczenia, którzy na gnojach pod gołym niebem, po łada jakichś szopach jęczeć musieli. Jednego mizernego stołka nie mógł się król doprosić, aby tych biedaków za sobą do Preszburka wodą przeprowadzić, bo tu ich na łasce Niemców nie było sposobu pozostawić. Dopraszano się dla kilku naszych panów znaczniejszych, poległych w bitwie, grobów w kościołach, i tego odmówiono.

Co gorzej, dragony i lancknechty ich gdziekolwiek naszych spotkali w małej liczbie, bili, kaleczyli i zdzierali i skargi skutku nie odnosiły. Wszystko czynili jakby się nas pozbyć chcieli teraz, a król pomimo ze zwycięstwa korzystać postanowił i z pola schodzić nie myślał, choć Hetmanowie nasi radziły temu byli.

Ostygł też teraz i Lotaryngski, laurów postradawszy przez nas i obojętnie bardzo przyjmował nalegania króla aby dla koni paszę obmyślił, bo z głodu wszystkie wyzdychać mogą.

Posłany od króla do Wiednia kapitan, tyle tylko, że się tam wymówek i przekasów nasłuchiwał, za wymagania nasze.. król do najwyższego stopnia niewdzięcznością oburzony, panu Bogu to ofiarując mitygować się musiał, i pisał tylko do królowej, aby o wszystkim zawiadomiła nuncyusza... Słyszałem go utyskającego wielce na to, że sam został pozostawiony i narażony na zgubę, gdy z aljantów jedni natychmiast do

domów powrócili zniechęceni, drudzy się wcale nie śpieszyli.

Nie było co stać dłużej pod Wiedniem, gdzie się już odgrażano, że do nas strzelać będą, aby odegnąć. Lotaryngski na nic radzić, w niczem pomocą być nie chciał. W nas krew kipiała... a król powtarzał tylko, jam to wszystko przewidywał i gdyby nie Ojciec św. i nie naleganie jego, nigdybym się nie naraził na to.

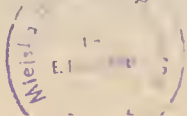
Tu też jedni duchowni, Ojciec Marek pobożny i kilku księży usiłowali coś pomódz i za nami przemówić, ale to spelzło na małym lub niczem.

Król do gazet nawet swego żalu słusznego, w tej mierze, jak czuł, nie kazał posyłać; dyktował tylko, „że komisarze Cesarscy bardzo wojska zawiedli w prowiantach, na które Ojciec św. tak wielkie sumy ordynował, że mostu dotąd nie masz, że wojsko cierpi srodze, że Cesarscy stoją jeszcze pod Wiedniem, Sasi poszli do domów, a król wprzodzie za nieprzyjacielem, kawaleryą go swoją ścigając i gdyby nie wielkie spustoszenie kraju, które pośpieszyć nie dozwala, nogaby jego nie uszła.“

Z wojska też naszego siła zaczęła się napierać do domów, a żołnierza prostego i bez abszytu odchodzić. Ci, co się pod Wiedniem pochwyconemi zdobyczami obłowili, umykali z niemi w obawie, aby jej nie odebrano...

Zaraz mało co od Wiednia odszedłszy mieliśmy tego dowód, co u turków imię króla naszego znaczyło... Natrafiliśmy bowiem na zameczek, w którym przedtem lwy trzymane, ale z niego strzelanie się słyszeć dawało. Posłał król się dowiadywać, co by to znaczyło i okazało się, że tam kilkudziesięciu janczarów się zamknęło, broniąc się wściekle a niechcąc poddawać. Posłał zaraz król dając im znać o sobie i na jego imię niezwłocznie się poddali, gdzie sucharów moc znaczną znaleziono.

Ciągnęliśmy dalej tak ku Preszburkowi sami i choć po zwycięstwie wielkiem, które nas sławą okryło, ale



z jakim humorem i zgryzotą w sercu, trudno wyśłowić. Nie każdy tę niewdzięczność mógł tak znieść po chrześcijańsku, z pogodą i rezygnacją, jako król nasz prawy rycerz Chrystusowy. Było się czem pocieszać, ale było czem i trapić. Szczęściem, gdy już o konie strach był największy, cokolwiek paszy dla nich na Dunaju się znalazło... W samą tedy porę z Wiednia ktoś przybieżał od koniuszego cesarskiego, przymawiając się, aby ze zdobytych koni parę król Cesarzowi ofiarował, za co on też się chce odwdziżyć. Na co ramionami ruszył pan i rzekł, co słyszałem.

— Na to zeszło, że cośmy tu obdarzeni być mieli za nasze trudy, od nas się darów domagają, ale tak lepiej.

Z naszych panów w Wiedniu się nieco przyzostało, z czego król nie był bardzo rad. Wojewoda Wołyński dla niedomagania, podstoli koronny Grodzieński, chorąży koronny Lotaryński i pomniejszych wielu, ale ci za nami nadażyć mieli.

W ciągu tych wszystkich dni i przez miłość dla pana i przez ludzką ciekawość miałem w niego wlepione oczy, chcąc myśli odgadnąć.

Sądzę też, iż nieraz mi się to udawało, bom nawykł był dłuższym przy nim pobylem wyraz oblicza ze stanem duszy porównywać.

Po zwycięstwie stał się, mogę powiedzieć, pobożniejszym jeszcze i z tego co mówił znać było, iż wierzył w swe posłanie na pogrom nieprzyjaciela krzyża świętego. Wszystko do Boga odnosił, ale przeto się wcale nie zaniedbywał, aby po ludzku przewidzieć potrzeby wojsk i zaspokoić je. Na opatrność się zbytnio nie spuszczał.

Po wyjściu z Wiednia, nieprzyjaciela ani znaku już, ani innego śladu, oprócz trupa i padliny na drogach... a zniszczenia i ruiny okrutnej. Ci niemcy, którzy nam przybywającym na sukurs z takimi komplementami, zabiegali drogę, uniżali się, salwatorami czcili, teraz się stali nieprzyjaciołmi. W znacznej części

do tego się przyczyniała nędzna owa chciwość ludzka, bo wiadomem było, że myśmy co najprzedniejsze namiętności i skarby owe Wezyrskie opanowali, a choć król z nich szczodłą ręką obdarzał wszystkich, domyślano się olbrzymich łupów, mówiono o korcami mierzonych perłach i klejnotach i t. p. Pierwsze też europejskie gazety, jakie się zjawily, króla polskiego stawily na czele, jemu wszystko niemal przyznawały, co i Lotaryńskiego i innych srodze bolało. O Cesarzu niema co i mówić, bo temu łaskę czyniono, milcząc o nim...

Pochód nasz dalszy ku Dunajowi i mostom, któreśmy sobie budować musieli, osobliwy był. Znaleźliśmy się sami, bez wieści o innych sprzymierzonych, pozostawieni własnemu przemysłowi, niewiedząc nawet co Niemcy zamyszlali czynić dalej, i jak z wiktoryi korzystać. Posyłał król kilkakroć, ale znajdował taką niechęć, chłód i widoczną ochotę pozbycia się, że w końcu niemal sam tylko na siebie rachować już musiał.

Myślą króla było dwie lub trzy twierdze jeszcze zdobywszy, zawrócić do domu. Łupów w nich, krom prochów i kul, spodziewać się nie mogliśmy, ale król mówił o tem, iżby kilka zbezczeszczonych kościołów, obróconych na meczety, chciał przywrócić służbie Bożej i niemal dla tego jedynie szedł dalej. To wiadomem było powszechnie, iż na wieży św. Szczepana w Wiedniu, z pierwszego oblężenia jego, był z tureckiego przymusu zatknięty księżyc, na którym, chociaż krzyż postawiono, pozostał pamiątką upokorzenia.

Król się teraz domagał, aby zaraz księżyc zdjęto, bo już dawne traktaty nie obowiązywały. Chciał to mieć na pociechę swą, iż oczyścił dom Boży od pamiątki sromotnej. Przrzekł zaraz Starenberg na wieżę posłać i księżyc zrzucić, ale potem pono umyślnie włókl, aby się to po woli króla polskiego nie stało; tak też wszędzie pierwszą myślą było jego księżyc rugować, a na ich miejsce krzyże wznosić, jako się niżej powie.

Dosyć późno już w pochodzie ku Dunajowi, gdy

król na nich się nie oglądał tak bardzo, pomiarkowali się Niemcy przecież i dali o sobie znać. Cesarzowi posłał król na żądanie parę pięknych koni, które sam wybierał, ale nie gołych, z siedzeniami bardzo bogatemi, lub rubinami i szmaragdami wysadzonemi. Na jednym z nich rzędzik diamentowy.

Cesarz też pomiarkowawszy się, albo i zasłyszawszy, że się na despekt uczyniony królewiczowi Jakóbowi skarżono, przysłał mu przez dworzanina swego szpadę diamentami sadzoną, dosyć piękną...

Po posłańcach, którzy od księcia Lotaryńskiego, od Cesarza i od innych książąt przecież zaczęli przybywać, jakby sobie dopiero o nas przypominali teraz, sam Generalissimus się obiecywał wkrótce. W tych dniach tak znowu nas posłami i gońcami, przez których odpisywać było potrzeba, trapiło, iż król nawet książki w rękę wziąć nie miał czasu, co jego najmilszą było rozrywką. Mielśmy ich podostatkiem i ja też pamiętałem o tem, aby zawsze przy łóżku miał tę, którą rozpoczął, ale tknąć jej nie było czasu nigdy... Obcy i swoi pokoju nie dawali, bo po zabitych wakanse się okazały i o te zaraz nacisk był utrapiony.

Już nad Dunajem król listy z Krakowa otrzymał, które go wielce uradowały... Z nich dowiedzieliśmy się, iż pierwszą wiadomość o walnem zwycięztwie królowa odebrała w kościele na modlitwie i o mało nie omdlała z początku z trwogi, co jej przyniesiono, potem z radości wielkiej.

I strzemię też owo Wezyrskie, które jej na znak przyniesiono, natychmiast u krzyża, przed którym kłęczała, zawiesić kazała.

Z Wiednia przez duchownych miał król wiadomość, iż świątobliwy Ojciec Marek d'Avinno z Wiednia do Lincu, a ztamtąd zaraz miał do Włoch powracać i że głośno a srodze bolał nad grzechami tej stolicy wiedeńskiej i Cesarzskiego dworu, na pychę, niesprawiedliwość i rozpustę, której Cesarz hamować nie chciał, czy nie umiał...

Naszych biedaków chorych przecież na wyproszonych i zapłaconych skutach Dunajem tu za nami przywieziono, około których ks. Hacki, Peccorini i co było doktorów i felczerów pilno chodzili. Chorych w obozie nie zliczyć było, mało kto dla złej wody i strawy nie lepszej wolny był od biegunki. Z rannych dużo umierało codziennie. Teraz dopiero straty nasze bardzo znaczne i z kwiatu rycerstwa obliczać poczęliśmy. Nie było chorągwi, pod którąby nie brakło kilku albo i kilkunastu.

Tu dopiero, gdy niemieccy książęta przybywać zaczęli, okazało się, że nie jeden król nasz srogą niewdzięcznością się czuł pokrzywdzonym, lekko to znosząc, bo powtarzał ciągle, iż czynił dla Krzyża Chrystusowego i wiary, nie dla Cesarza, tę wyprawę...

Najwięcej bolał książę Saski, który z posiłkami precz szedł, czując, że mu się niesprawiedliwość działa wielka, gdy go ukłonem zbyto, Starenbergowi zaś feldmarszałkowstwo, Złote Runo, sto tysięcy talarów dano...

Oprócz Saskiego, oburzonego wielce i niemogącego się ukoić, Caprara i Lesle, którzy najczynniejsi byli, narzekali i odzywali się nawet tak butnie, że sam słyszałem mówiących:—Pocoście go przyszliz ratować, niechby był przepadł, i ta jego pycha z korzeniem wyginęła...

Niektórzy jednak wlekli się za nami i znowu pod rozkazy króla się zaciągali, jako książę Bawarski.

Lotaryngski, gdy nadażył za nami, znowu u nas był gościem codziennym, ale na nim wcale też nieznać było żadnej łaski Cesarskiej, ani wielkiego ukontentowania... Człowiek też skromny i cichy się wydawał.

Z tych dni pochodów naszego, ile pamięcią zasięgnąć mogę, jeszcze to zapisuję, iż król się ze znużenia czuł niedyspozyt i życzył sobie gdzieś do miasta zajechawszy lekarstwa zażyć z rady Peccoriniego, ale i na to czasu nie było. Lekarstw zaśby nie zbrakło, bo między innym łupem, dostała się królowi wezyrska apte-

ka osobliwa, z balsamami i ingredyencyami najrzadszemi i najkosztowniejszemi.

Co dalej ku Preszburgowi tyleśmy mieli pociechy, że dla koni pasza była lepsza i dostatniejsza, tak, że wychudłe szkapy cokolwiek do siebie przychodzić zaczęły, gdyśmy już trwożyli się, że nam bodaj pieszo powracać przyjdzie. Za to między choremi na tę biegunkę okrutną śmiertelność sroga panowała. Chorych pomiędzy starszyzną nie zliczyć było, wojewodowie krakowski, lubelski, kasztelan sandomierski obłożnie, wołyński też bez nadziei prawie. Podczaszy lubelski Gałęzowski zmarł, Kizyak z rany tu skończył życie. Trafiło się tak, że nie było komu dowództwa zdać i porządku utrzymać.

Król, dzięki Bogu, choć innego owocu nie mając, dereń dojrzały i berberys przegryzał, trzymał się zdrów dosyć i jeździł Jaworyn twierdząc oglądać. Lekarstwo jednak z rady doktora zażył. Mnie do pana wojewody Kochowskiego do Preszburka posyłał, z kąd wróciłem przerażony, bo jednym szpitalem zdało mi się miasto, tylu tam naszych leżało i codzień zmierało.

Skarżył się pan wojewoda, iż z tego aprehensyą miał wielką, patrząc, jak do koła nieustannie ludzie marli. Płaciliśmy za sukurs Cesarzowi dany drogo bardzo, bo nam młodzieży najznacniejszej siła się nie doliczyć potem przyszło.

Od Turków tyleśmy wiadomości mieli, iż Wezyr na paszów swych niepowodzenie składając, kilku ich uduśić kazał.

Z książąt niemieckich, o ilem mógł zauważyć, Bawarski z nami w najlepszej komitywie był, dla króla, z należytą rewerencyą, z królewiczem serdecznie... Chwalono go też z siły i zręczności we wszelkich ćwiczeniach, na koniach oklep jeździł, pływał jak ryba, dziarski i wesół... Królewicz i król obdarzyli go szczerze z łupów...

Zapisać to też należy, iż król nad Tekelim i węgrami okazywał miłosierdzie wielkie i chciał ich ra-

tować o tyle, o ile się to z interesem wiary świętej i chrześcijaństwa dało pogodzić. Zapowiedziane były posły do króla od Tekcego, który, jak przyrzekł, tak wszelkiej zaczepki względem nas i na szkodę rzeczpospolitej dotąd unikał.

Wojska nasze jak wyszły z pod Wiednia pierwsze, choć je choroba dziesiątkowała, tak i teraz przodem stały przed wszystkimi. Lotaryngski za nami dopiero; niemcy, z którymi się wciąż stykaliśmy, najbardziej pono boleli, nie rad tem, żeśmy im laury z pod nosa wzięli, ale, że królowi się dostały w spadku po Wezyrze jakieś bajeczne miliony. Słyszałem sam, gdy król któremuś z nich się spowiadał otwarcie z tego, co dostał, nie licząc, iż rozdał zaraz część znaczną, a ja też poświadczyć mogę najlepiej, bo kosztowności te były pod dozorem moim. Na rejestrze u mnie pięć naszyjników, pas diamentowy, dwa zegarki diamentami sadzone, pięć nożów bogato oprawnych i kamieniami przyozdobionych, pięć sahajdaków ekstra kosztownych, bo lśniących od rubinów, szmaragdów i pereł, sobolów i futer soroków kilkadziesiąt najpiękniejszych w świecie. Do tego doliczywszy siodła i rzędy, szkatułki złote, bagatelek różnych pięknej roboty dosyć, będzie po wszystkim; koni nie wiem wiele, ale z tych się już rozeszło na podarki bodaj połowa.

Chodziła po obozie pogłoska, że Miączyński w pierwszych dniach po ciurach i czeladzi nabywając, czy też namiot taki szczęśliwy natrafiwszy, bardzo się zapomógł w kosztowności wielkiej ceny. Wiem, że go król o to pytał przez ciekawość, chcąc oglądać, lecz nie mieszkając już wszystko było przy dozorze pewnych ludzi na Wołyn wyprawione. Miączyński zaś tylko do jednego pasa diamentowego się przyznawał, który u chłopaka miał kupić za parę talarów.

Pieniędzy gotowych owego skarbu, o którym wiele prawiono, nikt na oczy nie widział. Ten albo w pierwszej chwili rozerwali ci, co do niego dopadli, albo wszyscy ludzie zabrali, ale myśmy go nie do-

stali, ani nawet ów *locus ubi Troja fuit* oglądać się nam dał...

Twierdze przez Turków dotąd trzymane królowi animuszu wielkiego dodały, tak, że i niewdzięczności i zawodów doznanych zapomniał, cały gorączką tą przejęty, jakby je najrychlej szedł zdobywać. Siedem mil ztąd do Jaworzyna pojechał go oglądać zawczasu nie lując fatygi, taki w niego młody duch znowu wstąpił. Nieznudzony, niezmordowany, nieustannie czynny, że człowiek patrząc na niego w istocie sobie przypomina co słyszał o tych specjalnych *gratie status*, które Bóg Indziom powołanym zsyła. Wierzę w to, iż mu łaskę swą szczególną zlał na tę wyprawę, bo pospolitą ludzką siłą, w jego wieku na to starczyć niemożliwą było rzeczą.

Król ztąd do Krakowa niektóre zdobyte osobliwości przez niejakiego Zdzańskiego wyprawił, przy czem i więźniów tureckich kilku, którzy potem handlem się zabawiali. Dla królowej, dla księżnej siostry, ojca Markiza i córeczki Teresy (Pupusieńki) rozmaitych szkatuleczek, kobierców, zasłonek, materii poszło dosyć co lepszych, przy tem namioty bardzo piękne, chociaż cokolwiek podezelowane... które w Żółkwi złożone zostały.

Nie wiem czy królowa to dobrze przyjęła, iż o Miniunku jej ulubionym, wcale zapomniał, którego gdym się ośmielił mu przypominać, nic mi nie odpowiedział.

Choroby ciągle nie ustawały, ale też i leki się do śmiertelności przyczyniały, bo gdzie się Peccoriniego i naszych felczerów doczekać nie mogli, lada żydów wzywali na radę, a ci, jako ks. Przeborowskiemu opium i inne venena zadawali, tak, że od nich pomarli.

Co do dalszego pochodz z Niemcami spór był, bo ci chcieli wprost iść na Budę i żalowali, że króla posłuchali, król zaś także w tą stronę dążył, ale po tej stronie Dunaju i rad był po drodze zamki zdobywać, co za rzecz łatwą uważał. My tylko jedni z Tekelim i ks. Siedmiogrodzkim mieliśmy porozumienie. Ostatni

po niewoli szedł z turkami, ale go Wezyr puścić od siebie nie chciał.

To też konotować się godzi, iż w listach królowa zbytnią troskliwość okazywała o łupy i mężowi o nie pokoju nie dawała, że mu je prawie z rąk wyrwano, tak, że się tłumaczyć i uniewinniać musiał. Mało jej było odniesionego zwycięstwa i tych kosztowności, których się nam przecież dostało dosyć. Nie było sposobu poopanowaniu namiotów, tak te obstawić wartą, ażeby się tam czeladź i ciury nie wdarły, a nawet gdzie strażę stały, namioty z tyłu rzezano i wyciągano z nich co lepszego...

Inni nasi mądrale, jako Gałęcki, co się do klejnotów nie dobrali, jak ów kozaczek kuchcik chorążego, woły skupując, porzucaną miedź zbierając, a potem spieniężywszy, do znacznego przyszli zarobku.

Ja się niczem pochwalić nie mogłem, krom drobiazgów, które od żołnierzy kupowałem, bo mi się nie zdało za łupem uganiać, król sam też cokolwiek podarował, widząc, że nie mam ani czasu, ni ochoty do łupieży. Ci, którzy do łatwego zarobku mieli zdolność, a nie zapominali korzystać z okoliczności, przysporzyli sobie mienia, choć wielu je potem po drodze potraciło...

Niech Bóg strzeże, abym nawet nieprzyjaciela miał lekko posądzać i obwiniać, ani z siebie to biore, co muszę zapisać z powodu dalszego pochodu naszego, gdzie jedna łaska Boża nas uratowała, a król istnym cudem śmierci uszedł, jako zaraz powiem.

To rzecz pewna, że Niemcy się ociągali o kilka mil za nami pozostając w tyle, chociaż ks. Lotaryngski wiedział dobrze, iż Turków mamy przed sobą siłą prze magającą.

Gdyśmy z obozowiska nad Dunajem w pobliżu Ostrzygonia czyli Granu ruszać się mieli w pochód, król przewidując starcie z turkami, posłał księdza Zebrzydowskiego do Lotaryngu, aby z jazdą za nim pośpieszał. Straży zaś przykazał, aby idąc przodem,

czołna na Dunaju dla kozaków zabierała i żeby na niego o milę od mostu czekała, a miała się na baczności... Postanowiono było, jeżeliby z miasteczka około mostu, Parkanami zwanego, mieli na drugą stronę do Ostrzygonia uciekać i most za sobą zabierać, ażeby i Parkany zająć zaraz, jeżeliby zaś tu wojsko się jakie ukazało i bronić chciało, stanąć od niego w milę i czekać na Cesarską piechotę i na działa, które za nami jeszcze dobrze pozostały.

Tymczasem straż nie pytając i nie dawszy królowi znać, dotarła aż do mostu, gdzie wojsko tureckie zastała, które właśnie w nocy przeszło przez Dunaj. Zwycięstwem nzuchwaleni nasi, nie czekając i nie oglądając się na nic poczęli się z niemi ucierać.

Nadjechał na to wojewoda ruski, który w niedostatku piechoty, dragonom kazał zsiść z koni, nie presumując z jaką siłą mieć będzie do czynienia, gdy z zarośli i chrustów coraz większe kupy turków wysuwać się poczęły. Cofać się było zapóźno, boby i dragoni i reszta na zgubę pewną wystawioną została. Widząc się w hardzo niebezpiecznem położeniu, wojewoda posłańca za posłańcem począł wyprawiać do króla, prosząc o posiłki i ratunek...

Ale nie powiedziano wcale, że wojsko tureckie było bardzo znaczne, więc my z królem bez piechoty; bez dział, można powiedzieć z gołemi rękami szliśmy dragonom w pomoc, którzy już odcięci byli i odbieżano ich...

Król nie miał jeszcze nieprzyjaciela przewagi najmniejszego przeczucia, uszykowano pułki, aż tu, nie dalek nad sto kroków przed nami wystąpili turcy, zastęp srogie.

W pułkach naszych więcej pięciu tysięcy ludzi nie było, gdyż straty wielkie ponieśliśmy przez choroby, a wiele się z tyłu pozostało przy zdobyczach, stadach bydła, wozach i t. p.

Król wprawdzie się zasępił okiem rzuciwszy przed się, ale nie stracił ducha i tyle tylko, że nas jednego

po drugim w cwał wyprawiał po Lotaryngskiego i piechoty, a swoim kazał stać nie ruszając się.

Sam osobiście mało kogo przy sobie mając, objężdżał pan szeregi i rozporządzał je starając się miejsca zająć dosyć, aby siła się większa wydawała; ale wojsko było pomieszczone i ludzi mało. Na prawem skrzydle postawił król wojewodę ruskiego, krakowskiego na lewem, w pośrodku p. Marcina Zamojskiego, lubelskiego.

Mnie już wówczas przy królu nie było, bom z rozkazu jego biegł po piechotę na złamanie karku, gdyż mi sam powiedział, konia nie żałuj, ale mi naoczny świadek JMPan Czerkas później to opowiadał. Jeszcze do bitwy nie przyszło, gdy nadbiegł zafrasowany okrutnie wojewoda ruski do króla, zaklinając go, aby zawczasu uchodził, gdyż w wojsku zauważył konfuzyą wielką i opór przeciwko rozkazom. Dragonia z koni zsiadać nie chciała, kilka chorągwi dysponowanych, aby szły stanowiska wyznaczone zająć, nie ruszały się z miejsca, wołając, że je na rzeź dawano.

Królowi jednak, raz tu przyszedłszy, nie zdało się cofać i okazywać obawę, któraby wojsku resztę odwagi odjęła. Pozostał więc w miejscu, mając przy sobie generała Dynewalda od Cesarskich wojsk przybyłego dla obserwacyi nieprzyjaciela.

Dynewald też zmiarkował ogromną przewagę Turków i od siebie ludzi do Lotaryngskiego posyłał, dopraszając się posilku jazdy niezwłocznie.

Niech-że Bóg sądzi, czy Lotaryngski mógł a nie chciał pośpieszyć, albo-li też nagłości się nie domyślał. Słyszałem potem dowodzących, iż posiłek spóźniono w tej nadziei, aby nas zostawionych samym sobie z tą garścią, konfuzya spotkała...

Turcy zaś nie czekając, gdy nas obliczyli, rzucili się na prawe skrzydło wojewody ruskiego i odparli je...

Powtórnie potem nacisnęli je, nie mogło się utrzymać. Za trzecim razem, gdy śmielsi coraz, przysko-

czyli turcy, okrzykli prawe skrzydło, tył mu zabrali, objęli i zmieszali, tak, że uchodzić zaczął kto mógł i popłoch się wziął wielki, król w tej chwili bezpieczniejszym się sądząc wśród Ussaryi, a uchodzić nie myśląc, ruszył z nimi przeciwko tym turkom, którzy tył wojewodzie ruskiemu zajęli i byłby go skutecznie poparł, ale w tejże chwili za przykładem prawego skrzydła, środek, a w końcu i lewe skrzydło mieszane z pola uchodzić zaczęło. Turcy wsiedli zaraz na nich ze wściekłością straszną, goniąc ogromnemi masami więcej, niż pół mili uciekających, aż prawie ku piechocie naszej i ku wojsku Cesarskiemu, które spokojnie sobie stało...

Królowi też nie pozostało nic tylko na konia zdać życie swe i uchodzić z innemi, ale naprzód jeszcze Jakóba królewicza wyprowadził, przykazując co najrychlej biedz i unosić życie. O siebie się nie troszczył, ale o syna mdlał niemal z niepokojem wielkiego.

Przy królu naówczas byli koniuszy koronny, starosta łucki Piekarski, Ustrzycki i litwin Czerkas, rajtar jakiś z chorągwi Usarskiej króla, wszystkiego ośmiu z nim...

Co się wówczas dziać poczęło, tego i ci, co byli przy królu opisać nie zdołali, bo ścisnąwszy się około pana tak, że mu zbrojami boki obijali, spychając jedni drugich, padając, odcinając, gonili na oślep przed się, już śmierć widząc przed sobą.

Wojewoda Pomorski, który cokolwiek w tyle pozostał, już osaczony przez Turków zginął, a najdzielniejszego rycerstwa bardzo wielu. A że król potrafił się salwować, można to było za pewny cud łaski Bożej uważać, bo ci, co przy nim byli już się za zgubionych mieli... W szalonej tej jeździe co chwila rowy przeskakiwać, trupy, bębny, zbroje na pobojowisku porzucane omijać lub gnieść, od czego się konie płoszyły... Pod starostą sandomirskim, który za królem pędził osobno dwa razy koń padł, ale go uratowano, tylko sekretarza włocho, który przy nim był, utracił.

Marszałek nadworny był naówczas przy wojsku Cesarskiem i uszedł wcale nawet widowiska tego. Tymczasem Lotaryngski niemal to przed oczyma mając nie ruszał się pod pozorem, iż drugie jego skrzydło nie nadeciągnęło, lubo miał czasu i miejsca dość, aby królowi towarzyszyć.

W pierwszym momencie, gdym nazad powrócił, a w obozie zastał popłoch nieopisany, o małym nie padł trupem, gdyż głoszone, że król zabity, że królewicza wzięto, a nasi wodzowie polegli wszyscy. Wojewoda ruski, wojewoda lubelski już na pobojuwisku trupa szukali... gdyż król, dzięki tej garści, co go między siebie wzięła, uszedł cało... ale ręce i boki kawiąszkami i blachami mając tak poobijane, że je natychmiast opatrywać i okładać musieliśmy.

Do tego jeszcze niepewność o syna, o którym nie zaraz miał wiadomość, iż mu się nic nie stało, o małym go nie ubiła...

A co się w jego sercu dziać musiało, czując, że go na sztych umyślnie prawie dano!...

Gdym przybył potem, gdzie na materacu król dyżąc okrutnie spoczywał, słyszałem narzekającego, ale nie na własną dołę, tylko, że przez to nieprzyjacielowi zułwalstwa przybyć musiało, że teraz i Wezyra się spodziewać było można.

Napróżno go wojewoda ruski z innemi mitygować chcieli, aby dalej nie ciągnąć, nie narażając się, wojsko schorzałe mając, dość uczyniwszy już, zawrócił do domu. O tem on ani chciał słyszeć bez odwetu, ani sobie dał mówić, zaraz nazajutrz się wybierając, byle piechota i działa nadeszły, szturmować Parkany i most.

— To co nas spotkało — mówił — przyjmijmy za sprawiedliwą karę Bożą, za rabunki kościołów zdzierstwa, wszeteczeństwa, jakie wojsko popełniało. Widziałem ja, co się działo, bolałem i groziłem, że precz odjadę, przy takim wojsku, nad którem wisi kara Boża trwać niemogąc.

Później też król dowódcę wyrzucił, że wojsko się rozleżało, ćwiczeń zapominało, oficerowie niedbali byli i nie pilni, żołnierz rozpuszczony. W dragonii, jak się ukazało, wielu lontów zapalonych brakło i marnie przepadli.

Lecz wszystko to po niewczasie przychodziło. Niemcy, choć się może w duchu cieszyli, że my też za nasze zuchwalstwo ukarani zostaliśmy, wielką niby komonizację ukazywali, a zdumieli się mocno, gdy król oświadczył, że nie wzięwszy odwetu, spokoju mieć nie będzie.

Po tym pogromie i stratach, wszyscy prawie otaczający go, przeciwili się nowej imprezie, prosili, po nogach go niemal całowali, ukazując, że zdrajcom niemcom służyć dalej krwią naszą nie godziło się. Na co on ciągle odpowiadał jedno.

— Czci mojej i wojska naszego wetować muszę. Odstąpiemy ich, ale wczorajsze nieszczęście Bóg da zwycięstwem sobie wynagrodzić musimy. Tem mężstwem król drugich też powoli natchnął, bo widząc go tak aporczywie stojącym przy tem, ducha też nabrali.

Działo się to dnia ósmego Octobris, a przy pomocy Bożej, trzeciego dnia potem król mógł zawołać.

— Po wczorajszem zwycięstwie, jakby mi lat dwadzieścia nazad wrócił!

Zwycięstwo zaś to nikomu innemu nie należało, tylko naszemu panu, bo po owej nieszczęśliwej porażce pod Parkanami, jednym głosem wołali wszyscy. Wracajmy! dosyć już nas dla nich naginęło.

Król dla samej czci rycerstwa polskiego na powrót zgodzić się nie mógł i z szybkością nadzwyczajną się zaraz do walki nowej sposobił, wydając tejsze nocy rozkazy, chociaż tak był potłuczony, że ciało miał jak najczarniejsze sukno od sińców, na co wcale nie zważał, ani się zdawał czuć. Na radzie wojennej, gdy wszyscy głosowali, aby do domu odciągnąć, słyszałem go, gdy leżący wołał:

— Wojsko wczoraj podrzyło, ale się jutro popra-

wi, to nienowina, Niemcy wcale nie są strwożeni, a my byśmy mieli ducha stracić.

Co o fortunie mówicie? zdepczę ją jako małpę, a Boga przebłagawszy, zobaczycie jutro odmianę.

Przyznać trzeba, że i wymowne kazanie ks. Skopowskiego przyczyniło się do odżywienia wojska i dodania im nfnności w Bogu.

Nie było też sposobu uniknąć bitwy, bo Turcy znowu uzuchwaleni nadciągali wyzywając. Kara-Mustafa starając się korzystać z małego zwycięstwa, natychmiast całą siłą, obu brzegami Dunaju ruszył sam i węgrom z Tekelim iść kazał, o tatarach niezapominając.

W dolinie pod Parkanami roilo się turkami, którzy z gór od Budy i przez most pod Ostrzygonią napływali z pośpiechem. Przez całą noc słyhać ich było, a że w wojsku tureckiem wieść chodziła iż król polski padł zabity, wielce ich to animowało. Innych wodzów mało co sobie ważyli.

Jak się później okazało, ustawili się poganie, pewni prawie zwycięstwa opierając prawem skrzydłem o wąwozy, z których lada godzina węgrom się w pomoc spodziewali. Z tej strony dowodził nowy Pasza Budy, na miejsce Ibrahima mianowany, Czarny Mahomet, Sylistryjski stał w pośrodku, w lewo pasza Karamunij-Ali.

Z naszej strony razem pono liczono do czterdziestu tysięcy, dobrego żołnierza, ale już wielce znużonego.

Przededniem na godzinę, mimo sińców, które winem z rozmarynem pookładano, już pan nasz na koniu był i wojsko w trzy rzędy ustawiał, mieszając pułki niemieckie z naszemi. Dopiero o dziewiątej, gdy już dzień był wielki, ruszyło się wszystko wolnym krokiem przeciwko turkom. Król stanął u prawego skrzydła, które miał rzucić na Parkany. Lotaryngski był w pośrodku z Badeńskim i innemi, lewym skrzydłem dowodził Hetman Jabłonowski.

Z tej strony naprzód naskoczyli turcy chcąc Hetmana opasać i odciąć. Impet był straszny, ale nasze linie wytrzymały nie dając się złamać.

Za powtórny napadem Lotaryngski ruszył się z piechotą i złamał ich linię bardzo szczęśliwie. Zaczęło się szczęście ku nam przechylać i Kara-Mahomet raniony był a Karamański ranny padł w ręce usaryi naszej, Sylistryjski się zapędziwszy we czterdzieści koni, znalazł się otoczony jazdą niemiecką. Bronili się wściekle i niepoddali aż Jabłonowskiemu.

Król tymczasem, choć z Ostrzygonia strzelano nań szedł na Parkany, osłonięty wzgórkami, tak, że bezpiecznie przyszedł pod same mury.

Turcy postrzegłszy go tu, spłoszyli się niezmiernie i rzucili uchodząc na most do twierdzy prowadzący. Wojska nasze wielkim kołem objawszy ich ku Dunajowi przyparło i już zwycięztwo było pewne, a król twierdzę zdobył łatwo.

Znowu tedy polacy w łaskach, a nasz pan bohaterem.

Tekelego, jak król przewidywał zawczasu, nie było w bitwie, tylko pono dwu od niego posłańców, którzy na pogrom patrzyli, tatarów też na lekarstwo chyba, kilkuset, do których król miał posłać z komplementem więźnia, dziękując Hanowi, iż na przymierza z nami pamięta.

I to wzmiankować muszę, iż jak pod Wiedniem O. Marek widział nad królem unoszącą się białą gołębicę, tak przed tą klęską czwartkową pies nam czarny ustawicznie zachodził drogę, orzeł czarny się spuszczał nad nami, a teraz gołębia król sam widział przed sobą.

Królewicz Jakób, który się szczęśliwie i z pogromu wydobył, bez żadnego szwanku i tu, choć do niego strzelano okrutnie z Ostrzygonia, wyszedł cało.

Już tedy po odwrocie tak szczęśliwym, iż król sobie to zwycięztwo wyżej cenił niż pod Wiedniem od-

niesione, po tylu stratach, po tak srogiem wojska zdziesiątkowaniu, śmiało mogliśmy Niemców porzucić.

Ale, jak to teraz przepowiedział Hetman Jabłonowski, który naturę królewską znał dobrze, zachciało się mu Ostrzygonia dobywać, choć Wezyr z Budy kilku tysiącami załogę jego wzmocnił. Nie zrażało to, że coraz ostrzejsza pora, wielkie znużenie i jadło nie zdrowe, chorób przymnażały. U nas nawet kilku z czeladzi nie wytrzymało, Kełmuczek i Dąbrowski, paż króla którego on lubił, na wozach niemal poumierali. Chorych było bez liku, pogrzeby codzienn, towarzyszków, pachołków, czeladzi, padała liczba u nas daleko większa niż u Niemców, którzy na pozór wężlejsi byli.

Po zwycięstwie szemrać poczęto, a nieszczęśliwe wakanse po zabitych i pomarłych, wielu dysgustów przyczyna, król wrzekomo tak czynił jakby niewiedział i nieśłyszał, choć o wszystkim był uwiadomiony. Referendarz koronny, który po zabitym Denhoffie Województwa Pomorskiego się dopominał, miał się odezwać publicznie na głos w majdanie.

Ja wezmę moją chorągiew i pójdę do domu, bo ten most przez Dunaj budują nie dla czego innego, tylko żeby nas poprowadzić pod Budę i tam pogubić wszystkich. Marszałek litewski Radziwiłł napierał się Regimentu po Wojewodzie, a nieotrzymawszy go też malkontentem został.

Król mimo uszów to puszczał i śmiał się z tych co do czarnych pieców i złego piwka chcieliby pośpieszyć, ale to darmo, one piwo i podpiwek swój miłszy niż tu pałace i tokajskie wino.

Ja co zbliżka patrzyłem na niego, słuchałem, i mimo własnej woli, musiałem wiedzieć o wszystkim co go dotykało mocy duszy jego wyadmirować się nie mogłem. Tu mało kto z niego kontent był, każdy więcej wymagał, niż mu dać można było, kwasy i wyrzuty, z Niemcami, choćby najlepiej był, dowierzać im nie mógł, bo się przekonał jak byli przewrotni,

a szli za fortuną, naostatek o czem tylko my wiedzieć mogliśmy, królowej listy zamiast pociechy przynosiły najczęściej wymówki, narzekania, wyrzuty i najdziwniejsze wymagania. Radaby króla odciągnęła już była do Polski i żałowała, że więcej zdobyczy i jeńców nie przynosił z sobą.

I tych Baszów, których pobrał Jabłonowski, a od nich się wielkiego okupu spodziewał, królowa żałowała, choć się temu dostali, który w sercu jej, Boże odpuść, na równi z królem był ulokowany.

Gdy listy od Astrei przychodziły, chwycił je chciwie król, a ręce mu do nich drżały. Czasem przy nich szarfa jakaś lub węzeł przyszedł, to się tem bzdurstwem nacieszyć nie mógł, a no gdy czytać począł, chmurzył się, rzucał, powracał do pisma, i znowu je odpychał i po kilkakroć do ręki brał... a nieraz mu aż pot na czoło występował. Królowa z Krakowa by rada i wakansami rozporządzać i wszystkim rządzić, a rozkazy wydawać.

Nie po myśli jej niebyło, zazdrości też dla Minionka, tych laurów, które tu Fanfanik zdobywał, choć w istocie nie narażał się zbytecznie, bo go pilnowano niezmiernie, a król o jego bezpieczeństwo daleko dbał więcej niż o własne.

Śmiałym był, temu zaprzeczyć niemożna, ale wsząd wyszedł cało, nawet mu się bardzo zmęczyć nie dawano, co za dziw, że się niczego nie obawiał, gdy drudzy trwożyli się za niego.

W popłochu tym pierwszym pod Parkanami, gdy król do obozu szczęśliwie, ale cały potłuczony wrócił, gdy się na razie o Fanfaniku nie mógł dowiedzieć, mało że zmysłów nie stracił.

Jemu samemu ten ruch, to życie niewygód pełne, dziwnie na zdrowie służyły, czemu się Peccorini i Dumolin wydziwić nie mogli. Nie dojadł, nie do spał, woda częstokroć do picia taka bywała, że domaby się nią człowiek umywać nie chciał, fatyga nieustanna, a na tuszy stracił, co ja na pasach widzę

i na rapciach, bo wszystko trzeba było ściągać... ale rzeźwiejszy jest niż w domu, i niemal odmłodzony.

Ks. Skopowski powiadał. Duch go trzyma... gdyby nawet nie jadł nic, wytrzymałby, taki ogień ma wewnątrzny w sobie... Święta prawda.

Pod Ostrzygoniem, nie zważając na mruczenia most budować rozkazawszy, do dwudziestego Octobris mieliśmy ukończonym. Jak tylko to nieprzyjaciół ostrzegł, zwąchał o co chodzi, przedmieścia, część miasta, zamek jeden na górze Ś. Tomasza podpalono i zniszczono, gdyż się bronić do upadłego zamierzali, król zaś dowodził, iż do zdobywania zamków zawsze miał szczególne szczęście, i że tu też rychło w miejscu księżycy na kościele starym krzyż zatknie.

Most zaledwie ustawiwszy, gdyśmy się przeprawiać poczęli, turcy o tem zasłyszawszy, ku Belgradowi się udali, węgry i wołochów rozpuściwszy... a tak Węgierska ziemia, która od kilkuset lat w ręku ich była, przez naszego Pana oswobodzoną została...

Zamek Ostrzygoński, który przy pomocy Bożej na pewno zdobyć się spodziewaliśmy, bez mała przez półtora wieku w ich rękach pozostawał.

Ażeby serce anielskie bohatera naszego jak należy ocenić, trzeba było widzieć i słyszeć jak się troszczył i za krzywdy biednemu ludowi wyrządzone ujmował. Słyszałem go powtarzającego wszystkim: A, dla Boga, za cóż niewinni chłopkowie cierpieć mają? I nawet wziętych na wojnie węgierskich żołnierzy nazad odsyłał, wyjmując im to z głowy, że my tu nie chrześcijan ani kalwinów wojować przyszli, ale tylko samych pogan! Ten naród ustawicznie ręce wznosi do Pana Boga za nami, nam się w protekę oddaje, w nas pokłada nadzieję, a ich za to ścinać, tych którzy nas żywią i dalej żywić będą! Pod miastami tureckimi harcować, nie ubogich ziemnych robaków zatracać!!

Po wzięciu Ostrzygonia, gdzie król bardzo pragnął krzyż zatknąć znowu, chciał nazad przejść Du-

naj, i dalej nieco pociągawszy ku Pesztowi wrzeko-
mo, ztamtąd dopiero ku granicom polskim zawrócić,
dla rozłożenia wojsk na zimowe leże.

Królowa zaś jak i większa część tych którzy przy
królu byli, nalegali na niego aby do Polski wracał,
a listy które z Krakowa przychodziły, rozpaczliwe
i niespokojne, nieustannie się tego domagały.

Jakkolwiek zawsze jejmości ulgał, tym razem je-
dnak od imprezy raz powziętej nie odstąpił dla tych
listów i szedł dalej jako zamierzył...

Królowej zaś odpisywał: „Wierzę, że tam ich siła
pisze i pisali ażeby nazad powracał, ale to są ci,
którzy tego życzą i życzyli, nie dla mnie, ale dla sie-
bie! Ja zdrowie, życie i szczęście moje, oddałem raz
w ręce Boskie i chwale jego świętej, ani go też ha-
zarduję więcej nad to, co pocziwemu należy, i temu
na którego akcye cały patrzy świat. Miłe mi życie
dla usługi Boskiej, chrześcijaństwa i ojczyzny, miłe
dla WMOści, dzieci, krewnych i przyjaciół moich, ależ
i honor na który się cały wiek robiło, powinien być
miły: a to oboje, przy łasce i protekcyi Bożej, pogo-
dzą się.“

Własne to są jego słowa.

Im bardziej napierano na to, aby przed zimą woj-
sko z Węgier wyciągało, tem król więcej obstawał
przy tem, ażeby oswobodziwszy Węgry, w nich zimo-
wać...

W Ostrzygoniu była załoga, do pięciu tysięcy tur-
ków, król obległ zamek sam, bez pomocy żadnej,
krom małego oddziału brandenburgskiego, w deszcz,
zimno, w brak paszy dla koni, z wojskiem znużonem
i chorobami wycieńczonem, a przecież czwartego dnia
po osaczeniu zamek się poddał—na imie króla. Ra-
dosc była niezmierna i tryumf wielki.

Ostrzygońska ta twierdza broniła się zrazu bar-
dzo dobrze przez te dni kilka, chociaż nam wielkiej
szkody nie czyniąc. Z naszej strony rzucane bomby

i granaty dokuczały im wielce, mury psowając i ludzi zabijając.

Patrzyliśmy z pociechą wielką na wyciągających precz pogan pod wodzą dwóch paszów Alepu i Nikopolis, którzy na Wezyra, że ich opuścił, narzekali, srom ponosząc jakiego nie doznali nigdy...

Myśmy zaraz potem weszli na zamek, który stoi na górze dosyć wyniosłej, całe z marmuru czerwonego, z którego rozpadlin źródła wody ciepłej się sączą wszędzie... i żaby w nich na Symona Jude tak skrzeczą jak u nas w Maju...

Jam nieźrównanej doznał serca pociechy na pana patrząc, gdy po raz pierwszy wchodził do kaplicy marmurowej, niegdy chrześcijańskiej, potem na meczet obróconej, teraz orężem jego służbie i chwale prawdziwego Boga przywróconej po stu czterdziestu latach. Trzeba go było widzieć jak się temu cieszył, więcej niż wszelkim tryumfom i zdobyczom..., gdy w dzień ŚŚ. Apostołów zagrzało tu Te Deum nasze!!

Kaplica marmurowa cała, jeszcze dawnych ołtarzów a nawet wizerunku Matki Boskiej ślady zachowała, ale twarz była popsowana i umyślnie zniszczona...

Po zdobyciu Zamku, gdy już i pora spóźniona nie dozwalała dalej nieprzyjaciela ścigać, i uchodził tak, że go napędzić było trudno, wojska nasze się od Cesaarskich oddzieliły, dla łatwiejszego sustentowania.

My, wedle postanowienia króla, który map i kart nie rzucając, ciągle się w nich rozpatrywał, szliśmy dalej mimo twierdzy tureckiej Szecina, potem mimo Files, na Koszyce i Eperies. Ale wprzód koniom i ludziom okrutnie znużonym spocząć potrzeba było, a i pory znośniejszej może spodziewaliśmy się doczekać, bo plucha, śniegi, wichry, zimno nie do zniesienia dokuczały.

Wszyscy tu tego się lękali, że król twierdze jeszcze przez załogi tureckie zajęte pomijając, nie wytrzyma, a jak zawsze do brania ich miał wielkie szczęście

i tu go zechce próbować. Słyszałem mruczących i narzekających na to niesłychane pragnienie bohaterstwa, o którym my najlepiej wiedzieliśmy, że ono było raczej gorliwością o wiarę świętą... i chrześcijaństwo...

Wysłał król do Krakowa, do królowej z listami płocho go francuza Deleraka, którego zaraz na drodze turcy ujęli i w niewolę uprowadzili, o czem dano znać. Król w kłopotcie niemalym, bo francuza pono za wielkiego jakiegoś i znacznego mieli czleka, okupu się za niego domagając takiego, że mimo najlepszej chęci, dać go niepodobna było, bo francuz z kośćmi i mięsem niewart był połowy tego co zań pretendowano.

Nie omyliłem się wcale w domysłach moich, słysząc żeśmy twierdze przez Turków zajęte pomijać mieli. Gdyśmy się ku Szczecinowi zbliżyli, zauważyłem niepokój w Panu wielki. Nie chciał na żaden sposób za sobą zostawić nieprzyjaciela w gnieździe. Zwołano radę, która jednogłośnie głosowała aby twierdzy nie zaczepiać.

Pomimo to wysłał król syna z Wojewodą lubelskim, z Dynwaldem, generałem Cesarskim i Truksem dowódcą brandenburgskiego posiłku dla rekognoskowania, którzy powrócili opowiadając, że zamek się im nie zdawał bardzo mocnym i trudnym do opanowania.

Stanęliśmy w wigilję Ś. Marcina pod miastem w okrutną szarugę, ale twierdza się królowi wydała mocniejszą niż opowiadano...

Palisady dokola były podwójne, przekopy, mury, wieże, położenie na pagórku, załoga powiększona świeżo posiłkiem Janczarów. Zobaczywszy to nasi dowódcy umysł króla znający, narzekać poczęli, a Pan nasz uśmiechając się powtarzał i przypominał, że ma do twierdz szczęście, i że mu się one poddają łatwo.

Zaledwieśmy stanęli, gdy z zamku strzelać na nas poczęto i żołnierza nam zabito, a zabierając się do obrony przedmieścia, turcy zapalili, król natychmiast,

tylko co przybyłych kozaków wyprawił aby przedmieście palić nie dawali. Cudem jakimś, bo kozacy się nam nie spisywali, tym razem wpadli z impetem takim, że nietylko przedmieście wzięli, ale pierwszą palisadę i bramę opanowali, i chorągwie z krzyżem na niej zatknęli. Dodało to animuszu nadciągającej piechocie i działom, tak, że palisady wszystkie opanowano przed nocą.

Nie trwał ogień z naszej strony nad godzin trzy, gdy chorągiew białą na zamku wywiesili, właśnie w tym momencie, gdy u nas w obozie lamentować poczęto, iż tu król wojsko daremnie na kule wystawia.

Zaprzestano strzelania i zamek się poddał na łaskę i niełaskę królowi. Słyszałem jak ich padających do nóg i o żywot proszących, uspokoił temi słowy:

— Nie bójcie się, nie spadnie wam włos z głowy. Nie jesteśmy pyszni w szczęściu, bo wszystko Bogu przyznawamy!

W istocie osobliwemu szczęściu królewskiemu przypisać potrzeba, iż Turków trwogą nawiedził, bo się mogli kilka tygodni wyśmienicie bronić, żywności i prochów mając pod dostatkiem.

— Na Św. Marcin w obu Meczetach chwałę Bożą śpiewać będziemy! powtarzał król z niewymowną radością. Ztąd już mamy na Eperies ciągnąć nie spotykając i nie biorąc zamków, bo nasi wodzowie stęsknieni do domów i spoczynku, słuchać niechcą o żadnej imprezie, on jeden, pan ten nasz do ostatka chwałę Bożą ma na myśli.

Ztąd, dzięki Bogu i pochod, mimo zburzony Filek, szedł nam snadniej, gdyż niebo się wypogodziło i mrozy brać zaczęły takie w Listopadzie, jakie u nas około Trzech Króli zwykle przychodzą dopiero. Ale gruda lepsza niż błoto i mróz niżeli plucha...

Król na mapy i opisy krajów narzekał, że w nich nigdzie prawdy nie znajdzie. Zapewniano nas, iż tu gór wcale niema, tymczasem od Dunaju do granic

naszych, nic, tylko same góry spotykaliśmy i gęste lasy...

W ciągu pochodu tego, król ciągle od Tekelego listy miewał i wiadomości, a ile nam te stosunki z nim czasu wyprawy pomocnemi były, wyrazić trudno.

Szliśmy tak ciągle, acz niemogąc wedle myśli naszych panów pośpieszyć ku Koszycom. Król na to najbardziej utyskiwał, że nieregularnie wiadomości odbierał od Jejmości, a z Krakowa się żalono na toż samo i na fałszywe a skape nowiny, które cudzoziemskie gazety przynosiły. Myśmy też z obozów nie mieli zręczności w świat o sobie rozsyłać wieści, ani je ze świata odbierać. Doszło nas parę artykułików w Rzymie umyślnie fundowanego pisma, które miało specjalnie o wojskach i wojnie krzyżowej przeciwko pogaństwu zawiadamiać. Drukował je niejaki *Krakus*, o którym czyby włochem był, lub jakiej innej narodowości, niewiem.

Dalej ku Koszycom wojsku się gorzej działo, bośmy wszędzie miasta i zamki przez Tekelego poobsadzone i pozamykane znajdowali na drodze... Koszyce kilka tysięcy ludzi na obronę miały... Tekeli, który się dotąd akomodował i króla szanował, chociaż mu on wszelkie bezpieczeństwo zapewnił, sam z żoną uszedł do turków do Debreczyna, a wojsku pozostałemu wydał rozkazy aby się z nami po nieprzyjacielsku obchodziło. Myśmy tu spodziewając się być spokojni, natrafili na wrogów, tak, że od Satmar począwszy, ciągle zewsząd napastowali nas i strzelali.

Z Koszyc na nas uczynili wycieczkę... W Preczowie z działa ubito starego i dzielnego żołnierza P. Modrzewskiego Wojskiego Halickiego... Głód, chłód, chorobiska we znaki nam się dały haniebnie, a to był właśnie kraj na zimowe leżeznaczony, gdzieśmy się odpoczywać spodziewali.

Preszów pominąć musieliśmy, nie kusząc się o zdobycie jego, aby prędzej wyciągnąć z tego utrapionego kraju. Tymczasem się nadspodzianie poszczęściło

w Sybinie. Starosta Łucki spotkawszy jazdę węgierską, trochę ją przekrzesał, a w sam dzień Niepokalanego Poczęcia, gdyśmy z królem nadeszli, i artylerya litewska do miasta ognia dała kilkadziesiąt strzałów, miasto się poddało na łaskę i niełaskę.

My ztąd wprost do Lubowli ciągnęliśmy, gdzie pono królowa miała się z nami spotkać, i czas jakiś zażyć spoczynku, bo król wiele miał do opatrzenia i zabezpieczenia...

Tandem *meta laborum* nadeszła, i król już na dwoje mogę powiedzieć był rozdarty. Z jednej strony z Węgrami coś postanowić było potrzeba i od Tekelego czekać wiadomości, z drugiej już myśl cała i namietność do królowej ciągnęła, która też niespokojna wielce, aby co rychlej panowanie odzyskać, pośpieszyć była gotową naprzeciw nas choćby na Sącz, gdy król Jmość na Czorsztyn i Nowy-Targ, chociaż dalszą nieco radził.

Mnie z Lubowli król z wozami do Czorsztyna wysłał, zkąd część powierzonych rzeczy miałem nie czekając, odprowadzić do Krakowa.

Tak tedy, po niemal czterech miesięcznej służbie, która mi się tem opłaciła, że na moje oczy oglądał, o czem drudzy ze słuchów, pojęcia mieć nie mogli nawet, powróciłem w Grudniu do Krakowa, pozwole nie mając królewskie, abym na Gody dobiegł do matki, czego mi się żywnie pragnęło.

W Krakowie już nie pierwszy stanąłem, bo mnie tu deztererów i powracających z dozwole niem i bez wiadomości królewskiej, poprzedziło bardzo wielu, nie oblegano mnie więc tak dalece, a jam ciekawszy był tego co tu zastanę, niż ci, co mnie tu witali, tego com z sobą przynosił. Od Ostrzygonia bowiem, jeżeli nie wcześniej, bardzo wielu samopas się do granicy przedzierało, a im bliżej Lubowli byliśmy, tem ucho dzących liczba się pomnażała.

Szaniawskiego mego, który *volens nolens*, musiał pozostać tu, znalazłem wielce radosnego, że mnie ży-

wym widział, bo mu różnie donoszono... Oprócz niego, Kraków był pełen starych znajomych i nowych z wyprawy tej, a tum się mógł przekonać dopiero, co to się z prawdą w ludzkich ustach dzieje i jak te same rzeczy, na które wiele oczów patrzy, każdemu się mogą wydawać inaczej. Cóżto mi się nasłuchać przyszło o tych bitwach i pochodach, przy których byłem, które oczyma memi oglądałem!! A i o królu samym i o wodzach naszych co tu opowiadano, uszy wiedły. Jam z sobą wiózł największe uwielbienie dla pana, u którego boku ciągle będąc, słuchając go, nigdym tak wielkim nie widział, tu zaś inwidya, ślepotą i łatwowierność w innem go świetle stawily... Niemal na każdym kroku rozprawić się przyszło z niechętnymi.

Zwłaszcza w tych rodzinach, które potracily swoich w potyczkach, przeciwko ambicyi królewskiej, której on wszystko sakryfikował sarkano... Drudzy niepomierną pożądlivością łupów tłumaczyli, iż zamiast wprost z pod Wiednia zawrócić do Polski, niewdzięczności doświadczywszy, szliśmy dalej tak się narażając jako pierwszego dnia pod Parkanami.

Na samym wstępie Szaniawski mi oznajmił, że i Boncourową w Krakowie znajde, abym się lepiej nie nastreczał jej, bo na łup pewnie z pod Wiednia czyhać będzie i obedrze mnie bez litości. A jam w istocie tego łupu tyle tylko miał com go kupił po ciurach, bo sam nie tknąłem nic... Ledwie tyle się znalazło w sakwach co na obdzielenie rodziny i przyjaciół bardzo skromne starczyło.

Szaniawskiemu dostał się pas nieszpety w Parkanach nabyty, i tym się kontentować musiał. Ja dla siebie jedną szablę pięknie oprawną zachowałem.

A że mi moja Felisia w istocie trochę z serca wywietrzała, niebardzom jej szukał, mając zamiar koniom wypocząwszy i ludziom, natychmiast się puścić w drogę, tak abym najpóźniej na złamanie opłatka do stóp dobrodziejki mógł pośpieszyć. Aż tu jednego ranka, gdym do P. Maryi na ranną mszę się wybrał, spoty-

kam w rynku podłe kamienicy, w której część dworu królowej pozostała, wystrojona jak lalkę... Boncourową.

Ostępiałem widząc ją, bo com sobie w myśli wystawiał postarzałą i zwiędłą, znalazłem tak świeżą, rumianą, odmłodzoną, jakby się w cudownej wodzie owej, o której baśnie powiadają, kąpała. Podeszła sama ku mnie sznurując pyszczek.

— A cóż to stary przyjaciel nie łaskaw? odezwała się. Czekałam go napróżno, zasłyszawszy o nim. Waćpanowie coście pogan gromili, tak jesteście tem zwycięstwem dumni, że już na nas patrzeć nie chcecie.

I, nie dając mi odpowiedzi, dodała.

— Musiałeś i wmość przy królu będąc, jak pan Miączyński i inni, pięknych rzeczy dostać w namiocie Wezyra. U nas tu tylko o tem prawią żeście perły korcami mierzyli...

Rozśmiałem się.

— O drugich niewiem nic — rzekłem — a o sobie powiedzieć mogę, iż z wyprawy na turka, powracam jak turecki święty. Gdy drudzy o sobie myśleli, jam myślał o panu...

— Oh! oh! — przerwała... Któżby to temu wierzył...

Wchodziliśmy do kościoła, chociaż z próżnemi rękami i bez gościńca — dodała, będziesz mi wmość miłym gościem, proszę mnie nawiedzić.

Takeśmy się rozstali. Musiałem zatem powróciwszy do gospody pomyśleć o tem co jej zaniosę. Nie miałem w czem wybierać. Oprócz tego co dla matki i siostry przeznaczone było, miałem tylko piękną zasłonkę szytą złotem, jakich się tam w obozie siła znajdowała, musiałem ją, w sepecik turecki wysadzony mosiądzem, misternie zamknawszy, zanieść jejmości.

Chciałem mało co pozdrowiwszy ją tylko i podarek złożywszy, uść precz, ale Syrena ta swoim głosem srebrnym jak mię zaczęła wabić, a wesoło zabawiać i uśmiechać się i w oczy nieustannie patrzeć, zupełnie znowu osłabł i do dawnej passyi powrócił.

Trzymała mnie do późna u siebie, ale szczęściem

nowy jakiś jej amant nadszedł, który mnie z posturunku niebezpiecznego zluźował.

Boże uchwaj dać się raz niewieście ująć za sercel! Wiedziałem, że ona sobie z mojej miłości igraszkę czyni, że nic potem była, bo Szaniawski różnych historyi nowych dosyć mi nakładał w ucho, niepomogło nic, oszołomiła mnie znowu, żem wyszedł jak pijany zgola.

Ale żem już do podróży wszystko rozporządził, wymogłem to na sobie iż nazajutrz, mimo pokusy wielkiej wyjechałem szczęśliwie do domu.

Dopiero w podróży gdy mnie zdrowsze ogarniało powietrze, a od wsi naszej wionęły wspomnienia, trochę ostygłem i przyszedłem do zmysłów.

Pani matce, gdybym był chciał dać o sobie znać naprzód, nie mogłem, ani się mnie mogła spodziewać.

W drodze się tak dziwnie złożyło, że po grudzie śpiesząc i w nocy zarywając, ledwie na samą wigilię rano w Łucku stanąłem. Tu już taka mnie ogarnęła niecierpliwość wielka, iż ludzi i konie popodbijane zostawiwszy, do mojego wozu żydowskie nająłem i nie spoczywając prawie, wyruszyłem do domu.

Nie było jeszcze owej gwiazdy na niebie która u nas znakiem jest podawania wieczerzy w ten dzień, gdy wóz mój przed ganek się zatoczył, a jam z niego wyskoczywszy, wszedł jak szalony prosto pani matce pod nogi...

Znalazłem tu, jakom przeczuwał, nie tylko siostrę z mężem, ale nawet brata Michała...

Al niewysławionej, że to radości była chwila, gdym ich głosy usłyszał, gdym macierzyński uścisk uczuł, i znalazł się w tem gnieździe, w którymby człek choć mu złote pałace stawiano, nigdy nie rad mieniać na nie.

Matka właśnie opłatki trzymała w ręku... i rozplakawszy się, z pierwszym mną się przełamała...

Mówili o mnie właśnie gdym najechał, sądząc

z tego co słyszeli, że z królem jeszcze albo w Lubowli lub załedwie na drodze do Krakowa.

Oprócz rodziny, starszego brata, szwagra mojego znalazłem u nas w gościnie... Siedliśmy zaraz do stołu, a jak mi tu wszystko smakowało, jeden Bóg wie. Zdało mi się że z temi potrawami szczęśliwe lata młodości na nowo spożywał.

Posypały się pytania, słowo w słowo tu znalazłem co w Krakowie pełno fałszów i baśni o nas, a prawdy mało. Pisane gazetki, które tu z rąk do rąk przechodziły, zawierały ekscerpta z listów królewskich do niepoznania poprzekęcane, a razem inne wiadomości z różnych źródeł, które się z sobą sprzeczały.

Musiałem im opowiadać o panu, widząc, że i tu go sobie inaczej całe wystawiano niż był. Nikt w nim owego bohatera chrześcijańskiego nie widział, jakim on nam się ukazywał od wstąpienia na ziemię, którą miał oswobodzić, od mszy tej do której służył w dzień zwycięstwa na Kalenbergu.

Brata Michała znowum znalazł zmienionym i postarzałym, ale równie jak pierwszym razem w stanie swym szczęśliwym i nie pragnącym nic nadto co osiągnął. Powagi wielkiej nabrał, a pobożnością nas budował.

Z tych wigilij gędów, które mi Pan Bóg dał przeżyć na świecie i pożywać z rodziną, niewiem czy która nad tę uroczystsza mi się wydawała.

Gdyśmy wstali od stołu, poszedłem moje sakwy podróżne rozwiązać, aby gościniec dobyć. Dla matki miałem bardzo piękny różaniec z drogich kamieni w złoto oprawnych, bo to wiedzieć potrzeba iż turcy się też modlą na paciorkach i siedząc je ciągle w rękach przebierają. Trzeba tylko było aby ten pogański różaniec O. Michał poświęcił.

Szwagrowi nóż pięknie oprawny przywiozłem, ale że się ostrza żelaznego nie godzi ofiarować, dla jakiegoś przesądu, grosz mi musiał za niego zapłacić. Najgorsza była sprawa z bratem szwagra, którego

się zastać niespodziewał i musiałem go kontentować jednym pistoletem bez pary, który wprawdzie bardzo był pięknie kością słoniową i turkusikami oprawny, ale mu odpowiedniego do olstry brakło. Przyjął go sercem wdzięcznem. Siostrze się dostała spinka najkosztowniejsza ze szmaragdem.

Do tego terminu te moje notatki doprowadziwszy, gdy mi je dalej przychodzi ciągnąć, serce się ściska.

Na własny mój los, chociażby on mógł być się złożyć inaczej a lepiej, narzekać nie będę, ale nad ukochanego pana mojego ciężkimi żywota kolejami komentowaćby przystało i niemal przeznaczeniu wyrzuty czynić, gdyby wszystko nie przychodziło z ręki i sądu Bożego. Bohater i mąż, który tyle się chrześcijaństwu zasłużył, cierpiał tak wiele, nie tylko, że we własnej ojczyźnie był zapartym, znieważonym, prześladowanym, ale umierając pociechy tej nie miał, aby potomstwu lepsze widoki przyszłości zostawić.

Od tej daty niemal wiedeńskiej wyprawy i powrotu z niej, rozpoczynają się niesnaski, spiski nowe, zabiegi dworów cudzoziemskich i knowania najlepszych przyjaciół Sobieskiego, przeciwko niemu, przeciw wszystkiemu cokolwiek zamierzał, bój i walka.

Wszystkiemu zaś temu pobudką jedyną, podporą i podniętą — królowa, która za żywota już zapierała się tego swojego dobroczyńcy, gotowa była go porzucić, własne dziecko pierworodnego Jakóba prześladowała, wszystkie plany i myśli męża krzyżując, a nawiść ściągając na niego.

Spisać wszystko to, co na nieszczęśliwym panu przez te lata aż do zgonu brzemieniem ciążyło, siły niemal i rezygnacyi braknie.

Europa cała czciał go wielką, wynagradzała, imię sławiła, nieprzyjaciele poganie korzyli się przed nim

i drżeli na wspomnienie Jana, a we własnym domu, ci, których on wynióśł, obdarzył, obsypał, spiskowali przeciwko niemu.

Krok w krok iść za tem, co się od owego roku 1684, aż do zgonu króla działo, nad siłę moją, a i pióroby nie podolało. Sądzę, że jeden tylko biskup Załuski, który świadomość miał wszystkich czynów i pobudek, przed którym się król zwierzał z tego, co myślał i czynił, mógłby być z tych smutnych dziejów zdać sprawę, a i ten nawet wielu rzeczy się tylko domniemywać musiał, bo król przez srom i litość nad rodziną, pokrywał często co go bolało.

Lekko dziś nieraz ludzie męczennikami się zowią i przyznają sobie to wielkie imię, które nosić godzien jest tylko ten, co cierpiąc się nie skarżył, Bogu bój swój ofiarował i na rusztowaniu się uśmiechał. Otóż takim prawym męczennikiem z pogodą na czole był ten pan nasz przez wszystkie lata aż do końca. Nie skarżył się nigdy.

Raz tylko do ostateczności przywiedziony koronę chciał złożyć, bo już mu sił do dźwigania brakło, i dopiero naówczas postrzeżono, co on znaczył i wiele ważył.

Francuzkie intryki, Cesarskie zabiegi przy niewdzięczności oburzającej matki przeciw własnemu dziecku, podstępne knowania, niepokój wewnętrzny aż do wojny domowej posunięty, wszystko to spadło na niego, a wszystkiemu winna była królowa. Ciężar jej grzechów on musiał na siebie dźwigać.

Nie patrzyłem na to, gdy król na ostatek się z żoną połączywszy, do Krakowa ściągnął na samą tę wigilię godów, bo ja też matce mojej do nóg upadłem. Witano go tam pod bramami tryumfalnemi z radością wielką, powracał bohaterem, nie już naszym, ale całego chrześcijaństwa, a na imię polskie blask jego imienia spadał. Dawna sława rycerska, której pozbyliśmy za Jana Kaźmirza i Michała, wracała nam.

Nawet we Francyi, w pierwszej chwili, wszystko

brzmiało uwielbieniem bohatera, budząc tem większą ku niemu niechęć Ludwika XIV.

Przyznawano wielką zasługę papieżowi, który do wojny zagrzewał, posilkował pieniędzmi; lecz sam Inocenty XI, posyłając Sobieskiemu miecz poświęcony, przyczem się złota Róża dostała królowej, okazywał komu przypisywał pogrom, który złamał potęgę pogan i tamę dalszemu ich posuwaniu się i zdobyciom położył.

Za pozwoleniem króla, o które mi się Szaniawski przez p. Matczyńskiego postarał, przedłużyłem pobyt mój na wsi, z wielkiem matki ukontentowaniem, któraby mnie była chętnie zatrzymała przy sobie, nalegając na to, ażebym się żenił. Lecz wcale gustu do stanu tego nie miałem.

Przez cały ten czas przeciągniętego pobytu w Polonce, albowiem się z gospodarstwem obeznawał, lub końmi zajmował, które lubiłem bardzo, albowiem po sąsiadach jeździł, którzy mnie serdecznie zapraszali i ugaszczali, tak, że często na jeden dzień wyjechawszy, całą niedzielę wyrwać się nie mogłem. Matka już później nauczyła się, wspomagając mnie, posyłać od siebie z żądaniem pilnem powrotu do domu i to mnie wyzwalało.

Czas ten mile spędziwszy między swojemi, odciechnawszy, pokrzepiony, dopiero w lecie roku tego, gdy mi Szaniawski doniósł, że król sam miał wyruszyć ku Kamieńcowi; zerwałem się z tej Kapui, spiesząc do pana, aby mu służyć znowu.

Znalazłem Jana otoczonego świetnym dworem posłów, książąt, kawalerów różnych racyi, którzy się wpraszały, aby pod nim mogli uczyć się rycerskiego rzemiosła. Nie potrafię tego opisać, co to była za świetność, przepych i życie w Jaworowie, pod któremi na czas kryły się potajemne knowania Cesarskich przyjaciół i króla francuzkiego agentów. Zatrulo mi to życie, żem zaraz w początku namacał przewagę królowej we wszystkim, która już nietylko polityką

się zajmowała, ale na wojnę pretendowała towarzyszyć panu i zdobywaniu zamków asystować, aby też na osobę swą zwrócić świata chrześcijańskiego oczy. Przyczem i Aleksandra miała na względzie, aby dzieciak był wspominany zarazem, gdy o Jakóbie umyślnie unikano wzmianki.

Już tedy od tej chwili poczęła się rodzić waśń pomiędzy braćmi, antagonizm, niechęć, która potem rodzinę pozbawiła spadku zasługi ojcowskiej.

Wyprawa nasza tym razem, z muzyką, z namiotami, kredensami, dworem licznym, całym szeregiem karet i kolebek, raczej spacerem i przejażdżką, niż wojennem wystąpieniem nazwać się mogła. Dopiero tam, gdzie się poczęło niebezpieczeństwo, cofnęła się królowa, ojciec jej i cały ten niepotrzebny nam ciężar ciekawych próżniaków.

Często, gdy królowi na zwiady i po język ludzi brakło, ręce wszystkie zajęte były ustawianiem namiotów dla dworu, markiza, grafów, ambasadorów i nakrywaniem stołów, które musiały tak wyglądać po królewsku, jakby w ogrodzie Jaworowskim.

Naprzeciwko Kamieńca silnie się okopawszy i nieprzyjacielowi dokuczywszy, ale nie mogąc go do poddania się przymusić, król pociągnął nad Dniestr pragnąc spotkania i bitwy, ale hetman się sprzeciwił; i powróciliśmy do Żółkwi pod jarzmo ukochanej Marysienki.

Król jako mógł ukrywał nieukontentowanie swe, ale za to jejmość otoczona szczególnie świetnym dworem francuzów, którzy jej nadskakiwali, tryumfowała.

Wśród tej sławy, jaką zdobył, nie było nieszcześliwszego człowieka nad niego, gdyż jejmość władzę swą nad nim despotycznie wywierała... Ustępował dla spokoju, a każde takie ustępstwo moc Maryi Kazimiry powiększało...

Zastęp zazdrosnych i niechętnych powiększał się codzień, a w szeregach ich i Sapiehowie, i Jabłonowski się znajdował. Głośno powstawać na to zaczęto, że

król wszystko poświęcał nadziei ufundowania dynastyi i tronu dziedzicznego z pomocą Austrii... Francuzi tem zrażali do króla... Zarzucano mu, że Kamieńca nie odzyskał dotąd, w ostatku, że sobie przyznawał wszystko, gdy hetmanowie i wojsko krew przelewało nadaremnie...

Na następny sejm, który się burzliwym zapowiadał i ja też towarzyszyłem królowi do Warszawy, po to tylko, abym się gryzł, zżymał i na zuchwałych nadaremnie narzekał...

Patrząc na to, co się działo w Warszawie, na zuchwalstwo Paców, na niewdzięczność Sapiehów, na niepokój, który nie dawał tchnąć królowi, można się było zarzec elekcyi Piasta na zawsze. Ci, cò przeżyli dwa panowania Michała i Jana, słusznie ekskluzyi się domagać na przyszłość postanawiali. Wszyscy ci panowie senatorowie sądzili się królowi równymi, poszanować go nie chcieli, a niczem ich przejednać nie było można...

Widząc to, iż mu jego sławy i laurów zazdrośceno, król dobrowolnie ustąpił dowództwa Jabłonowskiemu, pozostając przy swych ogrodach i ksiązkach, ale hetmanowi się nie powiodło, ludzi nie mógł ściągnąć, do Kamieńca nie przystąpił nawet i impreza speliła na niczem.

Oczewista rzecz, że choć król stał na uboczu i czynnym nie był, Jabłonowski jemu przypisywał to, iż się bezsilnym okazał.

Gniewy tedy i zniechęcenie wzajemne.

Królowa tymczasem z francuzami rozpoczęła układy i króla z sobą ciągnęła. Bethune, ona, Wielopolski, którego do Paryża posłano, pracowali nad przedjednaniem z Francją. Popłoch padł na niewdzięcznych rakuszan, krórzy w niczem Sobieskiemu słowa dotrzymać nie chcieli.

Tego to czasu zjawił się przypadkiem, jakoby w przejeździe do Moskwy, O. Vota, zakonu Jezusowego, który sobie króla serce, zaufanie i miłość po-

zyskał... Rozpoczęło się to od owych rozmów wieczornych, które król lubił i tak ich potrzebował, że do nich w niedostatku innych, nawet swego Janasza, Arona i lada kogo przypuszczał. O. Vota, trzeba mu to przyznać, jakby stworzonym był dla króla. Uczony czyli przynajmniej obeznany ze wszystkim, encyklopedyą był chodzącą. Być może, jakem słyszał twierdzących, że głęboko żadnego przedmiotu nie badał, ale nie było kwestyi, któraby go nieprzygotowanym znalazła. Bawił więc i zajmował króla, bo mu na każde pytanie mógł dać odpowiedź, a przytem oszczędzał go, podnosił rozum i naukę, przypochlebiać się umiał.

Od pierwszego wystąpienia O. Voty na dworze można było przewidzieć i przepowiedzieć, że on tu stanie się niezbędnym...

Nieraz podedrzwiamiśmy się przysłuchiwali tym rozmowom wieczornym, które się czasem i do północy przeciągały. O. Votę było podziwiać w istocie; z taką łatwością i pewnością na wszelkie pytanie umiał znaleźć odpowiedź, tak grzecznie, łagodnie, rozumnie dotykał każdego przedmiotu.

Przytem niezmordowany był, a gdy zamieszkał na dłużej, zbliżka się przypatrując jego sposobowi życia musieliśmy go podziwiać.

Nie miał żadnej słabostki, ani jadło, ani napój, ani błyskotka go żadna nie nęciła, a w towarzystwie najdostojniejszych osób obracał się z taką swobodą, jakby był między swojemi. Jako kapłan, pobożny a nie świętoszek, tolerujący wiele, a nie wychodzący z granic, słowem jednym, był w istocie stworzonym, aby się stać ulubieńcem i powiernikiem znużonego i utraconego pana, jakim król był naówczas, gdy się on zjawił.

Wpływu i przewagi jakie później pozyskał, nie chwalcąc się niemi, nie zdobył odrazu, ale od pierwsze go spotkania się zjednał sobie aplauz nie tylko pański, ale niemal wszystkich u dworu. Umiał się bo-

wiem tak obchodzić z każdym, iż go za serce chwycił. Szczerem był, czy tylko tak wielki kunszt posiadał ujmowania sobie, Bóg wie jeden, lecz czarodziejem go nazwać było można.

Przy tem wszystkiem zazdrości nawet nie obudzał, bo nikt się z nim na równi postawić nie mógł.

Gdy się później okazało, że pan nasz raz wraz go potrzebował, rady zasięgał, objaśnienia od niego żądał, a O. Vota już go nie odstępował, bywało, iż w antykamerze lub w gabinecie, nie rozbierając się legal na ławie albo na sofie i chustką sobie twarz przykrywszy drzemał tak, aby być na każde zawołanie.

Żelazna była albo raczej gibka jak stal natura, której nic zmódrzyć nie mogło.

Rozumie się, że jak tylko postrzeżono co się święci, każdy sobie usiłował O. Votę pozyskać, ale i tego się domysleć było łatwo, że cesarzowi i rakuzkiemu dworowi całkiem był oddany, tak, że niektórzy posądжали, iż go tu umyślnie wybranego przysłano, aby czujnie stał na straży interesów cesarskich.

Rzecz oczywista, że królowa, która o wszystkich, co mogli na męża wywierać wpływ, była zazdrosną, lubić go nie mogła i chętnieby się pozbyła; lecz Vota i ją sobie ująć potrafił, jak się zdaje, obietnicami, że dynastyczne jej żądania z pomocą Cesarza tylko mogą się spełnić.

Króla zaś wodza chrześcijańskiego sławą go ujmując, stawiając na czele przyszłej ligi przeciwko turkom, która ich z Europy wygnać miała, było najpewniejszym sposobem zjednać sobie. Francuzi nie mieli czemu by te łudzące pokusy równoważyć mogli.

Takeśmy doszli do 1686 roku, w którym króla ociężałego, znużonego, jeszcze raz w pole osobą swą ciągnąć na czele wojsk zmuszono.

Niżeli to nastąpiło, zabawiał się pan nasz łowami, nad które może wspanialszych i kosztowniejszych nie miał żaden z panujących.

Służyli mu do tego jeńcy tureccy, pobrani na wojnach, z których wybierano co najzdolniejszych i najzręczniejszych, i było ich dwie kompanie janczarów, zupełnie na wzór tureckich odzianych i uzbrojonych. Dowódcy polscy komenderowali niemi po turecku, bo i sam król i wielu naszych dobrze tym językiem posługiwać się umiało. Dobór janczarów był taki, iż na nich rachować mógł król, jak na najwierniejsze sługi, ale też im się dobrze działo... Gdy z wojskiem szli janczarowie nasi, obowiązkiem ich było przy taborze iść, namioty rozbijać, zwijać i za stanowniczymi przygotowywać każdą naszą stację, aby król przybywając znajdował wszystko w porządku.

Czasu pokoju janczarowie ci do łowów używani byli. W wigilię ich wyprawiano z sieciami na wozach i ze psy, a każdy z janczarów uzbrojony był w siekierę i strzelbę. Łowczy im wskazywał knieję, którą zająć mieli, a tę natychmiast do koła sieciami opasywano, pozostawując jedno wyjście, naprzeciw niego zaś stawiali pisarze z ogary i psami.

Za przybyciem swem król mieścił się u tych wrót, towarzysze jego rozstawiali się w półkole na wyznaczonych stanowiskach, niewiele osób przy nim pozostawując... Puszczano potem psy, które zwierza nagaśniały. Od sieci odpędzali go janczarowie krzykiem i biciem w drzewa... Na każdego zwierza psy były wyznaczone osobne. Król nietylko ten rodzaj łowów, ale i już zarzucony z ptakami, białozorami, sokoły, bardzo lubił i nie wzdragał się ani niedźwiedzi, ani dzików, które często oszczepami i nożami musiano dobijać, gdy zbyt nam psów nakaleczyły.

Po sejmie się zaraz rozpoczęły przygotowania do wyprawy, szczególnie na Litwie, którą sprowadzić było potrzeba z oddalonych leży zimowych. Tymczasem się król zabawiał w Wilanowie, około którego takie miał staranie i tak sobie z tej rezydencji wiele obiecywał, że i Żółkiew i Jaworów zaniedbane nieco zostały, drzewa, krzewy, kwiaty najrzadsze zwożono

teraz do Wilanowa, a król sam własnoręcznie rad sadił, szczepił i zasiewał.

Ale już w końcu Maja potrzeba było zaniechać ogrodnictwa i do obozu się udać, w którym król sam wszystkie pułki oglądał z wielką pociechą, gdyż chorągwie były okryte, a rycerstwo bardzo piękne. Działa też i artylerya nigdy nie były tak liczne i dobrze uposażone, dzięki Kątskiemu i francuzom przy nim będącym. Zaswatał się nam też na tę wyprawę ochotnik markiz de Courtanvaux z bardzo wykwintnym dworem, który tu na niego czekał, bo wprzód brat jego w Polsce przebywał.

Trzech oficerów francuzkich mu towarzyszyło, o których dla tego wzmiankuje, że jeden z nich Danville, wdowie Boncourowej wpadł w oko i ona mu wzajemnie, co mnie od zalecania się oswobodziło, bom nigdy z nikim w zawody się nie puszczał na tem polu.

Znajdą się, którzy lepiej odemnie tę wyprawę opiszą, ja powiem tylko, żeśmy ciągnęli nad Dniestr i ku Bukowinie. Wojsko rzekę przebywało pod Żórawnem i Haliczem; poczem weszliśmy Pokuciem ku Bukowinie.

Nieprzyjaciel się nie okazywał aż do granicy Mołdawskiej i przebycia tych lasów, które się w historii naszej takimi pogromami zapisały. Gdyśmy w polanachreszcie się wydobyli, zastaliśmy pustynię przed sobą, a miasta po drodze noszące ślady wojny i okrutnej ruiny. Na polach zajałowiałych, zboże padaliczne gdzieniegdzie dziko porastało. Oprócz Jass, żywej duszy nigdzieśmy w pochodzie nie spotkali.

Król po opuszczonych zamkach, małe pozostawiał załogi, na rzekach mosty kazał budować, w przewidywaniu odwrotu. Na drzewie nie zbywało i łatwo przychodziło je klecić z kłód obalonych. Rzeki też nie były na teraz do przebycia trudne, bo z nich, dla długiej nie do uwierzenia posuchy, zostały tylko suche po większej części łożyska. Powiadano, że od lat trzech kropla deszczu tu nie spadała; wszystko też na popiół było wysuszone, a pomimo to, rosami żywione

trawy, szczególnie na nizinach, w pas człowiekowi sięgały.

Tylko uchowaj Boże ognia paliły się jak hubka, bo spodem poschłych badylów leżało grubo.

Jeszcześmy z Bukowiny nie wyszli, gdy do króla przybył z oświadczeniem gotowości poddania się Hospodara, powinowaty jego, zapraszając do Jass, aby zapobiedz zbieganiu się mieszkańców. Jednakże wielkim jego obietnicom wierności i poddaństwa wiary nie bardzo dawano, po tylokrotnych zdradach. Na dui trzy od Jass, posłano przodem osiem tysięcy ludzi, aby je zajęły, ale Hospodara, który się tak serdecznie oświadczał, ani rodziny jego już nie zastaliśmy. Wszystko to pierzchnęło, skarby swe zabierając z sobą.

Położenie Jass bardzo piękne, miasto zbudowane porządnie, cerkwie jak zamki obronne, ogrody, winnice do koła, wszystkim po przebyciu lasów i pustkowi rajem się wydały.

Zamek pryncypalny na wzgórzu, mury bardzo stare i nieforemne, ale bardzo mocne. Znaleźliśmy w nim sale i komnaty mozaikami i złoconiami przyozdobione bogato, jakich się nigdy tu spodziewać nie było można.

Lud też dorodny, silny, piękny, mężczyźni rycersko wyglądający, mowa do włoskiej podobna. Wojsku naszemu król jak najsurowsze wydał rozkazy, aby nikomu najmniejszej krzywdy czynić się nie ważono, tak samo, jak wprzód w Węgrzech, dbając o to, ażeby spokojni ludzie, pracowici nie cierpieli niewinnie z powodu wojny. Serce jego zawsze o tem pamiętało.

Myśmy z obozem królewskim o mil sześć od Jass się rozłożyli i król to poselstwo mieszkańców z duchowieństwem i biskupem przyjmował.

Nie chciał król bliżej podchodzić, aby wojsko mieszkańcom mimowoli ciężarem się nie stało, bo utrzymać ciurów szczególnie zawsze trudno. Na prośby jednak biskupa i starszyny, którzy do stolicy zapukali bardzo uprzejmie, nic więcej jak w kilkaset koni pojechał.

Życzyli sobie, aby im dał znać, gdy przybyć ma, aby go przyjęli uroczyście, ale król tego nie chciał i ruszyliśmy niespodzianie, a Prut przebywszy u ujścia do Bachlui, pięknemi łakami dostaliśmy się do Jass na zamek wprost.

W mieście ledwie się spostrzegli, że przybywamy, biskup, duchowieństwo, mnichów moc zebrała się na powitanie; król bardzo łaskawie z niemi rozmawiał i obiad zjadłszy siadł na koń objeżdżając cerkwie, miasto, rynki. Położenie mu się bardzo podobało, bo w istocie piękne jest i wesołe. Ogrody i winnice do koła.

Po powrocie do obozu wysłał król dla załogi półtora tysiąca piechoty i osiemset koni, a resztę cofnął nazad.

Zamiarem było Sobieskiego Wołoszczyznę zająć całą, postępując aż do Dunaju, i osadzając załogi po opuszczonych zamkach i miastach, a bodaj i zimę tu z wojskiem przepędzić.

Król przez swoich tatarów i turków, których miał przy sobie, a ci się do niego, jak do ojca, przywiązywali, miał zawsze najlepsze wiadomości z Konstantynopola i teraz wiedział, że turcy naprzeciw niego gotowali się we czterdzieści tysięcy, więcej wysłać nie mogąc, bo zewsząd byli oskoczeni. Do nich mieli się przyłączyć tatarowie Nogajsey i z Budziaku. Spodziewał się król jedną bitwą szczęśliwą rzucić popłoch na ordy i przepędzić je precz z Bessarabii i sąsiednich krajów.

Pochód nasz się przeciągnął z tego powodu, że krom Prutu wody nie było nigdzie i dla niej musieliśmy się ciągle trzymać po nad brzegami.

Z obozu na tej równinie Cesarskiej, gdzie król oplakiwał zgon dziada swojego i nabożeństwo za jego duszę odprawiać kazał, wojsko szło dalej do Falesi, mało nie dwie niedziele jakom powiedział, dla wody. Zapewniano króla, że zamek znajdzie opuszczony jako inne, ale nie w gorszym stanie od nich; tymczasem

na miejscu się okazało, że tylko gruzy z niego obalone na kupy pozostały. Ani jednego budynku, ani jednej ściany całej nie znaleźliśmy, oprócz kościoła. Ale gdyby nawet i w lepszym stanie zamek się okazał, na nicby się nie zdał, jak twierdzili inżynierowie, bo dokoła był opasany wzgórzami nad nim panującymi, tak, że jak w kotlinę do niego było można strzelać.

Posucha, znużenie wojska, kraj pustylny, skłoniły króla dalej już nie idąc zawrócić, odkładając na rok przyszły dokończenie. Załogi tylko po zamkach miały się wzmocnić. W Galaczu most wystawiono i przeprawiliśmy się za Prut, gdzie paszy i lasu było pod dostatkiem.

Czwartego dnia po rozpoczęciu odwrotu od Falisi, pokazali się nam po raz pierwszy tatarowie i tu dopiero się rozpoczęła taka heca, na którą patrzeć było a dziwować się tylko, a kto tam był nigdy jej nie zapomni. Szli naprzód tatarowie po jednej stronie rzeki, my z drugiej, krok w krok za nami, ale prawie nas nie śmiejąc zaczepiać, tylko hałaśliwemi krzykami i wrzaski. Potem przeprawili się na naszą stronę trzymając zdaleka.

Miedzy naszym kozactwem a ciurami i niemi poczęła się nieustanna szermierka. Nie upłynęło godzin kilka żebyśmy języka nie dostawali.

Zasadzano się w wąwozach po nad rzeką, na tatarów, po zaroślach, po dołach i chwymano ich ciągle.

Tatarowie, żeby nam utrudnić pochód, zapalali suche trawy, które płonęły jak słoma. Wiatr niósł zwęglone badyle, popioły, czarny proch, a że żołnierz był dla okrutnego gorąca ciągle w potach, a sadze te na nas osiadały, wyglądali wszyscy jak murzyni. Króla nie było można poznać, ale śmiał się spluwając. Co było robić, królewicz Jakób, który nam towarzyszył wraz z garstką francuzów i kozakami puszczał się bardzo zuchwale na tatarów, tak, że pokilkakroć był w srogim niebezpieczeństwie, ale mężnie sobie poczynał.

Dalej już i tureckie wojsko i obozy z działami wystąpiły, ale ciągle się trzymali po drugiej stracie ręki, do której dostać się dla napojenia koni było trudno bez strzelania i krwi przelewu. W pustyni tej, którąśmy przebywali, krom ogórków i kawonów, żadnego posilku nie mieliśmy, ale z tych tylko biegunka i śmiertelność rosła.

Pomimo trudności pochodu i ciągłej czujności dniem i nocą, pożarów tych, skwaru okrutnego, niebezpieczeństwa, wojsko było takim duchem ożywione, iż niemal za zabawkę sobie poczytywano te harce z turkami, w których kozacy się szczególnie odznacжали. W stepach tych ciągle ogromne mogiły odwieczne, groby jakieś spotykaliśmy, z których wierzchołka można było cokolwiek dalej okiem sięgnąć.

Ledwieśmy którą z tych mogił opatrzywszy odeszli, tatarzy za nami idący natychmiast na nią się wdrapywali.

Młodzież z tego korzystała, aby im sztukę splatać i zakopywała bomby z długim lontem tłącym się, pokryte darnią. Tatarowie się zbiegali na wierzchołek mogiły i w powietrze ich wysadzało. Tak samo zdechłe konie, na które lakomi byli, nasi im faszzerowali bombami i ginęło ich tak różnemi sposobami, w zasadzkach bardzo wielu...

Król się z syna cieszył, iż śmiało i ochotnie codzien dokazywał tak, że niewolnika mu przyprowadzał, ale obawiając się o niego straż mu dodawać musiał, bo był kilka razy tak osaczonym, iż ledwie go odbito...

Z tatarami tysiäcznemi sposoby igraszki sobie krwawe czyniono, na mogiłach na ścierwie końskiem, na starych połamanych wozach, które gratami napelniano... cheiwi tak byli lada mizernej zdobyczy, że się ciągle na to brać dawali.

Dziś mi już spamiętać trudno wszystkich tych utarczek, które dzień w dzień po sobie następowały i, co prawda, nie dawały nam spoczynku. Strat z naszej strony nie było znacznych, ale wojsko i przodem i czuwaniem wielce było zmordowane. Parę razy turecy nam

zaskoczywszy drogę z działami na zakrętach rzeki niby do boju wyzywali, ale nasze działa bardzo prędko ich zmuszały poprzestać ognia i ustępować. Nasza lekka jazda też kilkakrotnie się przedostała na tamtą stronę i wpadła po noey na ich obozowiska, znaczną rzeź w nich sprawując i poploch roznosząc, ale z tego wszystkiego skutku nie było żadnego ani korzyści.

Król fatygi niezmiernie tej wyprawy znosił tak szczęśliwie, że podziw było na niego patrzeć. We wszystkich tych niewygodach, trosce o wojsko, głodzie i skwarze, nigdy go takim nie widział jak nieraz w Żółkwi lub Jaworowie, gdy mu jejmość, siejąca niezgody, kłótniwa, gniewna życie zatruwała.

Takeśmy znówu przyciągnęli na owe pamiętne pola pod Cecorą i tu postanowiono tegoroczną wyprawę dokończyć, wzmacniając tylko załogę w Jassach piechotą, działami, kulami i prochem.

Królewicz Jakób, kilku francuzów i ja z niemi dojechalśmy do monumentu i pyramidy wzniesionej na pamiątkę poległego tu z synem Żółkiewskiego, gdzie dotąd zachowany napis łaciński czytaliśmy.

Wszędzie po drodze w zamkach król załogi po-umieszczał, mury naprawiać i okopy sypać nowe nakazał. Można więc było pocieszać się tem, że choć żadnego zrzeczniejszego nie odniósł zwycięstwa, przecież opustoszały kawał kraju na nowo do życia przywrócił i handlowi, który tą drogą iść był zwykł dawniej, na nowo ją otworzył i zabezpieczył...

Rozpisałem się nieco o tem na com patrzył, mogę powiedzieć z królewskiego namiotu, z którego mi się cała ta wyprawa nie tak skwapliwą wydawała jak ją później z innych ust opisywaną słyszałem. Trudno dziś wszystko zapamiętać. Nie jeden raz sprzeciwiano się królowi, do odwrotu naglono, narzekano, wojsko się skarżyło, przecież strat nie mieliśmy znacznych, a król sądził, że zajęciem Wołoszczyzny cel na teraz osiągnął.

Ja ze dworem naszym i panem do Żółkwi powró-

cilem, gdzie nieraz służba cięższą mi była niż w polu... W Żółkwi mieliśmy wypoczywać, ale nas tu już poselstwo moskiewskie oczekiwało, zjazd senatorów i szlachty ogromny i powszednie nasze kłopoty, od których król nigdy wolnym nie był.

Trzeba na to było patrzeć a słuchać. Zabiegano o każdy wakans tak zawczasu, że jeszcze nie ostygł, albo i nie umarł ten co urząd albo Starostwo trzymał, a już dziesięciu się ze swemi zasługami dla ojczyzny, królowi naprzykrzało. Łapano go w ogrodzie, na polowaniu, w stajni, wkradano się do antykamery, przekupywano ludzi, zyskiwano O. Votę, Junosza, Bet-sala, Arona, Wardenkiego. Król w końcu znużony ulegał.

Ledwie słowo dał, gdy królowa wpadła z zawiadomieniem, że ona już komu innemu wakans przyrzekała. Więc wojna, rzucanie drzwiami, krzyki, mdłości, wymówki, symulowana choroba, króla ani na oczy.

Sobieski zaś gdy raz komu słowo dał, święte u niego było. Więc co jego proszono, on się wypraszać musiał a zaklinać, aby go dla miłości Bożej zwolniono, bo mu marnie ginąć przyjdzie.

Mateczyński, O. Vota, albo kto z bliższych musiał w sukurs przychodzić, aby inaczej uspokoić petenta a króla wyswobodzić z męczarni.

Trafiało się to nie raz w miesiące, ale niemal każdego dnia. Królowa od wakansów brała jawnie pieniądze, czasem je i dla króla warowała.

Całą pociechą było staremu, gdy wieczorem, dzień ciężki przebolawszy, na rozmowę około siebie zgromadził duchownych i światłych ludzi, najczęściej cudzoziemców. Tu rozprawiając o nieśmiertelności duszy, o końcu człowieka, o religii, obyczajach, o nowych wynalazkach, których był nadzwyczaj ciekawym i chciwym, zapominał co przecierpiał, aby nazajutrz znowu pod toż samo jarzmo powrócić.

Chociaż ciągle mając go na oczach, nam domownikom mniej się może dawało czuć powolne starze-

nie się i ociężałość, wszelako i my nawet widzieliśmy go coraz częściej cierpiącym.

Troska o rodzinę, niesnaski z żoną, polityczne zabiegi, które nieustannie go otaczały w ostatku gotująca się walka między synami, którą królowa podsycała swą niechęcią dla Jakóba, a pieśzczołami Aleksandra i Konstantego, nawet tak świętej cierpliwości człowieka w końcu złamać musiały, tracił wiarę w ludzi i ochotę do życia, czuł, że swej woli nie mogąc mieć teraz, po zgonie spełnienia jej spodziewać się nie może...

Bolał więc i drętwiał tak w oczach naszych powoli.

Bywało też żem sypiając z Morawcem obok niego, pierwszego przechodzącego widział gdy się obudził. Nogi mu już często brzęknąć poczynają, owa blizna jeszcze pod Beresteczkiem otrzymanej rany przypominała się, gdziekolwiek dawniej stłuczenia miał na ciele, teraz się odzywały łamaniem w kościach. Naprzód więc z francuzem sługą razem i felczerem musiał mieć do czynienia. Potem dopiero z odzieżą myśmy przystępowali. Naówczas często rozmowami nas zabawiał i wypytywał. Pomnę raz w Żółkwi, sam byłem przy nim, bo Morawca do ogrodu posłał po owoce.

— Cóż ty, stary—zapytał mnie śmiejąc się — nie myślisz się żenić! a jużby ci czas.

— Ochoty nie mam, rzekłem.

— O! o! tak rozumny jesteś? odparł, a też Boncrouwa?

— Właśnie mi ta do małżeństwa dysgust taki sprawia—mówilem śmiało. Piękność jej po dziś dzień mnie czaruje, ale co potem, kiedy serca niema, a płocha nad wyraz.

— Ale nie wszystkie się w nią wdały—rzekł król mógłbyś sobie znaleźć inną.

— N. panie, odezwałem się śmiało—do innej serca nie mam, a ta którą wybrałem serca nie warta. Nie pozostaje mi więc ino.

— Cóż! chcesz kapucynem zostać? — rozśmiał się. Wiesz, że dla tych moich najulubieńszych dzieci Św. Franciszka budują klasztor w Warszawie. Chcesz tam być pierwszym brodatym mnichem polskim?.. he?

— N. Panie — na zakonnika ja się też nie czuję powołanym. Brata już mam u OO. Jezuitów...

— Wiem.

— Dosyć będzie jednego—dodałem...

— Wielki rozum masz—rzekł po namyśle Sobieski, ale przecież końca nie widzę. Starym kawalerem zostać nie dobra rzecz. Wprawdzie Polanowscy przez to nie wygasną, bo was dosyć jest, ale co na starość sam robić będziesz?

— Bóg wie, czy ja jej dożyję—N. Panie—odrzekłem.

Na tem się skończyło, ale król mnie zawsze potem rozumnym zwał i tłumaczył to wszystkiem tem, że m kochając się w płochej kobiecie, namiętności nie uległ.

— Niewola namiętność—powtarzał—a kto się jej raz da obuzdać, już go nie puści aż do zgonu.

Mówił to sam o sobie... chociaż, mnie się zdawało, że wielka ta miłość dla wszystkich śliczności Marysienki bardzo już była osłabła, królowa hoża, była jeszcze ale po pięćdziesięciu latach, przy największem staraniu o zachowanie świeżości i piękności, kosmetykach, smarowaniach, bielidłach i barwionkach... młodości przywrócić nie było sposobu...

Królowi na Rusi było jakoś najlepiej i najswobodniej, czuł się tu w domu, i rad przesiadywał, ale i to go tu trzymało, że z Kamieńca oczów nie spuszczał. Nic już więcej nie pragnął nad to, aby go mógł odzyskać.

Królowa zaś, choć nie z przywiązania ale z interesu rada go była do Warszawy i Wilanowa wyprawić, zapobiegając temu, żeby się już na nowe wyprawy nie puszczał. Obawiała się bowiem zgonu jego, wiedząc jakie on mógł i musiał sprowadzić zamieszanie.

Szło jej o to, aby Jakóba jako narodzonego za

Marszałkowstwa Sobieskiego od tronu wyłączyć, a Aleksandra w miejsce jego postawić, który był synem królewskim, o czem król słuchać nie chciał. Kochał on wszystkie swe dzieci równo, ale dla Jakóba miał najwięcej słabości, bo go widział pokrzywdzonym..

Królowa się nie kryła z tem, że go nie cierpiała, a i on też w końcu ostygł dla matki, z Aleksandrem prawie się nie spotykał, tylko gdy musieli oba się stawić na pokojach.

Myśmy wypocząwszy tego roku w Żółkwi, pojechali do Lwowa, gdzie przez kilka tygodni król wypoczywał, ciągle tłumem szlachty i panów otoczony.

Następnego roku, król już sam nie wychodził w pole, wyprawił królewicza Jakóba z Jabłonowskim i Sapiehą, ale nie nie sprawili, tyle tylko, że turków zaalarmowali. Sejm króla znowu struł, i zszedł na niczem, dzięki francuzkim zabiegom.

Litwa z Polską w czasie tym niemal do wojny przychodziła, tak, że dnia nie mieliśmy spokojnego, królowa, hetman i cała partya francuzka żgała przeciwko nieszczęśliwemu panu, tak, że myśmy musieli strzedz aby niepoczeiwych paskwilów i wizerunków, w których był na pośmiewisko wystawionym, nie znajdował na wrotach i drzwiach przybitych...

Malowano go bezecnie z ojcem Vota i Jezuitami odprawującym procesyą sromotną, a znajdowali się słudzy co po pokojach rzucali te szkarady... Serce boli pisać o tem, a pióro się wzdraga.

Nie jeden raz ale niezliczoną ilość razy znajdowałem go i słuchałem lamentującego przed biskupem Żaluskim nad przyszłością Polski.

Mógł sobie wprzód król pochlebiać, że Jakubowi tron zapewni, ale też we własnej matce znajdował nieprzyjaciela, a dwór rakuzki też na monarchią dzieńczą w Polsce dozwolić nie chciał...

O sejmach pisać niechęć i niemogę, znajdują się ich diaryusze mniej więcej wierne, na srom nasz i pohańbienie. Przeciwno intrygom królowej, rzucającej

się namiętnie na jedną lub drugą stronę, przeciwko fakcyom panów, współzawodnictwom prywaty... bohaterstwo Jana, ani wielki umysł jego, ani serce szlachetne nic nie mogło...

Pod koniec panowania wielki ów gmach starej rzeczpospolitej, która się zwycięztwami orężem Jana podniosła i uratować mogła, zaczął grozić ruiną. Prawda, że wpływy obcych mocarstw się do niej wielce przyczyniły, że na tej naszej krwawej szachownicy rakuski dwór i francuzki walczyły z sobą o lepszą, ale bez naszego rozprężenia, nieładu i prywaty nigdy by do tej ostateczności nie doszło.

Mnie tylko miłość dla króla trzymała przy nim, bo mi tu wszystko srodze zbrzydło.

Wcisnąwszy się do izby sejmowej, nieraz człek niewiedział, czy płakać, czy siekać i rąbać zuchwałych warcholów. W oczy nieszczęśliwemu panu rzucono przezwiska tyrana, despoty, ciemieżyciela, dążącego do zagłady swobód. Wołano aby przestał rządzić, a gdy on sam już gotów był złożyć koronę, niedopuszczano...

Pamiętam tę poruszającą scenę, gdy wytrwawszy obelżywości, nawoływanie, szyderstwa, wstał prawie ze łzami w oczach i przemówił ze łkaniem w głosie.

— Bóg mi poszczęścił w bitwach, mówił—ale ojczyzny ocalić nie zdołam... Pozostaje mi zdać zbawienie jej nie na los, bom chrześcijanin i wierzę w opatrność Bożą, ale na to co Bóg przeznaczył. Nie wierzę w wieszczby żadne, w wyrocznie i sny prorocze. Wiara mnie uczy, że wyroki Bożkie spełnić się muszą. Potęga i sprawiedliwość tego, który rządzi światem, losy narodów naznacza, tam gdzie za żywota panującego wszystko wolno, gdzie ołtarz przeciw ołtarza stawia ludzie, gdzie cudzych bogów sobie szukają tam pomsta Najwyższego niedaleka.

Panowie Senatorowie, w obliczu Boga świata, rzeczypospolitej całej, świadczą o mojem poszanowaniu

swobód naszych, przysięgam zachowanie ich takimi jakim je miał powierzone.

Nie nie potrafi zachwiać moją wiernością dla tego świętego depozytu, nawet niewdzięczność, ten potwór natury. Gotowem do ostatka życie poświęcić na ołtarzu religii i Rzeczypospolitej, spodziewając się Bożego miłosierdzia, którego poświęcającym się dla narodu, nigdy łaska pana nie odmawiała...

Dopiero mowa ta poruszyła serca, kardynał Radziejowski przyszedł do tronu, protestując w imie Rzeczypospolitej, że wiary panu swemu dodawać miała... Uniosła się cała izba żalością wielką i wzruszeniem, głosowali jako jeden, ale trwało to właśnie, ile czasu zabrało wyjście z sali.. Ci co się w niej popłakali, śmieli się już wyszedłszy, bo u nas gorączki dostać zawsze równie bywało łatwo jak jej pozbyć.

Po tym sejmie, na następnym zaraz fakeye, wystąpiły z taką siłą jak przedtem, królowę mając na czele. Rzeczby się zdawać mogła nie do wiary, gdyby nie była, niestety, aż do zbytku sprawdzoną i jawną. Nie odkrywała się królowa, że swem współnictwem w intrygach Jabłonowskiego, Opalińskiego, Lubomirskiego, Rafała Leszczyńskiego, ale król ich się mógł domyślać, albo i zawiadomionym był przez Mateczyńskiego i biskupa Załuskiego...

Weszło we zwyczaj króla malować na różny sposób wykrzywiającego, który choć podpisanym nie był, po otyłości i wąsach każdy go rozpoznał łatwo.

Dawniej tedy w procesyi idącego z O. Votą a teraz z okazji układów z holendrami, konterfektowano go jako kupca, któremu żydzi pomagali ładować kieszzenie.

Niepraktykowane to dotąd u nas zuchwalstwo, poszanowania dla majestatu nie mogło powiększyć, a że uchodziło bezkarnie, poczynano sobie z królem jak z bezbronną ofiarą. Biskup Chełmiński Opaliński, w oczy królowi rzucił na sądach sejmowych: Bądź sprawiedliwym lub przestań panować. Nie uszło to

wprawdzie całkiem płazem biskupowi, bo się na niego oburzono, i kasztelan Sandomirski zawołał, że Polska choruje na gorączkę, a nie będzie zdrową aż jej krwi upuszczą...

Opaliński uląkszy się tej pogroźki zemknął. Złapano go, przyprowadzono i na klęczkach musiał króla przeproszać, który wszystko i zawsze przebaczał. Nie było przykładu ażeby na kogokolwiek nastawał, ale tą dobrocią więcej ośmielał niż rozbrajał.

Matczyński Wojewoda Belzki, który grozą był przejęty, krzyknął naówczas, że wszystkich biskupów warto było do kupy zebrawszy, do Rzymu odprawić... Obrażony Załuski na to:

— Zapominasz, panie Wojewodo, że my nim zostaliśmy biskupami, byliśmy szlachtą i zasiadamy tu takim prawem jako i wy.

Dopiero ich król łagodnie się wdawszy pogodził. Sejm zszedł na klótniach, bo i o dobra Radziwiłłowskie na Litwie, które konfiskować chciano dla Jakóba królewicza, zatarg był z Sapiehami. Zerwał Sejm jeden, potem drugi warchoł, bo nieprzyjaciele królewscy postanowili go niedopuszczyć, poszli za nim w pogoń, aż do pałacu Hetmana litewskiego, do którego się schronił napróżno. Ten w oknie lulkę kurząc, na zapytanie o zbiega, szydersko im odpowiedział, że pan Bóg mu straży nad tym bratem nie powierzył.

Nadeszła noc, tumult w izbie niesłychany, litwin biskupowi po omacku policzek daje, szable dobywają, zgroza. Brandeburski minister z kieszeni list gubi, w którym stoi, że Sapiehowie wzięli sześćdziesiąt tysięcy, aby Sejm zerwać, i nie im za to. Powracają bezkarnie do domów, zostawując króla i Rzeczpospolitą na lodzie.

Do wszystkich tych zgryzot przybyła sprawa Łyszczyńskiego, oskarżonego o to, że w Boga nie wierzył, którego na ciężką śmierć osadzono, czego ani Ojciec Św. Innocenty XI nie pochwalił, ani król bez utrapienia i boleści nie mógł przenieść, bo się zdawna

w Polsce nie trafiło, aby tak okrutnie bezbożnych karano.

Drudzy zaś nawet Łyszczyńskiego niewiernym głosili.

Przywiedziony do ostatka polecił już Sobieski kanclerzowi akt abdykacyi przygotować, gdy — królowa przestraszona, niepewna przyszłości, zapobiegła aby nie przyszedł do skutku.

Ja w tych czasach naprzemiany, to przy królu, to w domu przesiadywałem, gdyż matka moja najukochańsza, coraz słabszą się czuła i chociaż gospodarstwa z rąk nie puszczała, już mu nie mogła podolać sama, i zięcia na pomoc wzywała, a do mnie nakazywała abym nadaremnie przy dworze nie wisiał. Król wistocie, chociaż mi się zdawna obiecywał, nic dotąd prawie dać nie mógł, bo wszystkie do rozdania wakanse, bodaj najmniejsze, zawczasu królowa przyrzekała, tak że jam zawsze przybywał po harapie.

Król naostatek, mimo francuzkich intryg Jakóba, o którego przyszłość się obawiał, zdołał ożenić po myśli z księżną Neuburgską. Bethune się wściekał, dużo pono pieniędzy wysypał, ale zapobiedz temu nie potrafił.

Wszyscyśmy to naprzód przewidywać mogli, iż królowa JMość synowej swej pokoju nie da i życie jej zatruje...

Tak się też stało. Jako Jakóba żona, młoda, piękna i z rodu wysokiego, podobać się nie mogła i musiała być na różne sposoby prześladowaną. Aleksander ledwie dorastający, stawał przy matce przeciwko bratu, a król? Król powoli, nie mogąc niczemu już zapobiedz, w oczach nam drętwiał i stawał się obojętnym na wszystko. Nie poruszały go już ani paskiwilusz, ani konterfekty złośliwe, ani głosy sejmowe, ani zamkowe waśnie, które zwykle od tego się poczynaly, że ktoś ze sług królowej zadzierał się z naszem, a od czeladzi szła waśń do góry i kończyła się aż między królową a mężem. Jan nasz dla najukochań-

szej Marysienki w słowach był zawsze dawnym owym Celadonem i Orondatem, ale czasem się to wydawało ironią gorzką, gdy te imiona zapomniane na usta wróciły... *Post tot discrimina* miłość ta czysto cielesna, musiała ostygnać... a innej dla królowej mieć i zachować nie było można. Jawnem było i dla króla, że Marya Kazimira gotową była ślubować Jabłonowskiemu gdyby go na tron wyniesiono... że więcej się troszczyła o skarby zachowywane częścią w Żółkwi, częścią w Warszawie i Gdańsku, niż o serce mężowskie.

Przychodziło do tego, że gdy nie domagał, przez Załuskiego, przez kogo tylko zdołała, starała się wrzekomo dla spokoju i zgody nakłonić króla, aby ostatnią wolę swą spisać kazał. Przy tem spodziewała się natarczywością dla siebie naprzód, potem dla Aleksandra wyrobić znaczniejszą część spadku.

Ale tu się okazało, jak temu naszemu panu serce już dla niej, a nawet dla dzieci krom Jakóba ostygło...

Nalegania więc, napomknienia, rozmaite środki jakich jejmość zażywała, aby króla skłonić do uczynienia testamentu, rozbiły się o tę jego ostygłość, odrętwienie jakieś i obojętność na wszystko.

Bywało tak, że gdy Załęski biskup kijowski do niego przychodził, i zawiązywała się między niemi naówczas długa rozmowa, drzwi między sypialnią a gabinetem, w którym zawsze jeden z nas blisko progu siadywał, stały otworem. Łacno więc było słyszeć wszystko co mówili. Dziś mi to powtórzyć trudno, ale sens ogólny tych rozmów przytomnym mi jest, jakbym ich jeszcze słuchał.

Biskup oczywiście jako kapłan duchowny, wszystko tłumaczył i do woli Bożej odnosił, król też nie inaczej mniemał, ale wpadał zaraz w ogólne uwagi nad kondycją ludzką, nad niestałością rzeczy ludzkich, nad płochością serc i przewrotnością.

Ciężko pod ostatek życia na los swój narzekał,

nie zdradzając się z tem co myślał, iż wszystkiego przyczyną była królowa i namiętność jego dla niej.

— Pan Bóg mi, jak na igraszkę, mawiał do biskupa dał wszystko czego tylko człowiek zapragnąć może, zwycięstwa nad nieprzyjaciół, sławę szeroką u ludzi, koronę na skronie, purpurę na ramiona, bogactwa... a no szczęścia nie zaznałem nigdy.

W każdej rozkoszy robak siedział, i zatruchiwał ją.

Ludziom się mogłem wydawać tryumfATOREM, gdy najbiedniejszym był w istocie.

Ani to moje męczeństwo się komu na co przydało, ani dzieciom, ani Marysieńce, ani Rzeczpospolitej.

Srogim nie umiałem być, bom tego w naturze nie miał, a dobrociam sobie nikogo nie pozyskał. Z przyjaciół do ostatka mało mi kto został wiernym. Słowem wszędzie i zawsze doznawałem zawodu.

Czasami śmiejąc się do biskupa kijowskiego, upewniał, że najwdzięczniejsze bywały mu drzewka które sadził, dające owoce i kwiaty.

— Z nich jednych miałem pociechę—mawiał, ale co potem gdy pomyśle, że te sady i ulice, którem ja starannie powysadzał w Olesku, w Żółkwi, w Jaworowie, Wilanowie, gdy ja oczy zamknę, los spotka wszystkich dzieł ludzkich. Podziczeje to, albo kto powycina—za sto lat śladu ich nie będzie...

Biskup Załuski, który króla znał, kochał go i wiedział jak z nim poczynać, bardzo zrećcznie do testamentu go nakłaniał, bo widział też iż był potrzebnym, aby zapobiedz nieuchronnym zatargom między rodzeństwem, Jakóbem i matką a Aleksandrem... Gdy tylko do tego przychodziło, król ostygł.

— Mój ojciec, powtarzał, jam nigdy za żywota nie potrafił woli mojej przeprowadzić, i posłuch dla niej wymódl lub poszanowanie, a wy sądzicie, że mnie z za grobu szanować będą?

I zaraz poczynał o czem innem.

Królowa, gdy Załuski był na rozmowie, podsłuchi-

wała, zżymała się, ale sama nie śmiała nalegać, bo już nie miała dawnej władzy nad nim.

W 1691 król na wyprawę idąc, choć mu odradzano, dla ran które się odnawiały i dla tuszy a ciężkości, nie mógł się oprzeć temu, aby z sobą na prośby królowej, nie wziąć Aleksandra. Jakóbowi to było solą w oku... Począł krzyczeć i narzekać, iż to jest spisek przeciwko niemu, że Aleksandrowi chcą dać pierwszeństwo.

O mało nie przyszło do wielkiego zgorszenia i zerwania wczesnego... bo Jakób manifest chciał uczynić przeciwko ojcu i bratu, a sam się z Polski wynosić.

Król się znalazł w wielkiem utrapieniu, bo go postępowanie pierworodnego oburzyło, na posponowanie Aleksandra pozwolić nie mógł, widział w tem niesprawiedliwość.

O włos, że do zerwania z Jakóbem nie przyszło, gdyby w porę go nie upamiętano, iż sam na zgubę idzie.

Musiał ojca na klęczkach przeprosić i obaj bracia poszli razem na wyprawę, która króla goryczą nakarmiła, bo ciągle baczyć musiał, aby się ocierając o siebie, nie wybuchnęli tą nienawiścią jaką mieli ku sobie.

Jakóba zuchwalszego trzeba było ciągle mitygować, bo chodził zwarzony i zły ciągle, gdy Aleksander natomiast serca sobie zyskiwać się starał nadzwyczajną uprzejmością dla rycerstwa, łagodnością i szcudrobliwością. Słyszałem króla mówiącego, że mu ta wojna cięższa była niż z muzułmanami.

Jakóba podszczuwano, a i on też sam gwałtowniejszego był temperamentu i na miłość ojca więcej liczył, Aleksander zaś zwyciężywszy i ojca i nam wszystkim tak był akomodującym się, iż go choć do rany było przyłożyć.

Była to ostatnia króla wyprawa, co on sam pewnie przewidywał, chociaż nigdy nie mówił o tem. Jabło-

nowski i Sapieha odtąd hetmanić mieli... Obrzydził świat, ludzie i dwór królowi, a od tumultu uciekał i krył się po ogrodach, szukając samotności. Często na niego Senatorowie napróżno oczekiwali, gdy on z Łukaszem ogrodnikiem, w płóciennym kitlu siedząc na ławie, godzinami się zabawiał rozmową.

Gdym mu nieraz przybiegł dać znać, że któryś z Wojewodów lub Kasztelanów czekał, odpowiadał z przekąsem:

— Zamelduj go do królowej Jejmości, albo:

— Powiedz Matczyńskiemu niech go zabawia—ja czasu nie mam...

Uśmiechał się złośliwie i ręką dawał znać, aby mu nie dokuczano.

Wychodził, prawda, potem do swych gości, z dosyć pogodnem obliczem, ale jak skoro który z nich tknął spraw publicznych, natychmiast rozmowę odwracał, albo o owocach, o ogrodzie lub o czemś powszedniem zagajając, tak, że gość raz albo dwa poprobawwszy, musiał zamilczeć i odchodził z niczem.

Królowa natomiast zabawiała się, przyjmowała, otaczała dworem i gośćmi, szczególnie cudzoziemcami, z wielkim przepychem i okazałością ich przyjmując. Ale najczęściej się tak składało, że król JMość zdrowiem się od tych uroczystości wymawiał i pozostawał w szczupłym kółku przyjaciół na osobności, lub na chwilkę się ukazawszy, znikał, rozbierał się i wygodnie spoczywał, nie mieszając do towarzystwa.

Ojciec królowej stary d'Arquien, pycha uosobniona, który we Francyi niemogąc grać roli jaką chciał, tu sobie stanowisko przywłaszczał, próżności jego dogadzające, przydawał zwykle na pokojach.

Król go oczywiście szanować musiał, ale rad omijał, bo mu rodzina cała dosyć już dojadła... królowa zaś z jednym tym ojcem była w zgodzie, bo z siostrami i szwagrami często rozbrat bywał i na dworze się nie pokazywali. Łaskę u niej zdobyć było łatwiej niż ją utrzymać, gdyż ludźmi pomiatała, służyć sobie

kazała, zaprzęgała ich w niewolę taką, że rzadko kto mógł wytrzymać. Na dworze wiekuiście, można powiedzieć, panowała wojna, bo bez niej zgryźliwa królowa nie mogła wytrzymać.

O sobie pod te czasy niewiele mam do zapisania. Boncourowa, która się za mąż napróżno wydać chciała, ciągle przy dworze królowej, jak wiele innych wisiała tam się trzymając, że zawsze coś miała do doniesienia, a gdy plotki brakło, łącno ją z niczego tworzyła. Polowała na wielu, a powracała do mnie, snadź rachując na pewno, że gdy się nic lepszego nie znajdzie, weźmie kiedy zechce. Na tem się wszelako omyliła. Miałem dla niej zakamieniałą pasyę, ale żenić się nie mogłem. Na wsiby ona nie wyżyła, a jam się nie wyrzekał tego, by życie zakończyć starym obyczajem w swem gnieździe. Już mi też powoli starzającemu wszelka myśl ożenienia odeszła; Boncourowa ciągle goniąc za małżeństwem, w końcu zdesperowana postanowiła się rozprawić ze mną stanowczo. Zaprosiła mnie więc raz do siebie na ową kawę, która podówczas po wiedeńskiej naszej wyprawie, w używanie wchodziła, choć nie wszyscy w niej gustowali.

Byłem dla niej zawsze grzecznym i nadskakującym, bo to już w obyczaj weszło. Siedliśmy naprzód przeciw sobie baraszkując, aż nagle Boncourowa zagadnęła:

— No, a co, panie Adamie, dosyć już długo konkury wasze trwają, trzebaby im koniec uczynić jakiś. Mnie też za mąż wyjść pora... Myślisz się Wmość żenić ze mną?

Ani postrzał w piersi nie byłby mnie raził mocniej nad to pytanie... Musiałem milczeć chwilę.

— Piękna pani — rzekłem — gdybym się ja ważył z nią żenić, oddawnabym się z tem oświadczył...

— A więc? — przerwała brwi marszcząc groźnie — WPan mi dajesz odkosza...

— Uchowaj Boże — odparłem — bo ja to za żart z jej strony uważam. Żenić się ja niemogę.

— A to dlaczego?—spytała opryskliwie.

— Bom ja wieśniak i prędzej czy później na wieś mi do mojej nbogiej chaty szlacheckiej powrócić przyjdzie, a pani tam wytrwaćby było niepodobieństwem...

— Tak waćpan sądzisz?—odparła szydersko.

— Jestem tego pewnym — rzekłem — dwojeby nas nieszczęśliwych było; wpani w tym świecie, do którego nie jesteś nawykłą, a ja patrząc na nią i tej nieszczęśliwości czując się przyczyną.

Zagryzła usta i pokręciła główką.

— Jakbyś to wmość dla mnie niemógł do miasta się przenieść, wioskę zadzierżawić i tu sobie stworzyć świat po naszej myśli.

— Niemożliwa to jest rzecz — odezwałem się.

Rozmowa na tem się urwała.

Musiała zaraz w żart obrócić swą propozycję, oświadczając, że mnie tylko próbować chciała. Od tego dnia rozbrat wiekuisty pomiędzy nami się począł i zyskałem w niej nieprzyjaciółkę skuteczną, zabiegającą na wszelki sposób, aby mi zaszkodzić mogła. U królowej więc naprzód postarała się, aby mnie, jako jej nieprzyjaciela, całkiem oddanego królewiczowi Jakóbowi odmałować. Zrobiła mnie donosicielem, króla podszechuwającym i wielce szkodliwym interesom jejmości.

Postrzegłem to rychło, bo królowa, co była dla mnie obojętną, poczęła się okazywać pogardliwą i widocznie mi niechętną.

Król po kilku dniach zrana mnie spytał.

— Cóż to waszmość królowej przewinił i naraził się.

— Jako żywo, N. Panie, nie uchybiłem w niczem, ani to było w myśli mojej.

— Nie poczuwasz się, ale coś jest? — zapytał. — Zrób-no rachunek sumienia. Ja ci mówię, musiałeś coś zawinić.

— Bóg widzi, że się do tego przyznać nie mogę—

odezwałem się — ale *originem* tej niełaski łatwo się domyslałem.

— Cóż to jest? — pytał dalej.

— Boncourouwa na mnie zagniewana—odparłem— i stara się mi tem dokuczyć.

— Zawsze ta dawna miłość! — rozśmiał się król.

— N. Panie—ciągnąłem dalej—cała rzecz w tem, iż naostatek sprzykrzyła sobie stan wdowi i chciała się wydać za mnie, a jam podziękował.

— Masz rozum — zamruczał król.

— Prosiłbym tylko N. Pana—dodałem—aby temu co przeciwko mnie będzie donoszonym, nie dawał wiary.

— Bądź spokojny. Znam tę starą intrygantkę.

Na tem się, dzięki Bogu, skończyło.

Zaraz potem musiałem pobieżeć do domu, bo mi o ciężkiej chorobie matki siostra znać dała.

Biegłem, ani siebie, ani konia nie szczędząc, na gwałt, bo miałem aprehensyę wielką, czy ją przy życiu zastanę; siostra mi bowiem donosiła, iż ostatnie sakramenta z rąk Michała przyjęła.

Z bijącym i ściśnionem sercem, dobiełem się nareszcie do domu, nie śmiejąc pytać, gdy mnie w progu siostra spotkała.

— Chwalić Boga—odezwała się, ściskając mnie—matka żyje jeszcze, a ciągle się o ciebie dopytywała i dopytuje.

Przed chwilą z jej ust słyszałam, iż ciebie tylko co nie widać.

Chodź.

Wprost jak stałem szedłem z nią do matki. Siedziała biedna, wymizerowana i blada w łóżku, ostawiona poduszkami do koła. Zobaczywszy mnie, podniosła ręce drżące i gdym ukląkł przed nią, chwyciła za głowę.

Poczęła płakać z radości wielkiej, ale mówić już prawie nie mogła, tak była osłabioną. Błogosławiła tylko mnie i nas wszystkich, rozweselona, z twa-

rzą pogodną, żegnając się z nami, zalecając miłość i zgodę.

Była godzina dziesiąta na półzegarzu gdy przyjechałem, a z północy znużona zapagnęła spocząć, oczy zamknęła spokojna i już ich nie otworzyła więcej. Gdyśmy się zbliżyli nad ranem, znaleźliśmy ją wiecznym snem uspioną.

Wszystko po niej w takim było porządku, że ani z pogrzebem, ani ze spuścizną nie mieliśmy najmniejszej trudności, ni wątpliwości. Na śmierć się obyczajem dawnym gotując zawczasu, miała wszystko aż do ubrania przygotowane, światło nawet kupione. Pieniądze dla rozdania ubogim, duchowieństwu, kościołom były popieczetowane i pozapisywane, o czem siostra miała wiadomość, odprowadziliśmy ją do grobu naszego do Łucka.

Ze spadkiem nie było też najmniejszej trudności między rodzeństwem. Michał się wszystkiego zrzekł na nas, a my z siostrą byliśmy zgodni. Mężowi jej puściłem Polankę, to sobie warując, abym każdego czasu dwór miał dla siebie ekscypowanym, gdyby mi powrócić przyszło.

Miałem bowiem to mocne postanowienie, iż po śmierci króla, ani Jakóbowi, ani Aleksandrowi z królową służyć nie będę, a na wieś powrócę.

Pochwalała to siostra z tem tylko, że mi koniecznie żony szukać chciała, co zbyłem śmiechem, postanowiwszy nie żenić się wcale. Przeciw temu ona protestowała, że to nie może być.

Zabawiwszy w Polance dla spoczynku i ułożenia się ze szwagrem, powróciłem na sejm 1695 roku do Warszawy. Oddalenie się moje nie trwało nad kilka miesięcy, alem pana znalazł znacznie słabszym i cięższym, niżem go odjechał...

Na pokoje do gości prawie nie wychodził pod tym pozorem, że mu nogi brzękły i że często mu się w głowie zawroty trafiały. Wieczorami się wszyscy zbie-

rali do króla na uczone rozmowy, które stanowiły jego jedyną rozrywkę, bo go od świata i jego niesmaków odrywały.

Najczęściej się kółko to składało z ojca Voty, z przybyłego z Francyi, bardzo przebiegłego i miłego w towarzystwie ks. Polignaca, biskupa Żaluskiego, doktora O'Connora, a nawet doktora żyda Jonasza, którego król przypuszczał chętnie.

Żydzi ci Jonasz, Bethsal, Aaron, wogóle u nieprzyjaciół króla byli narzędziem przeciwko niemu. Gdy nie było czem mu dokuczyć, jak to pospolicie mówią, nie mogąc konia uderzyć, bito po hołoblach; przesładowano potrzebnych panu i posługujących mu Jonasza, człeka rozumnego i statecznego, Bethsala, który około pieniędzy chodzić umiał, ba, nawet Aarona, prostego faktora, którego król tu i owdzie posyłał.

Przyszło do tego, że na żydów wzniecono burzę wielką, jakoby oni pośrednikami byli do sprzedaży urzędów i wakansów, za które pieniądze pobierali. Mówilem o tem już, że za królowej Maryi Ludwiki, która tę praktykę porękawicznego zastała już w Polsce, za wiedzą króla pobierały się od rozdawnictw podarki, z których nawet tajemnicy nie czyniono, choć to symonia była sromotna. Patrzała się na to młoda będąc królowa Marya Kaźmira, a chciwość jej formalny potem targ ustanowiła za każdy przywilej i dostojność pobierając dla siebie i dla króla oznaczony podatek. Sami się napraszała ci, co otrzymać coś chcieli.

Król czasem dał coś darmo, bo nigdy nie przyjmował nic, ale królowa brała, imienia jego nadużywając; naówczas krzyki były, narzekania, wymówki i klótnie, iż często podpisany już przywilej dla świętego spokoju rezerwować przyszło.

Trwało to przecież pół wieku już i, choć sykano, nikt się publicznie skarżyć nie śmiał, bo kupujący również winien w takim frymarku, jak i sprzedawca... Teraz użyto broni tej przeciw królowi, choć on nie-

winnym był, bo własny pieniądz, prochy, działała na obronę Rzeczypospolitej bez rachuby wydawał i obwiniano jego, zamiast tej, która wszystkiego złego była sprawczynią.

Na jednym sejmie w Grodnie, jeżeli się nie mylę, Bethsala obwiniono i na śmierć sądzić chciano, pod pozorem świętokradztwa. Zadawano mu, że miał krucyfiks, na który przysięgać kazał chrześcijanom, a potem go bez poszanowania gdzieś w kąć rzucał; król mu ledwie życie ocalił... Do Jonaszą doktora, który Sobieskiemu równie miłym, jak potrzebnym był, rzucano się potem, aby królowi przezto dokuczyć, i ten ledwie bezkarnie uszedł prześladowania.

Na Litwie Sapiehowie, których łaska królewska przeciwko Pacom podniosła, rządili się teraz i dokazywali samowolnie co chcieli. Wywierali oni despotyzm taki, iż się im nic oprzeć nie mogło, a czasu sejmów i w Polsce też rej wodzić usiłowali, mnogich mając przyjaciół i klientów. Zadarłszy się z biskupem wileńskim Brzostowskim, którego zniszczyli majętności i całą książkę przeciwko niemu wydrukować dali (*De Episcopo litigioso*), na sejmie 1695 r. Kryszpina, siostrzeńca biskupa, do łaski przypuścić nie chcieli. Zadalі mu, że szlachcicem nie był, popełnili w izbie poselskiej gwałt na jego osobie, uszło im i to bezkarnie.

Król nie miał władzy żadnej, a tacy pankowie, wojska na dworze trzymający, otoczeni klientami, ubogą szlachtą, którą żywili, pozwalali sobie co chcieli i ani sejmy, ani trybunały od ich prepotencji wolne nie były. Najlepsza sprawa przeciwko nim przegrana być musiała, bo szablami pisali sobie dekrety.

W Warszawie naostatek oburzenie było przeciwko Sapiehom takie, a z ich przyczyny i na całą Litwę, że gdy jeden z nich chłopców w palcaty w wojnę się zabawiających zaczepił i pogromił, koronna szlachta rzuciła się na litwinów i byłoby do krwawej przyszłości rzezi w ulicach, gdyby się Sapiehowie nie wynieśli

z Warszawy wraz ze swemi; ale sejm też zerwany został.

Ostatnie te dwa lata, przy ciąglem niezdrowiu królewskim, niepokoju na dworze dla zatargu z Jakóbem, zabiegów królowej, aby przed zgonem wszystko opanować, na co już stary zobojętniały pan patrzył zimno, nic poradzić nie mogąc; życie i dla nas przy osobie jego zostających, nie było bardzo słodkiem.

Musieliśmy z kilku wiernemi przyjaciółmi króla na straży stać, ażeby mu nieustannie jakąś burdą, skargą i wrzawą nie zakłócano spoczynku.

Widocznem było, że się niemal dziecinnie zabawiał fraszkami często, aby daremnie się nie gryźć, na co radzić nie umiał.

Wolał o ogród się troszczyć, niż o sejmiki i sejm, książki sobie kazał czytać i o nich rozprawiać, instrumenty różne nowo wymyślone sprowadzać i z niemi eksperymenta czynić, niż *de publicis* nadaremnie radzić, gdy tu mu nic nie dawano doprowadzić do końca.

Nie jeden raz, gdy z Matczyńskim sam pozostał, a serce mu się zbolale otworzyło, słyszałem go powtarzającego.

— Co się z tym naszym krajem nieszczęśliwym dzieć będzie, gdy ja oczy zamknę, nie śmiem myśleć nawet. Pragnąłbym pewnie tronu dla Jakóba, a życzyć mu go nie śmiem, bo zamęczy go nieład, jak mnie, jak Kaźmirza znękał, a Michała zamordował. Za jego to może dołą, los się pomścił na mnie.

Lecz niechżebym ja cierpiał, ale nie ta nieszczęśliwa Rzeczpospolita.

Dźwignął ją oręż i zwycięstwa, trochę ducha rycerskiego tchnąć się udało w zniewieściałych, cóż potem? Owo rycerstwo się w rokosze obróciło i w tę anarchię, na którą ani ja, ani żaden z moich nie poradzi.

Jakób też w waśni z matką i Aleksandrem nie utrzyma się pewnie, obu ich wyekskludują, nie obio-

ra więcej Piasta. Przyjdzie niemiec z rakuskiego ramienia, albo-li francuz. Oboje licha warte. Gdyby niemiec umiał obuzdać warcholów, ale tego nie dokaże bez gwałtu, a gwałt wojnę domową wywoła. Francuz zaś, kto odgadnie!!...

I wzdychał.

— Wojna z turkiem—mówił—narzekali na nią, że przez nią ja chcę szlachtę wytracić! a ona jedna, gdyby nie konfederacye i związki cokolwiek nas uszlachetniała. Zamiast wojny tej krzyżowej, wolą się między sobą kąsać i zabijać.

Napastowano króla nieustannie, na wszelkie sposoby, o zrobienie testamentu, opierał się do ostatka. Mówił przed Załuskim biskupem po kilkakroć, że się to na nie nie zdało, bo gdy żywego słuchać nie chciano, jak się spodziewać mógł, aby z za grobu słowo jego miało wagę jaką?

Ale może i nie to jedno skłaniało go do ociągania się. Po myśli królowej ostatniej woli uczynić nie chciał, a gdyby testament jej był nie wsmak, ostatekby mu dni zatrula wymówkami i gniewy, krzykami i narzekaniami.

Tak, w oczekiwaniu ciąglem tego testamentu, nie śmiała go drażnić.

Przychodziła po kilka razy na dzień, wystrojona od swego towarzystwa, woniejąca, niby łagodna i troskliwa o zdrowie, dopytywała o nie, dawała rady, starała się przypochlebić.

Król zawsze też grzeczny był dla Marysienki, ale tylko o tyle, aby ją ukołysać i nie podrażnić. Miłości tam żadnej nie było. Wygorzała na popiół.

Uśmiechał się gdy wchodziła, ale swobodniej oddychał, gdy się oddaliła od niego.

Do wszelkich trosk i o Jakóba przyszłość też nie miała przybywała. Nie mógł tego nie widzieć, że królewicz przyjaciół nie miał, u szlachty miru nie pozyskał. Z twarzy nie miał w sobie nic pociągającego, patrzyła z niej duma, chociaż niczem jej osobiście nie

mógł usprawiedliwić. Bił się nieraz mężnie, ale wódza z niego się nie spodziewano, nie wslawił się niczem, a także rycerzy jak on siła mieliśmy w wojsku. Postawa była niepokąźna, wątła, a strój cudzoziemski i obyczaj francuzki, albo raczej jakiś europejski, choć podówczas już wielu się tak nosiło, nie dawał w nim nawet łatwo, na pierwszy rzut oka poznać polaka. Wyraz oblicza miał zasępiony, ponury, dziki niemal.

Wszystkie potomstwo Sobieskiego, wychowane pod oczyma matki, dumą się odznaczało, na stopniach dworu zrodzonych książąt.

Jakób się spokrewnił z książętą niemieckimi przez małżeństwo swe z ks. Neuburgską, potem, na rok coś przed śmiercią króla wydano księżniczkę Teresę za bawarskiego Maksymiljana, młodszy też mogli się spodziewać koligacji nie mniejszych.

Na wiosnę następnego roku, co miał się dźwignąć zimę przebywszy, bo tego doktorowie się wszyscy spodziewali, rachując wedle przysłowia, że marzec przeżył, więc siły odzyska, myśmy widzieli go coraz opadającym. Częste miewał głowy zawroty, chodził ciężko i o kiju ledwie się włókł. Powietrze wiosenne co go miało ożywić, po przechadzce osłabiało. Czuł się niem jakby upojonym. Doktorowie zapytywani milczeli, a dla nas to miało znaczenie wielkie. Z twarzy ich widać było trosnę i niepewność. On przecież wesołym się okazywał i w małym kółku żartował sobie, wcale się nie zdając obawiać śmierci.

Są tacy ludzie, w których życiu ręka opatrności jest widoczna. Takim był Sobieski przeznaczony na wielkie dzieła a zarazem na utrapienia i upokorzenia; dusza wielka a człowiek słaby, gdy z własną namiętnością miał do czynienia.

Całe to jego życie dziwnie nauczające, a i koniec też jakby umyślnie przygotowany w sam dzień urodzin, którego dnia też na tron był powołany i do drugiego lepszego życia.

Po uroczystych procesjach Bożego Ciała do Wila-nowa tłum się gości począł zjeżdżać z powinszowa-niem i urodzin i rocznicy. Nie wszystkich do niego dopuszczano, bo go rozmowa i przyjmowanie pustych komplementów męczyło. Czuł się osłabionym, ale umysł miał pogodny i okazywał się wesół.

Dopytywał przybywających z Warszawy ciągle.

— A co tam w mieście? co słyszać?

Opowiadał mu, że się wszyscy modlą, panu Bo-gu dziękując i prosząc go o utrzymanie ukochanego Monarchy w zdrowiu i długiem życiu.

Rozpytywał niektórych o procesję, o celebrujących i t. p. Ksiądz Vota potem mszę świętą w pokoju od-prawił, której król słuchał z wielkiem skupieniem du-cha, skarżąc się tylko, że nie mógł komunikować, bo nie był już na czczo.

Chodził potroszę po pokojach, przyjmując przy-bywających i zabawiając się więcej słuchaniem roz-mów, niż żywym w nim udziałem. Tak cały dzień ja-koś szczęśliwie przeszedł, a Janasz i O'Connor ob-serwowali, iż jadł z apetytem.

Wieczorem jak zazwyczaj zeszli się ci, z którymi zabawiać się lubił i około łóżka zasiedli. Tymcza-sem królowa tłumnie zgromadzonych panów senator-ów przyjmowała wraz z ojcem kardynałem d'Arquien, w paradnych apartamentach, a że im nie żałowano wina, hałaśliwie też dość sprawiali się, tak, że do nas vivaty podczas dochodziły, król się uśmiechał, bo oszustwa nie znosił.

Siedzieli przy nim ks. biskup Załuski, ks. Poli-gnac O. Vota i trochę domowników było blisko. Roz-mowa się zdawała toczyć obojętnie. Nadeszła królowa dowiedzieć się co się tu działo. Spojrzał na nią jakoś nagle, drgnął i Załuski postrzegł, iż się pochylił ku poduszkom.

Nadbiegli doktorowie, ruszony był apopleksją, mo-wę postradał. Na krzyk królowej, który się rozległ po pokoju, senatorowie od stołu się porwawszy, choć

niektórzy z nich ledwie się na nogach utrzymać mogli, nadbiegli otaczając łożo. Lament powstał wielki, puszczo krew. Rozeszli się wszyscy. Była nadzieja utrzymania przy życiu, ale trzeba było widzieć ów popłoch jaki się wszezał, owo przerażenie, od którego wielu się otrzeźwiło nagle. Niektórzy natychmiast konie podawać kazali śpiesząc do Warszawy, inni pozostali czekając końca.

Wtem król tchnął silnie, poruszył się — oczy otworzył i odezwał się głośno.

— *Stava bene!*

Jakby mu dobrze z tem było, iż przytomność postradał.

Nadzieja w nas wstąpiła, ale on snadź czuł, że żyć nie może i prosił zaraz o spowiednika. Pozostał z nim zamknięty dosyć długo, bo niemal pół godziny. Zażądał sakramentów i wjatyku.

Królowa biegała poruszona, ręce łamiąc, to się zbliżając do chorego, to odbiegając do okna, to rozsyłając ludzi, to szlochając, to narzekając. Widać było, że nie tyle śmierć ta w niej budziła żalu, co obawy o przyszłość.

Po przyjęciu sakramentów, król położył się spokojnie bardzo, ale nie wiele czasu upłynęło, gdy doktor, który go za rękę trzymał, puścił ją i powieki zwolna przywarł.

Król nie żył.

Było to mało co po zachodzie słońca, długiego czerwcowego dnia.

Co się potem u nas w Wilanowie działo, jak się zawieruszyło, niepodobna tego opisywać.

Królewicz Jakób udał się był przedtem do Warszawy na zamek, czy w przewidywaniu zgonu ojca, nieumiem powiedzieć ani twierdzić mogę. Dano mu natychmiast znać konnym posłańcem, ale nie od królowej matki, tylko ktoś z jego przyjaciół, i to potajemnie.

Słyszałem nieraz z ust samego króla, że w chwili urodzin jego, burza straszliwa szalała nad Oleskiem.

Otóż dziwnym trafem, w tę rocznicę, zaledwie krótko oczy zamknął, nadciągnęła chmura i rozpoczęła się ulewa z gradem i piorunami, z wiatrem takim, że zdawała się chcieć wszystko zburzyć i zniszczyć. W ogrodzie Wilanowskim ze starych topoli kilka z korzeniami wyrwało, dachy pozrywało.

Zwłoki królewskie jeszcze nietknięte leżały na łóżku, gdy nadciągnęła burza i przeraziła wszystkich. Piorun po piorunie waliły w Wisłę i w ogródzie.

Strach nas jakiś ogarnął, żeśmy poklekali wszyscy modląc się zapłakani.

Królowę kobiety jej na rękach zanosły pod kotarę...

Burzy tak gwałtownej mało kto sobie w życiu przypominał, i nierychło przeciągnęła... Jeszcze się to przyczyniło do zamieszania w pałacu, bo do reszty głowy potracili wszyscy. Ale może najpierwsza się królowa podniosła, do swoich przyjaciół śląc do Warszawy...

Tymczasem, gdy królewiczowi dano znać o śmierci ojca, w pierwszej chwili albo mu źle doradzili, albo sam na tę myśl wpadł, żeby na zamku nie dopuścić matki...

Z północy jej o tem dano znać, iż Jakób od gwardyi odebrał przysięgę wierności, niewiedzieć jakim prawem, wrota wszystkie pozamykać kazał, silną straż przy nich postawiwszy i nikogo nie pozwalając wpuszczać bez swego zezwolenia...

Dano znać o tem wdowie, która wpadła w gniew wielki przeciwko wyrodnemu synowi.

Ofiarowali się niektórzy z panów do pośrednictwa pomiędzy matką a synem... i jechali do Warszawy, ale po kilku godzinach powrócili z niczem.

Jakób ich słuchać nie chciał, upierając się przytem, że królowej nie dopuści..

Uchwalono więc, aby z ciałem nieboszczyka wraz

adała się w uroczystym pochodzie, bo zdawało się niepodobieństwem, ażeby syn ojcowskim zwłokom miał wzbronić zamku, duchowieństwu i rodzinie wrota zamykać.

Naprędce tylko obmyte ciało, przyobleczone w szaty, jakie się znalazły pod ręką, na wóz żałobny włożono, i pochód się z Wilanowa pnął do miasta. Straszno to powiedzieć, ale doktorowie sami taką zmianę nagłą w twarzy i ciele zmarłego postrzegli, że o truczynie szeptać poczęto...

Ale to wprost była baśń niedorzeczna, bo któż i dla czego mógł ją zadać.

Wcale zaś dziwnem nie było, że schorowane stare ciało, przy gorącu wielkiem, bardzo prędko się psuć poczęło.

Lecz do wszystkich nieszczęść jakich ten pan doświadczył i tego było potrzeba, aby potwarz taka ze śmiercią jego na świat wyszła. Ludziom zaś łatwowiernym i małego umysłu, milsza taka plotka niedorzeczna niż prawda...

Niepotrzeba było innej trucizny nad tę, jakiej on codzień zażywał i która mu życie skrócić musiała. Była nią niewdzięczność ludzka, waśń dzieci, zwątpienie o wszystkim...

Gdyśmy ze zwłokami przybyli do Warszawy, tłumy już zastaliśmy w ulicach, które aż do samego zamku przepełnione były. Stała ta ciżba w smutnem milczeniu, ani się może spodziewając tego widowiska gorszącego, jakie jej królówiczą Jakób przygotował.

Posłanych przodem dworzan odprawiono z tem, ażeby nadaremnie na zamek ze zwłokami nie przybywano, gdyż ich straż nie puści.

Gdyśmy o tem się dowiedzieli, duchowieństwo całe oburzyło się strasznie.

Pojechali biskupi, Załuski pierwszy do królówicza nie z prośbami już, ale z groźbami, iż się dopuszczał wobec całego świata niesłychanego wykroczenia,

ojcu własnemu zamykać drzwi jego zamku, do którego królewicz żadnego prawa nie miał.

Załuski śmielszy wpadł z takim fermorem, iż mu ludzkiem i boskiem prawem zagroził, przepowiadając pomstę niebios za samą myśl tę niegodziwą.

Poczęli też przyjaciele Jakóba reflektować go, że się tem światu i rzeczypospolitej cale niedobrze okazywał i zjednać tem ludzi niemógł, ale ich przeciwko sobie obruszył...

Stały zwłoki jakby litości prosząc u wrót, gdy naostatek utworzono im, zmógłszy Jakóba i karawan wszedł w podwórze, poczem na ramionach naszych zanieśliśmy ciało do sali, gdzie je w królewskie szaty i insygnja przybrać należało, niżeli na widok wystawione będą i nabożeństwo się rozpocznie.

Korona, berło, jabłko były pod kluczem królowej, Idzie do niej Matczyński dopominając się ich...

Pierwsze słowo jej było:

— Nie dam, nie dam, królewicz Jakób gotów i te klejnoty, kilkakroć sto tysięcy wartujące, sobie przywłaszczyć, tak jako i cały skarb nieboszczyka pochwycił lub myśli opanować.

Nie dam.

Z królową było gorzej niż z Jakóbem, bo tej ani ów najwierniejszy króla przyjaciel Matczyński wojewoda, ani biskup Załuski, ani ks. Polignac, nie zdolali zmiękczyć...

Matczyński od zmysłów niemal odchodził, ręce łamiąc. Stał u katafalku i płakał... Potem nagle złocisty hełm pochwyciwszy na głowę nieboszczyka włożył..

Otóż jaka była śmierć, ostatnie godziny i początek bezkrólewia po bohaterze.

Czego się już potem spodziewać było można, chyba wojny domowej, ale nawet z pomocą wszystkich zabiegów królowej, jej pieniędzy i zachodów, nie mogła rodzina tak rozdarta, poważniona... wzbudzić w nikim sympatji ku sobie. Litowało się wielu, nikt

nie widział sposobu, aby do tronu tego dobili się, do którego królowa i Jakób rościli prawa...

Zrazu to poznać było łatwo, że Piasta ekskluzja spotka, i inaczej być nie mogło, choć Radziejowski kardynał Sobieskim był oddany. Ani on, ani Załuski, ani pocziwy Mateczyński, który wkrótce potem zmarł z żalu, nie zdołali umysłów na stronę rodziny nawrócić. Z wyborem Sobieskich czego innego jak przedłużenia niepokoju domowych spodziewać się nie było można...

Ja natychmiast po śmierci królewskiej zażądałem odprawy i uwolniłem się od służby, chociaż miałem zaległości, których na razie uzyskać nie było podobna.

Pozostałem jednak w Warszawie, bo mnie tu sama ciekawość trzymała, a ostatnich czasów kłopoty i nieustanne czuwanie o chorobę mnie przyprawiły taką, że musiałem w gospodzie, którą trudno znaleźć było, obledz...

Szaniawski też ani Jakóbowi, ani Aleksandrowi się nie dał do służby namówić i dwór pożegnać, jeszcze spełna nie wiedząc co z sobą pocnie...

Nie można było przewidzieć w tych początkach, komu tron przeznaczony, aleśmy to tylko czuli, że Sobiescy go nie posiadają. Królowej żaden z nas nie byłby za nic chciał służyć, tak nam ona za żywota pańskiego dokuczyła.

Tuśmy w stolicy byli świadkami tego poruszenia umysłów i powodzi piśmideł, jakie się zaraz z okazji bezkrólewia wylały. Czego nie można było drukować, to pisano, przepisywano i rozrzucano, hańbiąc i nieszczędząc ani matki, ani dzieci.

Królowej przedewszystkiem już szło nie o tron, ale o spuściznę, którą dla siebie więcej niż dla potomstwa rewendykowała. Powiadano naówczas, że sześćdziesięcioletnia owdowiałemu kochankowi dawnemu, hetmanowi się stręczyła, aby z nim podzielić koronę. Lecz Jabłonowski ją już nadto dobrze znał,

a głos powszechny go uczył, iż z nią i przez nią do niczego by nie doszedł. Patrzył też na los niegdy przyjaciela swego nieboszczyka króla i przekonał się, że korona nie była do zazdrości.

Wojsko się zaraz, pod pozorem zaległych żołdów, skonfederowało, dopominając wypłaty, ale konfederacja ta poddmuchniętą była albo przez rakuzkich lub przez francuzkich intrygantów, którzy się z niej spodziewali korzystać.

Jeszcześmy byli w Warszawie z Szaniawskim, gdy Jakób, który ciała ojca nie chciał wpuścić do zamku, a później musiał mu wrota otworzyć i ohydy tylko na siebie ściągnął, zmiarkowawszy, iż zajście z matką i szczucie przeciwko niej i Aleksandrowi powszechną zgrozę obudza, postanowił się z nią przejednać.

My gdyśmy o tem posłyszeli, śmiać się nam chciało i pamiętam, że Szaniawski o trzy garnce węgierskiego chciał iść w zakład, iż się nie pogodzą.

Ale do zakładu nie przyszło, bo sam on pomiarkował, że gdyby królowa tylko w tem korzyść dla siebie widziała najmniejszą, gotowa się zgodzić, a na-
zajutrz pokłócić... Serca w niej nigdy nie było, pycha rządziła wszystkim.

Jeszcze teraz, gdy już ze skroni jej korona ze śmiercią króla spadła, z majestatem swym nosiła się tak samo dumna i otaczała dworem, ceremonją, jakby zawsze królową była.

Ale jak między mężczyznami nie miała przyjaciół krom tych, których sobie kupować musiała, a wrogów tysiące liczyła, tak między kobietami, nie wyłączając rodziny własnej i Sobieskiego żywa dusza jej nie sprzyjała.

Zapóźno teraz było sobie serca pozyskiwać.

Jakób, gdy mu doradzono, chociażby dla oka ludzkiego tylko, z matką się pojednać, a ta wszelkie pośrednictwo odrzucała i zapowiedziała mu, że gdyby się ważył próg jej przestąpić, każe go służbie precz wypchnąć; namyślał się długo, aż czy to z naprawy

czyjej, czy z własnego planu, postanowił gdziekolwiekby jej drogę zająć, bodaj wychodzącej z kościoła, paść do nóg publicznie i w ten sposób niejako zmusić do przejedwania. Starał się tylko o to, ażeby mieć przy sobie świadków, gdyż na ich przytomność rachował...

Zawiadomiono go, że dnia jednego królowa ma Wizytki odwiedzić i o pewnej godzinie powracać od nich będzie. Nagotował się więc z przyjaciółmi, których było osób ze dwadzieścia wraz ze służbą, i oczekiwali na przejeżdżającą...

Królowa, której towarzyszyła straż tatarska, poznawszy syna i domyślając się o co szło, kazała woźnicy i tatarom aby zawrócili i uchodzili. Jechał przy kolebce starszy podkomorzy jej Sawicki, któremu też dała rozkaz, aby niedopuszczał spotkania.

Ala panowie Senatorowie towarzyszący Jakóbowi zajęli tak ulicę i powóz opasali, że ani ująć ani dalej jechać nie było sposobu. Królowa stukając w szyby wołała ciągle aby jechali, a kroku dalej nie można było przebojem uczynić.

Jakób z konia skoczywszy, prawie się pod koła karety rzucił, nie pomogło to nic. Nie chciała słuchać jego, ani żadnego z nich, co w jego imieniu z obu stron się cisnęli, szyby pozamykała, maski, którą miała na twarzy, od opalenia ją nosząc (tak dotąd o cerę była troskliwa) nie zdjęła... i w najgrzeczniejszy sposób odprawiła nie już syna, ale najdostojniejszych dygnitarzy, którzy się do zgody przyłożyć chcieli.

Przyjaciele rodziny nieboszczyka króla, pomimo tych wybryków królowej, stali przy niej długo wierne, usiłując dopomódz, pogodzić i zburzone ułagodzić umysły. Największe jednak starania biskupa Załuskiego, kardynała Radziejowskiego, Potockich niepomogły, bo królowa cokolwiek oni uspokoiłi, postępowaniem swem gorączkowem burzyła i w niwecz ich zachody obracała.

Mając zdawna wielu na siebie łaskawych, obraca-

łem się ciągle pomiędzy niemi, mało nie codzień wi-
dując z Mateczyńskim wojewodą i Żaluskim.

Nie śpieszyłem do domu, sama ciekawość mnie
trzymała w Warszawie, sądziłem, że się tu końca
tej tragi-komedji doczekam.

Szaniawski mój dał się namówić i wciągnąć do
dworu królowej, która dworzan potrzebowała, a nie
łatwo kto do niej przystał, jeszcze zaś trudniej się
utrzymał, przez niego więc także wiadomości miewa-
łem co się działo.

Na zamku wrzało jak w kotłе nieustannie; wido-
cznem było, że wdowa korony dla siebie z kimkol-
wiekbądź więcej pragnęła, niż nawet dla ulubionego
Aleksandra.

Stręczyła się więc Polignacowi dla francuzkiego
kandydata tak samo, jak gotową była austryjackiego
przyjąć, gdyby nie żonatym był. Tych co żony mieli
samo przez się ekskludowała.

Stara, zwiędła, rozlana, choć zdrowa jeszcze i sil-
na, powabu już dla nikogo mieć nie mogła, niegdyś
najśliczniejsza Marysienka. Stroiła się pomimo to mło-
do, sznurowała usta, przymrużała oczy, a przy tem
brzękała miljonami, o które z Jakóbcem wojnę prowa-
dzić miała.

Śrom było patrzeć na te zabiegi, przez pamięć na
tego bohatera, którego imię tak się nikczemnie po-
niewierało.

Mnie, jakom rzekł, nie tu już po ustąpieniu ze
służby nie wiązało, oprócz ciekawości. Do Jakóba się
nie mogłem przywiązać, a od Aleksandra odstręczała
matka. Trochę znużenia pozbyłem się łatwo wypo-
czawszy, mogłem więc swobodnie się obracając, być
spektatorem tylko, do niczego się już mieszać nie
chcąc. Nie suponowałem, iż się doczekam tego, że
siedzieć będę musiał poniewoli.

A stało się to z następującej przyczyny.

Miałem sobie przez króla powierzone klucze jego
skarbczyka, w którym się część klejnotów, oręża, kosz-

towności różnych, papierów i pieniędzy przechowywało. Bywało tak, że gdym się oddalał na czas jaki, bo mnie posyłał w ważniejszych sprawach, gdy pisać nie chciał, albo pieniądze znaczniejsze przewozić było potrzeba, klucze zdawałem panu, a potem je znowu odbierałem.

Między innemi precjozami były u mnie owe sławne garnitury, zdobyte na Kara-Mustafie pod Wiedniem, kosztowne bardzo i piękne. Każdy z nich składał się z bogato sadzonego Sahajdaka, czyli, jak u nas pospolicie denominowano Żubu, z szabli, noża, zegarka i siedzenia na konia.

Jedne były turkusami perskiemi, drugie rubinami malajskimi, inne perłami urjańskimi i smaragdami wysadzane: Nie mniejszej ceny była ich oprawa i robota wielce misterna, a nie w srebro złożone, jak pospolicie się trafiało, ale w czyste złoto były osadzone, co łatwo waga poznać dawała. Złożone były w pięknych sepetach, skórami cielecia morskiego obciągniętych, a tak ochędożnych, że je choć w pokojach można było trzymać.

Sama ślusarska koło nich robota, godną była oglądania. Czasami król cudzoziemcom i ciekawym gościom pokazywać je kazał, a było na co patrzeć i dziwować się czemu.

Ostatnim razem stały garnitury w Jaworowie, gdy mnie ztamtąd król do Wilanowa posłał. Klucze oddałem jemu samemu do rąk i tylem je już widział. Zdało mi się, że one w Jaworowie zostały.

Po zgonie króla ani mi one na myśl przyjść mogły, gdy jednego dnia przysyła do mnie wojewoda Matczyński prosząc, abym go nawiedził.

Przyszedłem do niego nazajutrz rano.

Znalazłem biednego pana, tak jak był ciągle od śmierci królewskiej smutnego, schorzałego. Kaszel go męczył nieustanny i dychawica.

— Mój Polanowski — odezwał się, zobaczywszy mnie i przywitawszy — chciałem się ciebie zapytać, co się stało z temi garniturami, które były pod klu-

czem u ciebie? królowa się do mnie odzywa dopominając o nie i, Panie Boże jej odpuść, bodaj albo mnie lub Wmości ma w posądzeniu, żeśmy te drogocenne klejnoty przefrymarczyli! Na waszmości zaś tem cięższe podejrzenie, żeś się zaraz uwolnił ze służby!

Poruszył ramionami, a jam usłyszawszy to, aż do góry pęskoczył.

— Na rany pański! — krzyknąłem, czerwieniejąc jakby mnie kto krwią oblał— jeszcze mi się to w życiu nie trafiło, ały kto śmiał mnie o złodziejstwo posądzać! *Stante pede* biegnę na zamek, niech inkwizycją czynią. Mam na to świadków, gdym królowi, do Wilanowa jadąc, klucze wszystkie zdał i sepety z niemi, komu je potem zwierzył niewiadomo mi, ale to się łatwo okaże. Ja na mojem pocziwem imieniu nawet cienia takiego posądzenia dopuścić nie mogę.

— Czekaj no, nie strzelaj — odparł śmiejąc się i mitygując wojewoda — powinno cię to pocieszać, żeś w dobrej kompanji ze mną. Wszyscy przecie wiedzą, że was i mnie o to posądzać, śmieszna rzecz. Królowa nawet sama frymark ten tylko ma na myśli, żeśmy je Jakóbowi wydali, a nie sobie przywłaszczyli. Ot co jest!

Musisz przecie domyslać się, co się z sepetami stało? Gdzie one są?

— Właśnie, że nie o tem nie wiem, bo później o nich mowy nigdy nie było. Król ciągle niedomagał. No wiem, że do Wilanowa jadąc, klucze, jak zawsze, wszystkie oddałem królowi..., a potem ani już skarbczyka, ani garniturów, ani kluczy tych nie oglądałem. Żądam ścisłej inkwizycji, wyjdzie oliwa na wierzch.

— Daj pokój—odparł Mateczyński—samo z siebie wyniknie, iż dochodzić będą. Siedź cicho, jakbyś nie wiedział o niczem. Dosyć wrzawy i zgorszenia bez tego. Być może, iż Jakób sobie te sepety przywłaszczyl, albo...

Nie dokończył i rzekł:

— Chciałem z ust waszych mieć jak to stoi. Garniturów w Jaworowie już nie ma. Albo je król odesłał do Żółwi: albo Jakób zagarnął, lub... nie ręczę za królową, choć teraz się o nie upomina, aby z siebie to na drugich zwała... Zwolna, *paulatim*, wszystko się wyjaśni. Ani ja, ani wy nie wzięliśmy ich przecie do kieszeni...

— Miałem się już do domu wybierać—odezwałem się—ale teraz krokiem się ztąd nie ruszę, dopóki z garniturami końca nie będzie. Nie mogę dopuścić tego, ażeby kto posądzał mnie, żem zbiegł ze strachu o inkwizycją, której sam pierwszy się dopominam.

Matczyński stał zamyślony pokaszlując.

— Ty wiesz—rzekł potem — iż król mi wszystko zwierzał, największy grzechby był wypowiadać, gdyby go miał na sumieniu. O tych nieszczęsnych garniturach, któremi się chlubić lubiał, nie mi ostatniemi czasy nie wspominał. O ile przypomnieć mogę, pokazywano je, bodaj pośledni raz Polignacowi gdy przybył, bo ciekaw był wszystko oglądać. Królowa przytem była i zachwycala się niemi, utrzymując, że Sahajdaki do niczego się już nie zdały, że je należało na inne poprzerać klejnoty. Król się temu sprzeciwił mocno, chcąc mieć historyczne pamiątki zwycięstwa utrzymane tak jak były... Miały dla niego w tym stanie *pretium affectionis*. Zamknięto je na powrót do sepetów i na tem się skończyło.

— Bądź co bądź, panie wojewodo — odparłem — proszę i suplikuję, aby surową inkwizycją nakazano o te garnitury. Ja się z Warszawy krokiem nie ruszę, aż spokojnym będę, że się one znalazły. Żeby je kto iuny, okrom królowej albo królewicza Jakóba mógł sobie przywłaszczyć i wykraść je, śmieszna pomysłać nawet.

Kufry były wcale nie małe, na lada wózek ich nawet nie było zabrać, i stały zawsze pod kluczem, a z twarzy je znali wszyscy.

— Wszystko się tu wyjaśni, czekaj — rzekł Matczyński — nie gorączkuj się tylko i niemów o tem wcale, bo możesz na siebie gniew ściągnąć. *Is fecit cui prodest...* Mnie się wszystko zdaje, iż królowa dla tego o nie się tak troszczy, że je już musiała sama wziąć. My po nici do kłębka dojdziemy, ale trzeba milczeć, dosyć wstydu i sromoty bez tego... Niech lepiej przepadają tysiące i krocie, niżby pocziwe imie pana naszego cierpiało na tem. Wiesz Wmość z pisma, jako synowie Noego nagość jego i sromotę okrywali.

Nie łatwo mu przyszło mnie zmitygować.

Przypomniałem mu, że po obiciu i okuciach sepety były tak znaczne i od innych się odróżniały, że jabym je w piekle poznał... W Wilanowie zaś wszystkie zakamarki zwiedzałem, i wiem, że ich tam nie było, na zamku też pewno niema... Jeżeli w Jaworowie się nie znalazły, a dobrze szukano, należało tam za niemi iść, gdzie reszta skarbu królewskiego złożoną była...

Matczyński mi nie dał dokończyć, ręką zamachnąwszy w powietrzu i szepnął cicho:

— Nową koronę, berła, jabłko, miecz poświęcany papieżki — królowa trzyma u siebie... sepety u niej też być muszą, ale się niemi dzielić nie chce... w tem sekret cały... My tego dojdziemy. Gdyby w istocie zginęły garnitury... byłoby daleko więcej o nie wrzawy, a tu bardzo cicho się tylko półgębkiem o nich mówi i... *sub rosa*.

Dobry czas potem jeszcze stękaliśmy z nim razem nad nieszczęśliwym położeniem rodziny ukochanego pana naszego, który przez nią w grobie nie miał spokoju. Pożegnałem potem wojewodę, zaprząc go, że się z Warszawy nie ruszę, dopóki sprawa nie wyjaśni się i nie wyklaruje aż do dna. Chciałem się nią sam zaraz zająć, ale mnie Matczyński zaklął, ażeby nie poczynął nic i nikomu

nie mówił o tem, a on już wszystko bierze na siebie.

Otóż przez co ja nwiązłem w Warszawie, a że się to dłuższy czas mogło przeciągnąć, mnie zaś izdebka w ogrodzie, wśród wrzawy i niepokoju, gdzie coraz nowi ludzie zajeżdżali, a ciągle się trzeba było pilnować, żeby uprząży, okucia a nawet obroków nie odkradano, wcale nie była dogodną, nająłem dworek za Krakowską bramą u Glińskich, mały drewniany, ale schludny, przy którym też tajnie były z biedy na dziesięć koni mogące starczyć, masztarnia i wozownia.

Przeniosłem się tam zaraz.

Ale że dworek pustką stał, sprzętu trochę lepszego musiałem sprowadzić z Połonki, reszta się w miejscu dokupiła i tam po niewoli osiadł, z wielkim dysgustem moim, ale dla pocziwości imienia naszego, tak mi postąpić należało. Com miał zaś rupieci różnych przyzbieranych potroszę, nawzajem do Połonki się odesłało.

Do Mateczyńskiego, do którego i tak przywiązany byłem, jak najczęściej się dowiadywałem, ale one garnitury teraz jak w wodę wpadły. Powiadał, że królowa już o nich ani wspomniała.

Tymczasem Sejm Konwokacyjny się otwierał i zaraz w początku rakuska partja ekskluzję Piasta przeprowadziła... Cios był wielki, znaczyło to, że Sobiescy musieli się wyrzec nadziei, synowie ale nie matka! Znalazł się przytem zaraz pogotowiu poseł Horodeński, który huknąwszy *veto*, narady zerwał, a sam szyję salwując, pod skrzydła związku Baranowskiego drapnął.

Przez to się okazało jak na dłoni, z czyjej naprawy zerwanie nastąpiło, chociaż i bez tego czuli wszyscy rękę królowej. Nigdy może tak zapamiętałe czynną, rzucającą się, sypiącą pieniędzmi nie była. Na pokojach u niej od rana do nocy, jak mi Sza-

niawski powiadał, gdyby w szkole żydowskiej wrzawa nieustawała...

Baranowskiego tego, głowę związku wojskowego, znałem dobrze zdawna. Człeczek był mały i nie znaczący, a podjął się tego przewodniczenia w nadziei jurgieltu i krescytywy. Pamiętałem go takim, że mi się do kolan kłaniał, gdym go na kieliszek gorzałki z zakąską kielbasy wędzonej zapraszał. Spotykałem się i teraz z nim, ale już nosa do góry zadzierał, a drudzy mu się kłaniali, z czego mi się drwić ino chciało.

I ciąglem mu do ucha kładł:

— Ej, ostrożnie, aby cię los Gąsiewskiego nie spotkał!!

Do tego związku Baranowskiego przyłączyli się potem i Litwini z Michałem Ogińskim i Kryszpinami, wiążąc w konfederację przeciwko Sapiedom. Zaczęła się więc wojna, którą królowa opłacać musiała, a Elekcją do roku następnego odłożono.

Tymczasem tak się wszyscy rozpiechli, tak dziwnie powiązali, że nawet człowiek co, jak ja, wszystkich znał, nie mógł się zorjentować, z kim kto i przeciw komu trzymał. Istny chaos.

Szlachta przeciwko senatorom gardłowała, jak to u nas zdawna bywało we zwyczaju, Litwa się z Koroną waśniła, rakuska partja z francuzką darła. Przewidzieć było niepodobna, na czym się ten zamęt skończy, bo i królowa przechylała się na różne strony.

Rachowała ona w początkach na hetmana Jabłonowskiego, ale ten zmiarkowawszy, że przyjaźń z nią na sławie mu szkodzi i w ohydę podaje, zdezerutował i przeszedł do partyzantów Cesarskich. Radziejowski, Załuski, Służkowie, Leszczyński, Potoccy, dla pamięci nieboszczyka rodzinę jego podtrzymywali. Ale ona sobie sama tak wiele szkodziła, że jej nikt w świecie uratować nie mógł.

Ani Jakób, tem mniej królowa serc sobie pozyskać nie zdołali, jeżeli co zrobili to pieniędzmi.

Jakóbowi Cesarz szwagier przyrzekał niby to pomoc i protekcję, ale nie szczerze. Dynastji Sobieskich na tronie sobie nie życzył. Aleksandra żywa dusza, oprócz matki, nie popierała, mało go kto znał, i chociaż nad Jakóba więcej miał zalet, nie ufano mu dla królowej, która go prowadziła.

Rada w radę, ks. Polignac jeszcze był w wielkiem zachowaniu, królowa mu ufała, choć ją zdradzał, z jego tedy naprawy nastąpiła zgoda z Jakóbem i on wraz z Aleksandrem pojechali do Paryża łaski króla francuzkiego się dopraszać.

Któż mógł się tego domyślać, iż Marja Kazimira swoją własną sprawę przez Polignaca popierała u Ludwika, byle francuzki kandydat nieżonaty, ją się obowiązał poślubić. Polignac czynił nadzieję, że się to da przeprowadzić.

Ten wyjazd obu królewiczów do Paryża był tak niespodzianą rzeczą; że gdy mi Szaniawski o nim przyniósł wiadomość, myślałem zrazu, iż sobie ze mnie czyni igraszkę. Tymczasem prawda była, że z miljonami pojechali do Francji. Dzieci własne oszukawszy, poczęła teraz zabiegać, aby Elekt francuzki był nie żonaty...

Do wszystkich poczwarności i sromot, które sprawą były tej kobiety, z piekła rodem, tego tylko brakło, ażeby dzieci własne dla siebie sakryfikowała.

Miałem to od Szaniawskiego, który nigdy nie kłamał, zwłaszcza przedemną, że pełno u niej codzień bywało na pokojach, a wielu sama ciekawość sprawdziła, w głos królowa poczęła mówić przeciwko synom. Ludzie zrazu uszom wierzyć nie chcieli.

Przysięgał Szaniawski, że własne jej powtarzał słowa.

— Prawda, zem się polką nie urodziła—mówiła—ale ja od dziecka tu wzrosła i całym sercem polką jestem. Najlepszym tego dowodem, że więcej miłuję

tę Rzeczpospolitą, niż własne moje potomstwo i rodzinę, a powiadam panom otwarcie, niech Bóg uchowa, abyście którego z synów moich za króla wybrać mieli.

Załuski syknął z bólu, podnosząc ręce do góry. Odwróciła się do niego.

— Lepiej ja od was znam tę krew moją—ciągnęła dalej. — Jeżeli którego z nich, zwłaszcza Jakóba, wybieriecie, zginie Rzeczpospolita, zgubicie ją...

Załuski przerwał ręce składając.

— Na miłość Bożą, Najjaśniejsza Pani, miej się Wasza Królewska Mość na baczości. Czyż się to godzi? czy przystało matce tak się oświadczać?

Nie dała mu mówić i przerwała porywczo, na głos, tak, że ją wszyscy słyszeli.

— Prawdę jest co mówię, księżę biskupie. Otwarcie to oświadczam i nie będę żałować tego com rzekła. Czynię to prosto z troskliwością o los tej Rzeczypospolitej. Wybierzcie jeżeli chcecie Piastą, lepiej pierwszego lepszego z pomiędzy was. Macie dosyć zasłużonych.

Stał właśnie przy niej wojewoda kijowski, generał artylerji Kątski, któremu król chciał przed śmiercią hetmańską konferować buławę, a wszystkim wiadomem było, iż królowa do tego nie dopuściła. W tem obróciła się ku niemu i wskazała go.

— Nie macież, na przykład, tego dostojnego pana wojewody kijowskiego, tylu wsławionego bitwami.

Wojewoda się skrzywił na to, ramionami poruszając.

— O! la Boga—zawołał.— Wasza Królewska Mość, nie więcej temu nad kilka miesięcy, nie uznaliście mnie godnym buławy, a jekżebym teraz nagle berła się miał stać godnym!

Zarumieniała się nieco Jejmość, ale nigdy jej na wybiegu nie zbywało, zasypała słowami, zwróciła rozmowę inaczej, dowodziła zuchwale niedorzeczności, tak, że we wszystkich najżyczliwszych nawet wstręt obudziła.

Tym, co Jakóba potrzymywać myśleli, ręce popadały.

Na Jabłonowskiego nie mogąc rachować, bo ten się całkiem od niej odstrychnął, odlała się przewrotnemu Polignacowi, który z wielką subtelnością uwodził ją, zręcznie się nią posługiwał, a wcale jej pomagać nie myślał.

Z tego com sam po ludzku chwytak i co mi Szaniawski przynosił, niewielem się mógł nauczyć, bo on też ostrowidzem nie był, a mnie te frymarki tak obrzydły, że nie rad się o nich informowałem.

Siedziałem tymczasem przykuty do Warszawy, gdyż z powodu wyjazdu Jakóba sprawa sepetów z garniturami wyklarowaną być nie mogła.

Jednym razem pod koniec roku, jak z procy wyleciało dotąd nieznane nazwisko francuzkiego kandydata, ks. Ludwika de Conti, siostrzeńca króla Ludwika XIV, sławnego już wodza, ale żonatego.

Jak tylko się rozgłosiła ta kandydatura, na zamku zawrzało; królowa, gdyby szalona, kazała do karety zaprządz i sama poleciała do Polignaca.

Na parę dni przedtem jeszcze dla niego tak serdecznie usposobioną była, że mu własny wizerunek podarowała.

Ten zobaczywszy u niego na ścianie zawieszony, własną ręką go zerwała i rzuciła na ziemię.

Można tedy miarkować, jak się tam francuz miał z pyszną, co mu się dostało i jak się z nim rozeszli.

Musiała tedy królowa potem nawrócić do Jakóba i do jego austryjackich protektorów, ale ci już znać jej nie chcieli i nie mogli uczynić.

Cesarz się tem tłumaczył, iż Ojca Świętego słuchać musiał, który na tron polski zalecał i prowadził elektora saskiego Augusta, albowiem mu się zobowiązywał wiarę swą luterską odrzucić, katolikiem zostać, a potajemnie przyrzekał starać się o to, aby jezuiti poddanych też jego nawracali i kościołowi zyskali na nowo.

Wkrótce też potem królowa się tak naprzykrzyła wszystkim w Warszawie, niespokojnem zachowaniem się i intrygami, mnożąc tylko rozterki, że jej kazano się oddalić na czas elekeyi, tak jak innym kandydatom prawo pobytu czasu sejmu wzbraniało.

Tylko, że jej pozbyć się nie było łatwo, a siłą ją wyrzucić Radziejowski nie mógł, aby na siebie zarzutu niewdzięczności nie ściągnąć. Dopiero więc we trzy miesiące po objawieniu jej zapadłego wyroku wygnania do Gdańska, zdołano się jej pozbyć.

Tak to w oczach naszych spuścizna po wielkim monarsze w niwecz poszła i zmarniała, w ohydę podaną została przez jedną tę kobietę, która zgubą była za żywota mężowi, a po zgonie jego rodzinę swą własną zagubiła.

Ja, pomimo, że w Warszawie już nie było co robić, bo o sepetach i garniturach zupełnie zabyto i nikt o nich nie pisał, a biednemu Matczyńskiemu z żalu po przyjacielu się zmarło wkrótce, pozostałem do elekeyi, przedłużywszy dzierżawę szwagrowi.

Ciekaw byłem końca, którego nikt nie mógł przewidzieć. Żaluski popierał Contiego.

Dla nas też to była rzecz prawie nie do wiary, ażeby Sasa, protegowanego przez rakuski dwór, miano okrzyknąć.

W głowie się nam nie mieściło, ażeby ta nasza rzeczpospolita, co się tak praw tych rakuskich obawiała, a od stu lat przeszło czuwała, niedopuszczając wpływu rakuskiego, koligacyi z niemi, miała teraz abdykować wstręt, obawę, niechęć i dobrowolnie owo jarzmo dać sobie nałożyć.

Gdy się zjechała szlachta, a poczęła na Woli zwykłym obyczajem szumieć, my z Szaniawskim prawieśmy nie schodzili z pola i od szopy.

Z wielkiem zdumieniem przekonaliśmy się, że nawet Jakób miał trochę ludzi za sobą, że tu i owdzie się za nim odzywały głosy, ale przewidzieć było można łatwo, że się ntrzymać nie potrafi.

Z jednej strony francuzi sypali pieniędzmi na gwałt prowadząc ks. de Conti, z drugiej Przebendowski, kasztelan chełmski, z niejakim Flemingiem, szwagrem swym sasem, talary niemieckie sieli w polu, w nadziei, że z nich korona urośnie.

Z niepospolitą chodzili zręcznością, pokątnie, cicho, przekupując ludzi obietnicami większemi jeszcze, niż pieniędzmi.

Radziejowskiego jednak, prymasa, którego głos najwięcej znaczył przy wyborze, nie potrafili sobie zjednać, chociaż nuncyusz około tego chodził w sekrecie i biskupów kilku pozyskał, a między innemi Dąbskiego kujawskiego, który się na wszystko gotowym oświadczał, nawet przeciwko prymasowi, elekta obwołać.

Gdy przyszło do wotów, w początku województwa krakowskie i wielkopolski część okrzyknęły Jakóba, a reszta zagłuszyła je, wołając Conti.

Z płockiego też trochę głosów miał Jakób za sobą.

Za sasem dopiero później oświadczać się zaczęto, gdy postrzeżono, iż Jakób utrzymać się nie może, a Conti w jego miejscu stanie.

Królowa i ci, których miała na rozkazy, woleli kogokolwiekbaź, bodaj sasa, byle nie zdrajcę francuza.

Potrzebowała się pomścić na Polignacu, baź co baź, Marya Kaźmira.

W ten sposób głosy się pomięszwały i Jakób z królową przeszli na stronę sasa.

Pierwszego dnia, gdyśmy o nim zasłyszeli, ani ja, ani Szaniawski, a z nami, sądzę i znaczniejsza część szlachty o królu tym przyszłym, tak dobrze, jak nie nie wiedziała. Przebendowski nie miał czasu go zalecić, żadnym też urokiem nie pociągał ku sobie.

Zaczęto oponować głośno naprzód, że Luter był, ale O. Jezuici ręczyli za to, że rewokował herezyę i że do kościoła katolickiego powrócił.

Biskupi też niektórzy świadczyli za tem dalej, że

rakuskim duchem był nadziany, przeciwko czemu stawiono tylko, iż on się nikomu nie da prowadzić i t. p.

Po nader gorącym dniu 26 Czerwca nocą na 27 wracając z Woli do mnie na przekąskę i wypoczynek z Szaniawskim, zabraliśmy z sobą dworzanina pana kasztelana chełmskiego, niejakiego Suskiego, który w polu bardzo za sasem gardlował, tak, że go przewali Saskim, miasto Suskiego. Ten, że Szaniawskiemu jakimś koligatem był, nie wiem która woda po kisielu, pokumaliśmy się z nim i pociągnęli z sobą.

Chcieliśmy się od niego cokolwiek dowiedzieć, co zaczął był ten, któregośmy albo i drudzy wybierać mieli. Suski zaś chwalił się, że i w Dreźnie bywał i na dworze elektora pił.

Ten zaszedłszy do mnie, gdyśmy wieczierzali i w kubki się trącali do późna w noc, albo lepiej do rana, naprawić się nie mógł cudowisk o tym kandydacie.

Mnie się, prawdę rzekłszy, ani kandydat, ani ten, co go zalecał nie podobał, ale dla miłości Szaniawskiego musiałem mu rad być. Ciekawości się też dogodziło. Byli z nami także Morawiec i Drwęski i kilku jeszcze, których nie pamiętam, czas więc zszedł wesoło.

Zaczęto zaraz Suskiego zagadywać o tego kandydata i plótki niestworzone rzeczy!

— Takiegośmy na tronie jeszcze nie mieli— mówił— od owego francuzkiego Henryka, który także, jak wiadomo, wesoły był i zabawiać się lubił. August tyłkoby baraszkował, choć pan poważny gdy chce i pięknej postaci.

Naprzód jednak to o nim wiedzieć macie, że u nas nawet, gdzie na siłaczach nie zbywa, nikt mu nie sprostą; koniowi albo wołu głowę mieczem odcina jednym zamachem jak pióro osmalił, podkowy w ręku jak liście gniecie. Ostatnim razem, gdy do Wiednia jeździł wioził z sobą ni mniej ni więcej tylko panią duszkę urzędową, hrabinę Königsmark, dalej drugą pośledniejszą pannę Klengel, a w samym Wiedniu do-

brał sobie jeszcze pannę Althaun. I dopiero mu było bez mała dosyć.

— Nie żonaty więc? — zapytałem.

Suski się rozśmiał.

— Ale bo z Waszmości *simplex*—rzekł—królowie idą wzorem Salomona.

Żonaty i dzieci ma, ale to nie przeszkadza, że miłośnic ma zawsze po kilka. Jedna albo dwie mu nie starczą!! U nas tak!!

— A no—odparłem—jeżeli u was tak, to się nie macie z czem chwalić...

Morawiec dodał:

— W Polsce to nie uchodzi. Pewnośmy też nie święci, ale choć wstyd mamy.

— Etl dajcie tam temu pokój—przerwał Suski.—Sas tu inny obyczaj zaprowadzi... Pan jest gładki i grzeczny, gdy chce, ale też, gdy się rozsierdzi, mówi, że jak dziki zwierz straszny...

Słuchaliśmy sądząc, że z nas szydzi i bajki plecie, ale później się okazało, że nie kłamał.

— I z tego pochwalić go trzeba — mówił dalej — że do kielicha chwat.... U nas, gdzie też za kołnierz nie wylewają, wątpię, ażeby go kto przepił. Pije pułkami ogromnemi, a potem gotów na Bucefała siąść i w pole gnać, a gdy konia chce osadzić, to go tylko nogami ściśnie... Strzela kulą w lot jaskółki...

— Czy nie będzie tego za wiele?—spytałem śmiejąc się. Rycerz więc jest i pewnie w wojnach bywał, a w nich się już odznaczył??

— Na meztwie mu pono nie zbędzie — rzekł Suski—ale żeby hetmaniać wielkie szczęście miał, o tem nie słyszałem. Widzicie, że kłamać nie chcę... Z Turkami mu się pono nie wiodło... Co prawda, to prawda... Sasi tłumaczą go, że generał jakiś rakuski przez zazdrość go zdradzał, ja przy tem nie byłem i nie wiem o niczem...

— No—przerwał Szaniawski — chwala Bogu, żeś

coś do naganienia znalazł, bom sądził, że z nas drwisz takim go czynią... Trudno powiedzieć, czy on do nas a my do niego przypadniemy... Jakim my się z nim językiem rozmawiać będziemy, to też ciekawa...

O Contim powszechnie głoszą, że rycerz jest dzielny. Suski ręką o stół uderzył.

— Co tu już o Contim mówić, kiedy, czy zechcecie, czy nie, Sasa będziecie mieli. Nie weźmiecie go po dobrej woli, narzuca wam... Osiem tysięcy doskonałego żołnierza stoi słyszę pogotowiu na granicy...

Byle Sasa dziesięciu Przebédowskiego przyjaciół okrzyknęło, wejdą natychmiast sasi, a biskupa mamy w kieszeni takiego, co nam Te Deum zaśpiewa. Nim się Conti dowie, że go wybrano, nim namyśli, nim wybierze, nim wujaszek pieniędzy da, nim okręta się ściagną, Sas będzie gospodarzył i francenzi przyjdą po harapie...

— Biskup — przerwałem — żaden się przecie nie waży ogłaszać kiedy prymas jest i zdrów, a na nikogo nie zdał funkcji. Za to zaś ręczyć można, iż Radziejowski Sasa nie będzie reklamował, tylko Jakóba albo Contiego.

— A ja wam ręczę, że się znajdzie biskup, co go zastąpi—rzekł Suski.—Praktykowana to rzecz czy nie, spraktykuje się teraz. Czyż nie widzicie, że rzeczy są ukartowane tak, iż wam go narzuca, a nie macie Zamojskiego coby tego Maksymiliana wziął pod Byczyną, bo Jabłonowski przy jego boku stanie.

Będziemy mieli u Ojca św. tę zasługę, że od Turków nasz Sobieski Europę salwował, a z Luterstwa August Saksonią obmyje... dwie dobre kreskil Rakuński dom go też poprze, bo go w Wiedniu na rękach noszą.

— Więcej, niż szwagra Jakóba?—zapytałem.

— Co Cesarzowi po takim szwagrze? — wtrącił Suski — który kosztować go może, a nie nie przyniesie? Ojcowie też Jezuici coś znaczą, a oni tego kan-dydata prowadzą i protegują. Zatem niema nam co

się darmo zżymać i rzucać, a warcholić, pójdziemy gdzie nam wskażą, niema rady.

Wszystkim się nam smutno zrobiło, nie żebyśmy tak po Jakóbie płakali, ale ten silacz, z pozwoleniem moczymorda, rozpustnik sławny, o którym sobie rozprowadano takie rzeczy, jakichby się największym hultajom sromać należało, na nasz tron zdał się nam wcale nie pożądanym.

Nie kryliśmy się z tem, że nam ów do smaku nie przypadał, Suski stronę jego trzymał dowodząc, że gdy Sasi się z nami połączą, łatwo Kamieniec i inne awulsa odzyskamy, wojsko porządne wystawim, przyjdziemy do ładu i do siły...

— A przytem i to nie do pogardzenia, dodał świstak, że się rzeczpospolita wesoło zabawiać będzie, bo August jedyny jest do urządzania festynów, maszkar, balów, widowisk teatralnych, a myśliwca nad niego niema lepszego i z oszczepem na zwierza idzie jak na igraszkę.

Jak nam potem począł pleść znowu o sztabach żelaznych, które Sas jak wstążki zwijał, o wychylanych puharach, które w ręku dusił, o szaleństwach bezwstydnym z kobietami, o nadzwyczajnej dworu wspałości—o turniejach, festynach, zamiast gustu nam dodać do niego, do reszty go zmierzył. Gdzież było porównać tego jakiegoś sztukmistrza i kuglarza do naszego Jana, idącego w imie Boże, pod chorągwią Chrystusową z modlitwą na ustach, z jedną tą myślą, aby chłopkowi było lżej, żeby się sprawiedliwość działała wszystkich, żeby prawo Boże panowało na ziemi!

Drwęski, który pobożny był, rzekł na zakończenie:

— Bóg go chyba za grzechy zsyla na ostatnią zgubę naszą, bo takiego pana widzieć na tronie, to znak srogiego gniewu Pańskiego. Co zostało starej cnoty przepadnie i pójdziemy w niewolę obcą, jak

Skarga i Jan Kazimierz przepowiedzieli... *Fiat voluntas tua...*

Nazajutrz jechaliśmy na Wolę z innemi patrząc co się tam dziać będzie, ale ani ja, ani Szaniawski, ani Drwęski nie głosowaliśmy za nikim. Za Augustem nie chcieliśmy, grzechem się nam zdało, za Contim głosby nasz przepadł, za Jakóbem już nikt się prawie nie odzywał. Świadcami byliśmy gdy się Elekcya na dwoje rozdarła...

Z głosów wnosząc widocznem było, że Conti miał znaczną większość za sobą, ale Augustowi wrzask ogromny czynili, wołali, hukali, straszili, i koniec końcem jedni i drudzy pośpieszyli odśpiewać *Te Deum*.

W niepewności i zawieszeniu wszystko potem pozostało, ale jedna rzecz jawną była, iż po Janie żaden z jego synów korony nie odziedziczy. Królowa i Jakób pieniędzy wysypali dosyć na przepadle imie, Poliguac wydał do ostatniego grosza, bo jeszcze na Woli głosy kupowano...

Statyści po Warszawie zaczęli głosić.

— Teraz kto pierwszy do młyna zajedzie, ten będzie mel.

Lecz łatwo było przewidzieć, nie będąc prorokiem, że Sas stojący już pogotowiu na granicy, Francuza uprzedzi..., który przez morze tylko mógł się dostać do Polski, a wojska z sobą wiele przyprowadzić nie sposób mu było, ani go tu tak na poczekaniu ściągnąć...

Po Elekcji poszedłem rankiem do ks. biskupa kijowskiego, który zawsze bywał łaskaw na mnie, dowiadując się co o tym ewencie przyjaciele Sobieskich myśleli.

Znalazłem go wielce przygnębionym i smutnym.

— Rzec ci to jeszcze nie rozstrzygnięta, odezwał się na moje pytanie. Mamy choć słabą nadzieję, że Conti się utrzyma, a ten Herkules Saski, którym nas straszą, ustąpić będzie musiał—Elekcya to osobliwa, bo nie tylko większości nie miał, ale go zaledwie częśc

jakaś wywoływała. Radziejowski Prymas znać go nie chce, znaczniejsza część panów Senatorów z nami trzyma, szlachty też dosyć rakuskiego protegowanego nie życzy.

Jeżeli Conti prędko przybędzie, a król francuzki jak się spodziewać należy, wyposaży go dobrze, poprze silnie, może się jeszcze wszystko zmienić na lepsze, choćby Sasa i ogłoszono a bodaj ukoronowano. Elekcya w najmniejszej rzeczy ważną nie jest, wedle prawa, wcale na nic się nie zdała...

My będziemy na Contiego czekali, wyglądając go kędyś u Gdańska!

Taką nadzieją byli w początkach ożywieni Prymas, biskup kijowski, Wojewoda Kątski, wszyscy przyjaciele Sobieskiego, dobrze rzeczpospolitej życzący, ale wszystko to się w niwecz obróciło.

Elekcya Sasa, okrzyknięcie, koronacya szparka, objęcie rządów, wszystko było jakimś kuglarskim sposobem obmyślane, wykradzione, narzucone. W co się tu wolne głosy narodu obróciły... Nie było prawdy za grosz w niczem — udanie, kłamstwo, zahukanie... Czego się to było można spodziewać po panowaniu, które się od tego poczynalo, że król dla korony wypierał się swojej wiary, jakaby ona tam była, a drudzy powiadali, wiary nie zmienił, bo zmienić można tylko co się ma, a on żadnej nie miał nigdy!

Jezuitom w oczy rzucano, apostata jest i bezbożnik! odpowiadali, mniejsza o to, syna jego wychowamy tak, że bez nas nie ustąpi, żonę mu damy pobożną i w rodzinie wiarę ugruntujemy...

Gdy August przybiegł, na wszystko się godząc byle tylko koronę pochwycić, ktoś jego wybór i wstąpienie na tron w paskwiluszu nazwał komedią w pięciu aktach!

Akt pierwszy: Król bez dyplomu elekcyjnego.

Akt drugi. Pogrzeb bez zwłok i trumny. (Sobiescy bowiem ciała króla nie dali.)

Akt trzeci. Sejm bez posłów...

Akt czwarty. Koronacya bez Prymasa

Akt piąty. Protestacye bez skutku.

Po Elekcyi anim miał po co ani chciałem dłużej w Warszawie siedzieć i patrzeć na smutne te dzieje.

Postanowiłem wracać do domu. Poszliśmy z Szaniawskim pieszo, ostatnią odprawić żalobną pielgrzymkę do Wilanowa.

Oba zahartowani, starzy, do lez nieskłonni, chodziliśmy po tym opustoszałym palacu i ogrodzie, oczy ocierając. Stał przed nimi ten pan nasz uśmiechnięty choć umęczony, z piłką i nożykiem w ręku lubujący się drzewkom swoim. Słyszałem to nieraz z ust tego, toć jedna istota jest, co wdzięczną być umie, da mi kwiatek i owoc za moje staranie...

Wszędzie tu po nim pozostały ślady, albo ręki albo myśli jego, ale z nim kończyło się wszystko. Żadne z dzieci jego ducha, serca, rozumu, charakteru nie przyjęło. Gdziekolwiek ta kobieta dotknęła czego, splugawiła i zniszczyła...

Patrzyliśmy z boleścią na sadzone przez niego drzewka, o które teraz nikt nie dbał. Ogrodnicy szukali służby i rozłazili się. Palac stał pustkami, książki, które on tak lubił, a miał ich tyle, na kupę porzucano, nikt się teraz nie tknął. Gdzie komu z nich książka była w głowie?

Ruina bliska patrzała zewsząd.

Zwłoki jeszcze nie pochowane stały, a po nim już tylko u ludzi wspomnienie zostało i baśnie, jakby go od stu lat pogrzebiono. Córka za niemieckim księciem, syn z niemką ożeniony, wdowa ni polka ni francuzka do żadnego się narodu nie przyznająca... Młodzi synowie w perukach.

Gdzież tu było szukać potomstwa po Sobieskim, który do ostatniej godziny polakiem był, polskim szlachcicem do szpiku kości! a wszystko to przez jedną kobietę, jedno nieszczęśliwe ożenienie!

Jego ona przerobić nie potrafiła, ale dzieła i myśl bohatera zniszczyła.

Już przed zgonem, gdy z Załuskim i żoną swej
 mówił śmierci, widać było iż zrezygnowany na to po-
 trzął, że po sobie nic trwałego nie pozostawi, krom
 chorągwi Mahometa w Rzymie i imienia obrońcy
 chrześcijaństwa.

O nic się też d'... dopomi...
o wyprawie... straszną chwilę
pod Parkan...
ciem... której endem...

— „I pragnę, aby wszystko, żeń, szcąc mecz-
tów na kościoły obrócił.

Oziębły z pochodu pod Wiedeń, d...
głosem rozrym powołany, jeszcze na Ja...
dał nadzieje, jeszcze się nim cieszył jak...
ale myśmy widzieli, mówić nie śmiejąc... młodego
pana nic polskiego, nic naszego nie po...
bie. Oddawał co miał najlepszego księciu Bawarskie-
mu, Waldekowi, innym, z niemi rad przestawał, nad-
wszystko się pragnąc cudzoziemcom przypodobać,
z polakami ani się przyjaźnił, ani przestawał... gmi-
nem mu się wydawali.

W królu był szlachcic jeszcze, w nim
narodzony królewicz, zamilowanie to w obczyźnie
z matki wziął, która polką się być oświadczała, nie
nigdy w sobie polskiego nie miała.

Pożegnawszy Wilanów, tak jakbym się z całą młodością moją pożegnał, wybrałem się precz z Warszawy z tem stałem postanowieniem, aby na wsi zamieszkać i Pana Boga chwalić, na świat się więcej niewydobywając.

O dalszem też życiu mojem mało co mam do zapisania, było to powszednie nasze życie szlacheckie wedle prastarej modły, bo się po wsiach mało co od wieków zmieniło. Powróciłem spodziewany i oczekiwany do Połonki, dając szwagrowi dotrzymywać dzierzawę jej, a sam sobie tymczasem dwór po myśli urządzając tak, aby i mnie był miły i rodzicielskich pamiątek nie pozbył.

W ciągu tych lat włóczęgi, mimo woli nieznacznie zbierało się rupieci różnych bardzo wiele. Patrząc na to jak drudzy kosztowny oręż, osobliwe uzbrojenia, sprzęt różny nabywali, a kochali się w tem, choć pieniędzy wiele nie miałem do tracenia, bo się i przyjaciółom wygadzało, że było potrzeby żałować, takżem tu i s strącającego się tanio nabył.

A, że służba trwała, a gdyby się te-
go było, tak że gdy w ostatku czasu, wszy,
wszystkie moje skrzynie, kufry, sepety i
kufary, z Żółkwi, z Lwowa, z wilem
to moc tego się znalazła. Niektórych
zapomniało, żem sam potem nie wie-
dział o nich znaleźć.

Przypada, że od Wiedeńskiej potrzeby poczynając,
na Węgrzech, potem w Mołdawii, po miastach i obo-
zach ciągle się narzucały różne osobliwości. Z na-
szych żołnierzy, co który miał to potrzebą przyciśnię-
ty, za lada grosz oddawał. Więc ratując, trzeba by-
ło brać niepotrzebne rzeczy.

Widząc się, że ludzie dowiedzieli, że ja to kupuję
się nikomu na nic nie zdało, nasyłali na mnie z la-
dą łomem. Każdy szedł jak w dym, aż się czasem
śmiać chciało. Ano między temi łupami były i pię-
kne, takie których mi potem możniejsi ludzie zazdro-
ścili. W Warszawie u żyda kupilem szpalery stare
tkane, flamskiej roboty z historią Dawidową, które
gdym potem oczyściwszy je, na ścianach u siebie roz-
wiesił, wydziwić się im nie mogli. Te później do kości-
ciola ofiarowałem. Tureckich namiotów cale ochędoż-
nych miałem kilka, broni też, buńczuków, i zbroi ze-
brało się dosyć. Szyszak jeden srebrny trybowany,
złożony, com go w Mołdawii za małe pieniądze kupił,
drogo mi płacić chciano, ale frymarczyć nie lubilem
i pozostał u mnie. Złotnicy go na kilkaset złotych
cenili. Srebro pono nie wielkiej próby, ale robota
wysmienita.

Samych kobierców ważnych perskich i tureckich, niemal cały wóz nabyty przyciągnąłem z sobą do Połonki.

Sam jeden, niemając w początku co robić, bo szwagier się sam około roli parał, wziąłem się do porządkowania mojej rezydencji, wedle fantazyi a na wzór tego co się po świecie widywało. Ludzie mi to potem bodaj za złe poczytywali, sądząc, że im tem imponować chciałem, alem się poprostu durzył tem i nie więcej.

Siostra mnie zaraz żenićby była chciała, choć szpakowaciałem, i byłaby mi panien urodziwych dosyć napytała, alem żadnej nieszczęśliwą czynić nie chciał, serca do żadnej niemając. Kobiety mi też przez królowę i jej francymer obmierzyły, bom się takich napatrzył, że wstręt do całego rodzaju niewieściego powziąć od nich było można. Samo wspomnienie Boncourowej starczyło.

Ta, wielką miała ochotę zrazu pomścić się na mnie, próbowała mi na różne sposoby szkodzić, lecz się jej niepowiodło. Podupadła potem wielce i była jednego razu w takiej potrzebie, że się do mnie uciekła o ratunek. Przebaczwszy jej, pomogłem w istocie. Wydała się naostatek za starego francuza kuchmistrza królowej, bardzo już na małym przestając, gdy wprzódy wysoko patrzyła. Zwał się Petit, tłusty, łysy, brzydki, ale bystry człek, grosza sporo sobie tłustości szumując, przyzbierał. Podobał sobie ją, choć wiedział kogo bierze, i do ołtarza idąc oświadczył, że brykać nie dopuści a twarde mięso zwykł bijać dopóki nie zmięknie.

Żyli potem z sobą podobno w zgodzie i dostatkach, choć drudzy twierdzili, że się jej po bokach dostawało i bywało różnie. Bóg tam z niemi.

Byłem już na wsi, gdy wieść doszła i do nas, że Conti z francuzami na okrętach wojennych przybył do Gdańska. Mówiono o wielu tysiącach rycerstwa.

Wszystko u nas zakipiało po staremu przeciwko

rakuzkiemu elektowi i niemcom, ruszali się panowie niektórzy, niepokoiła szlachta, ale nie było jej komu prowadzić. Dowiedziałem się, że wojewoda Kijowski pobiegł do Gdańska. Rozesłał ktoś okólnik, aby kto żyw, *lub poena perduelionis* przy Contim stawał a tuż drugie, *idem*, aby się nikt ruszyć nie ważył.

Przyleciał do mnie Morawiec we trzy konie, namawiając z sobą.

Jedźmy!

Ochoty nie miałem najmniejszej, ani ufności, aby co z tego dobrego wyrosnąć mogło, ale jak mnie zaczął molestować, namawiać, prosić, w końcu pode-drwiewać, żem ja już do niczego zeszkapiał, kazałem ludziom i koniom do podróży się sposobić, kupić nie kupić, potargować można.

Powiedziałem Morawcowi z góry.

— Do niczego ręki nie przyłożę, póki się nie przekonam, że tam siła jest i ład, bo darmo w kraju niepokój szczepić, grzeszna sprawa. Pojedziemy się rozpatrzyć z czem ten Conti przybywa i kto z nim idzie.

Morawiec na upartego mi dowodził, z tego co sły-szał, że Senatorowie zewsząd z wojskami nadwornymi i nowemi zaciągami pod Gdańsk pospieszali. Szwa-gier i siostra na żaden sposób puszczać mnie nie chcieli, alem ich uspokoiwszy, wyruszył z Morawcem.

Z kopyta poszło zrazu bardzo ostro a śpiesznie, po drodze języka dostając, który tak sprzeczny był, że się z niego nic nauczyć nie mogliśmy.

Co godzina to nowina. Jedni twierdzili, z impre-zy tej nie będzie nic, Sasi do kraju weszli, król uko-ronowany, panowie akcessa robią ciągle, łączą się z wybranym, Prymas nawet zmiękł. Drudzy mówili. Sasa z ramienia rakuskiego nikt nie chce znać, do Contiego i francuzów garnie się wszystko.

Conti hetman wielki, godzien być Sobieskiego na-stępcą. Słyszeliśmy, że już przy nim byli Załuski, Kątski, Leszczyńscy, Potoccy i innych wielu. Prze-

powiadano, że byle się Conti ruszył z pod Gdańska, wymiecie Sasów i śladu po nich nie zostanie. Przypominano Maksymiliana, i t. p.

Wszystko to tak różnie brzmiało, żeśmy musieli dotrzeć aż do miejsca dla sprawdzenia. Mnie też i tego miasta, któremu nie znał, a wiele o nim słyszałem, ciekawość brała.

Jechaliśmy śpiesząc, co koni stało. Dziwiło nas tylko iż owych wojsk, o których rozprowadano, że się zewsząd ściągaly, nigdzieśmy po drogach nie spotkali. Szlachty też, ochotnika bardzo mało.

Dociągnęliśmy naostatek do miasta, jak dziś pamiętam rankiem pogodnym. Wrota murowane jak do twierdzy, straż przy nich miejska, całę porządnie uzbrojona. Tuśmy wszakże musieli przystanąć, bo właśnie oddział dragonów wychodził precz.

Patrząc przyglądając się im, i poznając Żerebskiego starego namiestnika, któremu znał z wojen za króla Jana.

— Czołem, panu Namiestnikowi! zawołałem.

Zdziwiony stary stanął wesa pokręcając.

— A wy tu co robicie? zapytał.

— Przybywam gdzie i drudzy—rzekłem—nowemu królowi służyć. Pewnie w pole Conti wyciąga?

Żerebski się przeżegnał oglądając.

— A no w czasiecie się wybrali odparł, francuz nam komplementów naprawił siła, ale go już niema. Zawinął się, siadł na okręt na którym przybył i żegluję już z powrotem, nas w saku pozostawiwszy.

Aż po mnie ciarki poszły. W tem stary namiestnik pokłonił mi się i dalej ruszył.

— Jedźcie do miasta, doniesie się resztę.

W mieście zastaliśmy rumor wielki, poruszenie, bieganie. Zaraz w pierwszym rynku, na dworzani-biskupa Załuskiego natknąłem się.

— Jesteście tu? przywitałem go z radością.

— Jesteśmy — to jest — byliśmy — odparł zagadnięty, dziś lub jutro napowrót do Warszawy się

wybijamy, niema tu już co robić, Francuz na okręt wsiadł i uszedł.

Spojrzałem na Morawca—a co?

Jechaliśmy do gospody. Pełne były niemal wszystkie przybyłych na powitanie nowego króla, który gdy się rozpatrzył, że gotowej armii na rozkazy niema, a rozsluchiwał o Sasach i o akcesach, wojować mu się odechciało i przeprosiwszy adherentów swych, nazad do Francyi nawrócił.

Cóż tu było robić?..

Pieprzu i korzennych przypraw kupiwszy do domu, po pięknych mieście i kościołach na zbory poprzerabianych rozglądawszy się, koniom wypocząwszy, z drugimi wraz przy czarnem piwie Gdańskiem na dolę naszą, nabiedowawszy dosyć, musieliśmy do domów nawracać.

Ostatnia to była znaczniejsza podróż moja i pokuszenie się... Siadłem potem w Polonce, rozpamiętywać *praeterita*.

K O N I E C.



Biblioteka Raczyńskich

JIK **531**



JIK0531